Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 20 (1416) XXVIII 18 MAJA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- Model awansu społecznego
- Żona na okaziciela
- Łódź ma bardzo wielu poetów
- Koniec swobodnej lewitacji
- Amant komiczny

Sposób na podłe życie

MAREK MAMOS

1.

W ubiegłym roku włamano się do stacji CPN przy ulicy Łąkowej. Łupem padło kilkadziesiąt litrów (cały zapas) autovidolu. Części samochodowe, akcesoria pozostały na swoim miejscu. Sprawce dość szybko wykryto, ale rozprawy w sądzie nie było. Włamywacz zmarł.

Autovidol jest znacznie tańszy od wódki monopolowej, a skutek daje bardzo podobny. Pierwszymi klientami stacji benzynowych są często właśnie amatorzy tego trunku. Przychodzą jeszcze przed otwarciem. Cierpliwie czekają na swoją godzinę, na swój pierwszy tego dnia łyk czegoś na spirytusie.

Milicja jest bezradna. Nie ma żadnego paragrafu, który by zabraniał spożywania „wynalazków", bo tak potocznie nazywane są autovidol kryształek i inne środki chemiczne. Mogą tylko rozmawiać, tłumaczyć, czasem postraszyć, ale skutek tych działań jest znikomy, żeby nie powiedzieć żaden.

Przed Świętami Wielkanocnymi milicjanci z Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź-Polesie przeprowadzili akcję wymierzoną w meliny, w bimbrowników, w ludzi, dla których jedynym celem życia jest wódka. Uczestniczyłem w tej akcji razem z młodszym chorążym Wojciechem Koło i starszym sierżantem sztabowym Pawłem Adamskim.

Odprawa trwała kilka minut. Dowodzący akcją pułkownik Cywiński powiedział — „Chodzi nam o wykrycie jak największej liczby punktów nielegalnego gorzelnictwa, punktów handlu alkoholem, jak również odnalezienie osób ukrywających się przed wymiarem sprawiedliwości". Dzielnicowym przydzielono do pomocy społeczników z ORMO i 60 osób ruszyło w teren.

My również postanowiliśmy poszperać po okolicy, tym bardziej, że moi opiekunowie znali kilka „pewnych" adresów.

2.

Nie po raz pierwszy okazuje się, że najskuteczniejszym środkiem antyalkoholowym jest widmo śmierci. Ludzie, którzy nie mogli zacząć dnia bez łyka czegoś mocniejszego, którzy na wódkę tracili każdy grosz, po wszyciu pod skórę esperalu nie biorą kieliszka do ust, nawet ich nie ciągnie. Tak jest przez rok, bo tak długo działa esperalowy straszak.

Ciekawe jak długo będzie działała śmierć dwóch braci na pewną kobietę, mieszkającą na czwartym piętrze kamienicy przy ul. Żeromskiego. Jeden zmarł 17 listopada, drugi 28 lutego. Obaj zatruli się autovidolem. To mieszkanie odwiedziliśmy jako pierwsze.

Śmierdzi tu jak w długo nie sprzątanym szalecie. Brud na podłodze, na ścianach i na tym co pozostało z mebli, można kroić nożem.

— Pani też piła autovidol?

— Piłam, ale widzi pan teraz ze strachu piję tylko mleczko z budyniem.

— Dlaczego tu jest tak brudno?

— Bo zaczynam sprzątać. Wszystkie śmieci musiałam najpierw wymieść na środek.

— Nie ma wódki w domu?

— Nie, panie władzo, takich rzeczy to pan u mnie już nie znajdzie. Dzielnicowy przyszedł i powiedział żeby nie trzymać więcej wódki i nikogo nie przyjmować. Od tego czasu nic pan u mnie nie znajdzie. Ostatni raz wódka była po śmierci starszego brata.

Umarli z tego, że pili autovidol i z tego, że sprzedawali kartki. Przecież oni przez trzy lata herbaty z cukrem nie widzieli. Jedli tylko chleb z topionym serkiem. Nawet mleka nie pili.

— Dlaczego nie ma światła w mieszkaniu?

— Urwali mi. Jak brat był pijany, poszłam do koleżanki na telewizję, wracam, włączam światło, a tu żyrandol urwany.

7

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Poczta Vademecum

DARIUSZ DOROŻYŃSKI, ROMAN KUBIAK

Naprawdę nie spodziewaliśmy się, że opublikowanie pierwszych odcinków „Vademecum turysty-zaopatrzeniowca" wywoła aż taki odzew. Wszystkim naszym piszącym Czytelnikom oraz niestrudzonej Poczcie gorąco dziękujemy za zwały listów, paczek i przekazów wartościowych, którymi byliście łaskawi nas zasypać. Kochani, ponieważ lawina korespondencji ciągle wali się na nasze głowy, przeto zmuszeni jesteśmy prosić Was o streszczanie się do minimum. Nam zupełnie wystarczy proste słowo dziękuję i przelew na konto, którego numer wszyscy już znacie. Wygodniej byłoby korespondować na kartkach pocztowych, ale takiej formy nie mamy odwagi proponować, bowiem odkrytki są pokusą dla określonych sił stojących na gruncie antyturystycznym i przywiązujących dużą wagę do nabrzmiałego problemu celno-dewizowego. Potem mogłoby się okazać, że mamy wielu przyjaciół, lecz nie tam gdzie chcielibyśmy — bez możliwości swobodnego ich odwiedzania.

Prosimy nie przysyłać więcej cytryn, pomarańcz i bananów, ponieważ zarówno my, jak i nasi redakcyjni koledzy, mamy ich już po dziurki w nosie. Dziękujemy również za kawę, puszkowane piwo i czekolady. Zawaliliśmy tymi dobrami całą redakcję oraz schody ewakuacyjne, za co strażacy sypnęli nam — i słusznie — mandat. Jeśli już tak bardzo chcecie spłacić swój wobec nas dług wdzięczności, to proponujemy spotkanie na neutralnym gruncie i obgadanie sprawy w cztery oczy bez pośrednictwa fiskusa.

Co zaś tyczy się kożuchów, to nosimy numery 50 i 52 — inne rozmiary musieliśmy opchnąć. Podobnie ma się sprawa z koszulami i z butami. Podajemy rozmiary: koszule — 40 i 41, buty — 7 i 9.

Anonimowemu nadawcy mikrokomputera dziękujemy serdecznie. Prosimy o dwa magnetowidy wraz z osprzętem. Panu Stanisławowi B. dziękujemy za czek — był bez pokrycia. Niebawem prokurator zainteresuje się pana osobą.

Z prawdziwą przykrością musimy zakomunikować iż kilku czytelników nie doceniło naszych szczerych intencji i dobrych rad, czego skutkiem są listy pisane w tonie, na który naprawdę nie zasłużyliśmy. Cytujemy list Pana C. F. (nazwisko i adres znane redakcji i nie tylko), w którym przez szacunek dla kulturalnych Czytelników musieliśmy pominąć pewne słowa. Oto on: „Wy s..., wy g..., jak tylko stąd wyjdę, to nogi wam z d... powyrywam, albo tak w..., że ręka, noga, mózg na ścianie. O k..., jak ja was o... za to p... o tureckim złocie! Lepiej s... mi z oczu..." Ze swej strony solennie zapewniamy, iż z ostrzeżenia mamy zamiar skorzystać.

Zaniepokojonych Czytelników informujemy, że nasz (i Wasz) serial będzie kontynuowany, w wydaniu krajowym i zagranicznym. Dzięki darom o które prosiliśmy, a które dotyczyły papieru,

6

Historyczne znaczenie Łaby

EDMUND LEWANDOWSKI

Starożytne przysłowie chińskie głosi, że kto idzie za daleko, ten zawraca. Mędrcy taoistyczni uważali, że istnieją granice w rozwoju każdej rzeczy i po osiągnięciu pewnego krańca następuje odwrócenie w przeciwieństwo. Podobne prawo znali też antyczni Grecy. W mitologii ważną rolę odgrywała Nemezis (córka Nocy lub w innej wersji Zeusa i Temidy) — bogini przeznaczenia, pomsty i sprawiedliwości dziejowej, mścicielka zbrodni. Jej imię pochodzi od słowa „nemein", czyli udzielać. Pilnowała ona, aby ludzie nie przekraczali miary (moiry). Karała tych, którzy za szybko osiągnęli zbyt dużo, bądź stracili umiar w swych działaniach.

Niektórzy historycy dostrzegają w prawidłowościach dziejowych określone podstawy wiary w Nemezis. Na przykład Aleksander Krawczuk sugeruje, że w bieg wydarzeń wpisany jest jakiś „kod genetyczny". Mają na to wskazywać m.in. losy Kartaginy i Rzymu. W 146 r. p.n.e. Rzymianie doszczętnie zburzyli Kartaginę, a w 455 r. właśnie stamtąd wyruszyła flotylla Wandalów w celu straszliwego złupienia „wiecznego miasta". Uczony krakowski zna więcej tego rodzaju dziwnych przypadków i nawet nosi się z zamiarem ściśle naukowego opracowania problemu.[1]

Jeśli ktoś chce, a Polacy lubią myśleć mitycznie, to może upatrywać interwencji Nemezis w losach Niemiec oraz Polski i Słowian. Przesunięcie polskiej i słowiańskiej granicy bezpieczeństwa na linię Łaby i Werry można traktować jako akt sprawiedliwości dziejowej. Po wiekach niemieckiej ekspansji na wschód oraz po dotarciu hitlerowców aż na przedpola Leningradu, Moskwy, Stalingradu i szczytów Kaukazu, Niemcy poniosły totalną klęskę i utraciły jedną czwartą terytorium, a reszta została podzielona na dwa odrębne państwa o przeciwstawnych w dodatku ustrojach. Natomiast Polska odzyskała dawne granice piastowskie i znalazła się z wszystkimi sąsiadami w jednym ugrupowaniu polityczno-militarnym.

Radziecka kontrofensywa w II wojnie światowej rozpoczęła się nad Wołgą, a zakończyła na Łabie. Ta druga rzeka stała się odtąd granicą oddzielającą Europę Wschodnią od Zachodniej. Ale tę funkcję — co chyba rzadko sobie uświadamiamy — spełnia Łaba już po raz trzeci w ciągu naszej ery. Najpierw bowiem dzieliła ludy słowiańskie od germańskich i była granicą „karolińską", później stanowiła linię tzw. „dualizmu gospodarczego" w Europie, a współcześnie rozgranicza dwa odmienne systemy społeczno-ekonomiczne i bloki wojskowe. Można by więc powiedzieć, że mamy do czynienia z trwałą w zasadzie granicą cywilizacyjno-kulturową.

Celem mojego szkicu jest przedstawienie najważniejszych faktów historycznych związanych z tym szczególnym znaczeniem Łaby. Przede wszystkim pragnę pokazać, że obecna konfiguracja geopolityczna jest czymś więcej niż „przypadkowym" rozstrzygnięciem przywódców koalicji antyhitlerowskiej, gdyż ma również uzasadnienie w długiej tradycji kulturalnej. Sprawa ta nabiera dziś wagi w związku z próbami kwestionowania ustaleń z Jałty i Poczdamu.

1.

Rzeka Łaba, którą Czesi nazywają Labą, a Niemcy Elbą, ma źródła w Karkonoszach na terenie Czechosłowacji, w pobliżu granicy z Polską. Przepływa przez kotliny Czeską i Drezdeńską oraz Nizinę Północnoniemiecką i po przebyciu 1165 km wpada do Zatoki Helgolandzkiej na Morzu Północnym. Jest trochę krótsza od Renu (1320 km), lecz dłuższa od Wisły (1047 km) i Odry (854 km). Na ziemie, przez które płyną

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy dokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1406. P-2.

Przegląd prasy

„Z polskich doświadczeń minionych kilku lat my też wynieśliśmy ważną naukę i zyskaliśmy doniosłe motywacje" — powiedział Gyorgy Aczel, członek Biura Politycznego KC Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, na zakończenie wywiadu udzielonego Danielowi Passentowi („Polityka" nr 18 — 85.05.04 oraz nr 19 — 85.05.11).

SZLAG MNIE TRAFIA

gdy czytam albo słyszę takie zapewnienia — oczywiście nie dlatego, iżbym miał cokolwiek za złe ludziom, którzy je głoszą. Wprost przeciwnie... To przez „konteksty i podteksty" takich zapewnień czuję się źle, natomiast wobec ludzi je głoszących odczuwam jakieś kompleksy, mimo widomej życzliwości i dobrych intencji, w wypowiedziach tych zawartych.

Cóż to bowiem oznacza: „polskie doświadczenie minionych kilku lat"? Otóż nie ma co ukrywać: mimo niewątpliwych sukcesów w tzw. wychodzeniu z kryzysu i innych osiągnięć politycznych tudzież społecznych i gospodarczych (nb. tych ostatnich jest najmniej...), polskie doświadczenia minionych kilku lat to była lekcja, jak socjalizmu budować nie należy, więcej: nie wolno!

Toteż w wypowiedzi Gyorgy Aczela nie ma cienia kurtuazji ani zdawkowej uprzejmości o dyplomatycznym charakterze. Węgierski polityk wyraził pogląd podzielany przez wielu ludzi w krajach socjalistycznych — z polskich doświadczeń najważniejsze są polskie błędy, bowiem osiągnięcia nie są większe niż gdzie indziej, błędy za to — okazalsze i groźniejsze. Przeto należy je dokładnie analizować, by ich skutecznie unikać.

Najbardziej bolesne jest właśnie to, że stanowiliśmy pole eksperymentu negatywnego, a jednocześnie sami nigdy nie potrafiliśmy odpowiednio skutecznie przyglądać się błędom i doświadczeniom innych. Pozostaje mieć nadzieję, że była to już ostatnia taka lekcja „polskich doświadczeń"...

I jeszcze jedna refleksja Gyorgy Aczela z tego wywiadu: *„Zastanawiam się, dlaczego ludzie lubią siadać w samochodzie na najbardziej niebezpiecznym miejscu,*

OBOK KIEROWCY

Z pewnością dlatego, że nie tylko czują, że kierowca skręca nagle kierownicę w prawo, czy w lewo i że nieoczekiwanie hamuje, ale też widzą, dlaczego to robi; widzą, jakie wyboje trzeba ominąć, jak trzeba dostosować się do innych pojazdów albo kiedy należy zwolnić przed przecznicą. Jak najwięcej ludzi powinno siedzieć w miejscach, z których dobrze widać, jak prowadzony jest pojazd. Angażowanie, wprowadzanie ludzi do wspólnego działania jest głównym źródłem naszej siły. Ale to nikomu nie ułatwi życia. Będzie ono bogatsze, będzie miało głębszy sens. Bo demokracja spełnia się tylko tam, gdzie stawia się wysokie wymagania, gdzie pierwszeństwo ma dobra jakość, gdzie decydują argumenty, a nie siła głosu. Prawdziwa socjalistyczna demokracja to sensowna dyscyplina ładu wspólnoty, nie toleruje ona braku odpowiedzialności. Słowem — ciężka to szkoła".

Nie wątpię w to, że Węgrzy jakoś sobie w tej szkole dadzą radę. I chciałbym nie wątpić w to, że nam też się uda. Rzecz w tym tylko, czy dla chętnych nie zabraknie „miejsc obok kierowcy". A tych miejsc musi starczyć nie tylko dla tych, którzy tam zasiądą wybrani, z legalnymi mandatami, ale dla wszystkich obywateli — pod warunkiem wszakże, iż nie będą się tylko gapić i udzielać zbawiennych rad... Innymi słowy: współuczestniczyć we władzy i kontrolować ją mają prawo tylko ci, którzy sami coś robią.

Z tą demokracją jednak w ogóle są problemy. Ostatnio pojawiają się publiczne głosy, jakże miłe mojemu sercu, że chyba przesadzamy z wołaniem o demokrację. Doszło do tego, że Jerzy Chłopecki, ryzykując — jak sam twierdzi — że zostanie zakrakany i zadziobany, napisał „Pamflet na demokrację" („Prawo i Życie" nr 19 — 85.05.11).

Teza wyjściowa „Pamfletu" jest taka: *„Współdecydowanie, współudział, współuczestnictwo, samorząd, jednym słowem — demokracja. Pojęcia te i wartości otaczane są nabożną niemal czcią w naszym społeczeństwie i biada temu, kto by ich sens próbował poddać w wątpliwość. (...) Być przeciw demokracji oznacza skończyć się w opinii publicznej. To jest jeden biegun. Jest i drugi. Stykając się z bezkarnością głupoty, bezmyślności, nieróbstwa i braku odpowiedzialności, przeciętny obywatel, ten sam, który skłonny bywa innym razem odprawiać modły przed ołtarzem najświętszej Demokracji, woła o żelazną miotłę. (...) Polak w swym myśleniu o sprawach społecznych płynie zygzakiem — od Scylli zamordyzmu, do Charybdy demokracji, gotów za każdym razem rozbić się o skały to jednej, to drugiej".*

Nie ulega wątpliwości, że obserwacja Chłopeckiego jest bardzo bliska naszej rzeczywistości życia publicznego. Co więcej: sam skłonny jestem iść dalej, twierdząc, że w ogóle

ZA DUŻO GADAMY O DEMOKRACJI

co wcale nie znaczy, że za mało jej mamy. Chłopecki twierdzi, że:

„Każdy bez mała fragment życia ma wbudowane albo dobudowane do siebie coś społecznego, demokratycznego, którego celem jest instytucjonalizacja społecznej kontroli, współdecydowania i współudziału. Gdyby to wszystko rzeczywiście działało, bilibyśmy wszystkie światowe i historyczne rekordy społecznej aktywności, albo... albo też nastąpiłoby kompletne zablokowanie, sparaliżowanie biegu rzeczy i spraw".

Skłonny jestem sądzić, że nastąpiłoby raczej to drugie. Każdy bowiem przerost demokracji bezpośredniej prowadzi do zwyrodnienia. Wprawdzie takiej Szwajcarii daleko jeszcze do paraliżu, ale już podobno prostych spraw w tym kraju nie można załatwić, bo konserwatywni, niechętni zmianom Szwajcarzy głosują w referendach na nie. Funkcjonują, bo są jednak cholernie, po kalwińsku zdyscyplinowani, mają pieniądze i te kilka setek lat temu parę rzeczy w swym kraju urządzili nader sensownie. Ale gdy próbuję sobie ten system wyobrazić w Polsce, przechodzą mi ciarki po grzbiecie.

W ostatecznym rachunku Chłopecki okazuje się być orędownikiem perfekcjonizmu: *„Chętnie pozbyłbym się — pisze — wielu w istocie demokratycznych uprawnień do wywierania wpływu, kontrolowania, współdecydowania i współodpowiedzialności, zamieniając je na pewność, że instytucje, na które mam wpływać i które mogę kontrolować, tylko zaspokajając moje potrzeby mogą osiągnąć swoje cele".* Jest przeto zwolennikiem komfortu obywatelskiego, w którym ideał sprawnego funkcjonowania instytucji publicznych przedkłada się ponad znój nieustannej aktywności obywateli w celu kontrolowania administracji, czy w ogóle władz.

Nieskromnie przyznam się, że mam takie same marzenia. Chciałbym, jako obywatel odpowiedzialny lecz leniwy, przyłożyć się sumiennie i uczciwie do życia publicznego raz tylko na jakiś czas, przy okazji wyborów mianowicie. Chcę wybrać takich swoich przedstawicieli, abym mógł im zaufać na dobre i złe, wierzyć bez zastrzeżeń i popierać — w zamian oczekiwałbym, że oni zdejmą ze mnie cały ciężar martwienia się o sprawy publiczne i nie będą pytać o byle głupstwo.

Chyba, żeby to mnie albo Chłopeckiego wybrali (co zresztą jest mało prawdopodobne) — o, wtedy zapewne pokazalibyśmy, jak jeszcze inaczej można rozumieć demokrację...

No, ale wtedy mielibyśmy w ręku władzę — a to już nie komfort tylko zgryzota niepowszednia. Wystarczy zresztą poczytać u Stanisława Kwiatkowskiego w „Polityce" (nr 19 — 85.05.11), co tacy np. inteligenci sądzą o władzy. A sądzą nie najlepiej — z badań CBOS wynika, że aż 62 proc. inteligencji uważa, że istnieje konflikt między ich grupą społeczną a władzą (chociaż tylko 25 proc. badanych sądzi, że konflikt ten dotyczy całej inteligencji, a nie jakichś jej konkretnych odłamów...).

Warto jednak w tym miejscu przypomnieć, że Stanisław Kwiatkowski dobitnie podnosi następującą okoliczność: *„Konflikt społeczny oznacza, że sprzeczności dzielące obie strony są nie do pogodzenia. Tego rodzaju nastawienie do rzeczywistości politycznej i władzy ma znikoma część inteligencji. Przecież*

DYSKUSJE KWESTIONUJĄCE LEGITYMACJĘ WŁADZY

i dyskusje na temat sposobu jej sprawowania czy niskich płac — nie są tożsame. Czym innym jest odmawianie prawa do władzy — co absorbuje nielicznych, a czym innym debatowanie, jak rządzić mądrzej i sprawniej — nad czym radzi zdecydowana większość. (...) Kreowanie zatem całej inteligencji na stronę konfliktu i przeciwnika politycznego władz, traktowanie postulatów inteligenckich w toczącej się dyskusji jako przedmiotu antagonistycznego sporu z władzą jest albo świadectwem uproszczeń zrodzonych z niewiedzy, albo celem politycznej rozgrywki".

Sądzę, że jest jednym i drugim. O politycznym analfabetyźmie tzw. inteligencji miałem już okazję pisać, więc teraz sformułuję tylko jedną tezę — współcześni inteligenci nawet życia uczyli się z kiepskiej literatury, toteż umiejętność prawidłowego rozpoznawania rzeczywistości jest obca większości z nich (a winę ponosi cały system oświatowo-wychowawczy, nie tylko szkoła...). Nie ulega zatem wątpliwości, że polityczny analfabetyzm może być wykorzystywany jako narzędzie gry — także w obrębie tej samej grupy społecznej (czyli inteligenci przeciw inteligentom).

Odpocznijmy wszakże od nieśmiertelnej kwestii inteligenckiej, chociaż sprawa, którą prezentuję na koniec, wcale do relaksowych nie należy — wprost przeciwnie, chodzi w niej o krew i pieniądze. I ta pierwsza, i te drugie jak najbardziej prawdziwe...

O tym, jak

DOLAR OKAZAŁ SIĘ SILNIEJSZY OD INSTYNKTU SAMOZACHOWAWCZEGO

donosi tygodnik „Wybrzeże" (nr 19 — 85.05.12) we wstrząsającej relacji pt. „Farwater śmierci" z pływania po objętej wojną iracko-irańską Zatoce Perskiej.

Ogłoszenie przez Irak nieograniczonej wojny przeciw obiektom pływającym po Zatoce, nawet pod neutralnymi banderami, sprawiło, że rozważni i wielcy armatorzy wycofali się praktycznie z tamtejszych szlaków. Wyparli ich amatorzy szybkiego zarobku — nie chodzi o to, że Iran dobrze płaci za żeglugę do swych portów — biznes jest, jak starego trupa, kupionego za grosze na jeden rejs, trafi precyzyjna rakieta (sterowana podczerwienią, reagująca na ciepło statkowej maszyny — blisko stuprocentowa skuteczność...); a wtedy jest wysokie odszkodowanie dla armatora. Do takiej zabawy trzeba jednak znaleźć załogę — a w światku cwaniaczków spod tanich bander nie od wczoraj wiadomo, że najtańsi są Polacy, rekrutowani legalnie, za pośrednictwem naszych Morskich Agencji, za psie pieniądze (według standardów światowych wynagrodzeń we flocie, bo wedle naszych przeliczników czarnorynkowych idzie już o grube setki tysięcy złotych...).

Ten dolar z Zatoki ocieka krwią (dosłownie) i śmierdzi strachem; mimo to polscy marynarze — „mięso armatnie" dla armatorów — hochsztaplerów — wystają w kolejkach po irańskie kontrakty. Czy nie należałoby zabronić tej rekrutacji — pyta dziennikarz „Wybrzeża", uważając, że jest to bierne przyglądanie się potencjalnym samobójcom. Zaś bohater tej relacji z rejsu, IV mechanik na statku „Werra One" Władysław Kowalczuk wybiera się z żoną w dziękczynną pielgrzymkę do Rzymu (jego statek dwukrotnie nader szczęśliwie uniknął trafienia...).

Gdzie powinni udać się w pielgrzymkę po rozum jego koledzy, ubiegający się wszelkimi sposobami o „zielone" kontrakty na „farwater śmierci"?

TOMASZ SAS

Na XII piętrze

Nagroda dla Antoniego Szrama

W miniony piątek o godzinie 14 w siedzibie naszej redakcji na XII piętrze centrum prasowo-telewizyjnego, odbyła się uroczystość wręczenia Nagrody „Odgłosów". Jak już informowaliśmy w poprzednim numerze, jury zdecydowaną większością głosów nagrodę tę przyznało ANTONIEMU SZRAMOWI — dyrektorowi Muzeum Historii Miasta Łodzi. W obecności licznie przybyłych gości, wśród których byli przedstawiciele władz miasta z wiceprezydentem Janem Nosko, wręczenia nagrody dokonał dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego Piotr Sagan. Przewodniczący jury, redaktor naczelny „Odgłosów" — Lucjusz Włodkowski przekazał laureatowi pamiątkowy dyplom, gratulując w imieniu redakcji tego przyznanego po raz pierwszy wyróżnienia. Do gratulacji przyłączyli się również zaproszeni goście, reprezentujący różne środowiska kulturalne Łodzi. Podkreślano przede wszystkim, że Antoni Szram dał się poznać jako inicjator wielu działań kulturotwórczych, daleko wykraczających poza jego zawodowe obowiązki, i chociaż nagroda przyznana została za rok 1984, słowa te odnoszą się do całej długoletniej działalności laureata.

Nie kryjąc wzruszenia, Antoni Szram gorąco podziękował za uhonorowanie go Nagrodą „Odgłosów", która — jak stwierdził — sprawiła mu wielką satysfakcję. My ze swej strony możemy dodać, że dostała się ona w naprawdę godne ręce. Jeszcze raz gratulujemy, panie Antoni!

Foto: Grzegorz Gałasiński

AWANS — CO TO ZNACZY?

Awans społeczny, awans zawodowy, awans klasowy, oto najczęściej spotykane określenia tego co można także nazwać karierą zawodową, drogą zawodową lub zmianą miejsca w strukturze klasowo-warstwowej. Jest jednak różnica w definicji obu określeń i z niej płynące konsekwencje.

W Leksykonie PWN czytamy — „awans, potocznie, przejście na wyższe stanowisko, zwiększenie uposażenia pracownika".

„Awans społeczny — proces przechodzenia jednostek, warstw, klas od niższych pozycji społecznych do wyższych i jeden z głównych rodzajów ruchliwości społecznej".

Kariera jest definiowana jako: „1) przebieg pracy zawodowej człowieka w ciągu jego życia; 2) przechodzenie jednostki od pozycji niżej cenionych do pozycji wyżej cenionych w danym społeczeństwie".

Awans w języku potocznym jest blisko, jeżeli nie równoznaczny z pojęciem kariera i oznacza zmianę miejsca w pozycji zawodowej lub płacowej pracownika, oznacza wspinanie się na pozycje bardziej cenione przez społeczeństwo, środowisko, otoczenie, czy samego awansującego, zawsze w układzie pionowym. Inaczej mówiąc mamy do czynienia z ruchliwością pionową (wertykalną).

Podobna jest zawartość określenia awans społeczny, dotyczy jednak nie tylko jednostek, ale różnego rodzaju zbiorowości.

Powstaje problem, dlaczego słowo kariera w okresie powojennym zostało zastąpione słowem awans, nawet jeżeli dotyczyło jednostki w sferze materialnej i układzie organizacyjnym. Przyczyn jest wiele, ale zapewne chodziło o wskazanie tego co dla większości członków społeczeństwa było zasadnicze, o podkreślenie awansu klas społecznych — robotniczej, chłopskiej, o wskazanie ich miejsca i roli w państwie, określanymi jako robotniczo-chłopskie.

Podkreślano, że awans klasy robotniczej jest niespotykany w dziejach Polski. Mówiono i mówi się o awansie politycznym, kulturalnym, ekonomicznym klas społecznych, a z nimi jednostek do klas tych należących. Niepotrzebne było słowo kariera, bo oznaczało ono awans indywidualny.

Czy jednak mamy do czynienia z rzeczywistym, czy tylko teoretycznym awansem jednostek w klasach poprzez awans klasowy? Awans klasowy nie zawsze musi oznaczać awans jednostek. Awans klas nie zaprzecza karier jednostkowych — właśnie karier, które awans klas ułatwia, ale bezwarunkowo nie zapewnia.

Awansowała klasa robotnicza, ale wielu jej członków pozostawało na niezmienionych pozycjach. Cóż bowiem oznacza awans klasy w teorii, a co w praktyce? W teorii znaczy, że klasa zdobyła władzę polityczną i sprawuje ją za pośrednictwem jednostek ze swej klasy, bądź ludzi pochodzących lub należących do innych klas społecznych. Klasa robotnicza zdobywając władzę polityczną decyduje o własności środków produkcji, jeżeli istnieją samorządy, uczestniczy w kierowaniu przemysłem, ponieważ technika zarządzania i organizowania produkcji właściwie jest niezmienna i niezależna od systemu politycznego. Technika zarządzania przemysłem zależy od poziomu technicznego, technologicznego, od poziomu wiedzy i umiejętności kadr kierowniczych. Zatem klasa robotnicza zdobywając władzę jest klasą panującą jako całość, natomiast pozycja jej członków nie musi ulegać zasadniczym zmianom. Analizując awans klas w Polsce można natomiast powiedzieć, że awans klasy chłopskiej charakteryzował się większym aniżeli robotniczej udziałem jednostek. Młodzi rolnicy, podobnie jak robotnicy wchodzili do szkół, uczelni, urzędów, przy czym wielu chłopów awansowało ekonomicznie. Są to ci wszyscy, którzy uzyskali ziemię z reformy rolnej, a maszyny i inwentarz z parcelacji majątków obszarniczych oraz ci, którzy otrzymali całe gospodarstwa na ziemiach zachodnich. Awansowali z proletariatu, biedoty wiejskiej do pozycji samodzielnych rolników. Był to niewątpliwy awans ekonomiczny i społeczny. Ludzie pozbawieni własności stali się jej właścicielami.

Wskazując na awans kulturalny klas wiąże się tę sprawę z awansem politycznym w kategoriach możliwości — szans, co nie oznacza, że są one przez wszystkich członków klasy wykorzystywane. Jeżeli w jakiejś części robotnicy mogą realizować ambicje związane z podnoszeniem wykształcenia na poziomie średnim lub wyższym, wówczas najchętniej i najczęściej przestają być robotnikami, przechodzą do inteligencji. Czy oznacza to awans klasy lub jednostek, które weszły w skład inteligencji?

Awans kulturalny, realizowany przez dostęp do wykształcenia, do twórczości kulturalnej, czynne i bierne uczestnictwo w kulturze, przy pozostaniu w klasie, przez robotników — jest specyficznie rozumianym awansem. Robotnik nie zmienia swej pozycji w hierarchii, w strukturze, zmienia siebie, zmienia swoją osobowość. Jednak jak wskazują przykłady, awans kulturalny — rozumiany jest jako wyjście ze swojej klasy, wejście do klasy — czy warstwy, która profesjonalnie trudni się twórczością.

Awans ekonomiczny nie jest wynikiem awansu całej klasy, ale grup i jednostek, albo przez wejście do klas, w których organizacja pracy, forma własności lub indywidualna sprawność czy wysiłek pociągają za sobą wyższe czy w ogóle wysokie zarobki, ze zmianą lub bez zmiany miejsca pracy i przynależności klasowej.

Zatem należałoby pojęcie awansu zachować dla określenia zmiany pozycji grup, a kariera dla zmiany pozycji jednostek.

Awans, odbywa się w czasie, w określonych warunkach i na tę sprawę chciałabym szczególnie zwrócić uwagę.

AWANS SPOŁECZNY KLASY ROBOTNICZEJ PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ I KARIERY JEJ CZŁONKÓW

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

Model awansu społecznego (1)

Zakończenie wojny na terenach Polski oznaczało realizację nowego systemu społeczno-politycznego — systemu socjalistycznego, niosącego na swych sztandarach hasła wyzwolenia społecznego, likwidacji wyzysku klasowego, uspołecznienia podstawowych środków produkcji, reformę rolną, awans polityczny, ekonomiczny i kulturalny klas wyzyskiwanych i upośledzonych.

Realia sytuacji społeczno-demograficznej po zakończeniu wojny, a nawet w czasie jej trwania na terenach wyzwolonych, to ogromne wyniszczenie ludności polskiej i niepolskiej przez okupanta, dyskryminacja i celowe wyniszczenie inteligencji, brak dostępu do nauki dla dzieci polskich przez 5-letni okres, emigracja spowodowana brakiem akceptacji dla nowego ustroju. Spowodowało to nie tylko brak rąk do pracy, dla odbudowy kraju, ale przede wszystkim brak kadr, które jeżeli nie decydowały o wszystkim, to o bardzo wielu istotnych dla życia narodu sprawach. Sytuacja ta była podstawą ukształtowania się modelu awansu pionowego — przyśpieszonego, z pominięciem wymagań, które stawia się przed kadrami w normalnych, pokojowych warunkach.

W połowie lat czterdziestych rzucone hasło, jakże dobrze oddające treść tego modelu: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z Ciebie oficera". Nie chodziło jedynie o oficerów w armii, ale o „dowódców", kierowników wszystkich niemal dziedzin życia. Realizowano bezpośredni „awans" z klasy robotniczej i chłopskiej do inteligencji. Powierzano funkcje i stanowiska naczelne i kierownicze robotnikom, chłopom. Awansowano wprost od warsztatu produkcyjnego lub z chłopskiej zagrody do gabinetów dyrektorskich w przemyśle i handlu. Był to rzeczywisty awans jednostek w ramach awansu klasy. Zreformowano studia wyższe — tworząc studia zawodowe — inżynierskie 3-letnie i magisterskie dla najzdolniejszych, tam gdzie to było możliwe, a więc poza studiami medycznymi, których się po prostu nie dało skrócić bez negatywnych konsekwencji, ale istniały szkoły felczerskie cywilne i wojskowe, których absolwenci w rzeczywistości wykonywali z pewnymi ograniczeniami zawód lekarza. Do uczelni wprowadzono młodzież robotniczą i chłopską, która nie uczyła się w szkołach średnich.

Drogę awansu bezpośrednio z klasy robotniczej i chłopskiej poprzez wykształcenie — wyjście z klasy pochodzenia, realizowano przy pomocy utworzonego na mocy dekretu z dnia 24 maja 1945 roku Wstępnego Roku Studiów w szkołach wyższych. Do podjęcia nauki na Wstępnym Roku wymagane było przygotowanie na poziomie tzw. małej matury. Na Roku Wstępnym w ciągu jednego roku, a rzeczywiście kilku miesięcy młodzież uzupełniała wiedzę konieczną (maturę) upoważniającą do wstępu na studia wyższe. Ponieważ młodzi robotnicy i chłopi nie posiadali przygotowania na poziomie „małej matury" zorganizowano pięciomiesięczne Kursy Przygotowawcze do wstąpienia na Wstępny Rok akademicki. Na kurs przygotowawczy przyjmowano młodzież robotniczą i chłopską w wieku 18—30 lat, a dolna granica wykształcenia wynosiła 7 klas szkoły podstawowej.

W roku 1949 utworzono dwuletnie studia przygotowawcze do szkół wyższych. Łącznie w latach 1946/47 — 1956/57 ukończyło kursy 14.842 osoby spośród 21.841 przyjętych. Trudno stwierdzić ilu spośród nich ukończyło szkoły wyższe, ale z całą pewnością można powiedzieć, że ci, którzy je ukończyli nie posiadali świadectw dojrzałości. Młodzi robotnicy i chłopi poprzez wykształcenie wyszli ze swej klasy, stając się pracownikami umysłowymi, inteligentami, a nawet intelektualistami.

Był to rzeczywiście awans pionowy — z klasy robotniczej i chłopskiej, był to awans jaki zapewnił ustrój socjalistyczny. Owe prawie 15 tysięcy osób nie mogłoby w innych warunkach opuścić swej klasy, awansować.

Intensywnie przygotowywano nauczycieli w liceach pedagogicznych i szkołach pedagogicznych, inżynierów w politechnikach, ekonomistów itp. Bez popełnienia błędów, można powiedzieć, że młodzież w połowie lat czterdziestych mogła dowolnie wybierać szkoły, studia lub podejmować pracę zawodową w wybranych przez siebie kierunkach. Gospodarka narodowa, kultura czekały na kadry.

Inną drogę awansu społecznego jednostek należących do klasy robotniczej realizowano w oparciu o technikum dla robotników wysuniętych Ministerstwa Przemysłu Lekkiego istniejącego w latach sześćdziesiątych w Łodzi. „Była to masowa szkoła awansu społecznego w środowisku włókniarzy — obejmowała nie tylko Łódź, lecz całą Polskę, choć większość zgłaszających się na naukę robotników pochodziła z Łodzi (60 proc.) i wracała do przedsiębiorstw łódzkich". „Szkoła powołana z internatem starała się przysposobić swych wychowanków nie tylko do wykonywania nowych zadań zawodowych oraz funkcji kierowniczych, ale również do nowych zadań społecznych. Słuchacze przeważnie pochodzenia robotniczego (61,4 proc.) rzadziej chłopskiego (21,3 proc.) mieli w większości ukończoną jedynie szkołę podstawową". (Z. Kowalewski, Problemy kształcenia w rodzinie włókniarskiej, w: Włókniarze łódzcy — Monografia; Wyd. Łódzkie 1966, s. 549).

Tego typu szkoły istniały także w innych rejonach Polski.

Zatem główne elementy modelu awansu z lat czterdziestych i pięćdziesiątych to:

1) szeroki, niczym, nawet niską sprawnością intelektualną, nie ograniczony dostęp do nauki;

2) praca zgodna z kierunkiem wykształcenia, poziomem i specjalizacją;

3) otwarta droga awansu na stanowiskach, ułatwiona przez tzw. „nomenklaturę";

4) mieszkania budowane przez państwo (kwaterunkowe),

5) bezpłatne żłobki, przedszkola, wczasy.

Taka droga życiowa była uzasadniona w latach pięćdziesiątych, w społeczeństwie o zupełnie innej strukturze, w zupełnie innym etapie uprzemysłowienia.

Po wojnie Polska liczyła około 25 milionów ludności. Ludzi było mało, nie mieli wykształcenia, wielu było analfabetami. Brakowało kadr, brakowało rąk do pracy w mieście, w przemyśle, dla odbudowy, dla industrializacji. Nawet źle pracujący ludzie byli potrzebni, ale ludzie pracowali dobrze, uczyli się chętnie. Każdy człowiek mógł znaleźć dla siebie, w czym pomagało państwo, odpowiednie miejsce w życiu. Ludzie cieszyli się wolnością, niepodległością. Popełniali błędy wynikające z niewiedzy. Wiedzę zastępowano entuzjazmem, co niekiedy dawało lepsze wyniki niż obecnie wiedza i brak entuzjazmu.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Drogi awansu, rozwoju były szerokie choć niekiedy wyboiste, nieproste. Prawie wszyscy byli bardzo biedni, prawie wszyscy byli obolali po zakończonej niedawno wojnie, prawie wszyscy wierzyli, że szybko uda się dokonać zasadniczych zmian w gospodarce jako całości i poszczególnych zakładach pracy. Na absolwentów szkół i uczelni czekały miejsca pracy, perspektywa awansu i związanych z nim przywilejów, a więc mieszkania (darmo), talony na radio, pralki wirówkowe, motocykle, a później inne droższe i bardziej „luksusowe" dobra.

Kształcono szybko, czasami niewyczerpująco, ale brak było książek, podręczników, sal wykładowych, laboratoriów, urządzeń. W życie społeczne, zawodowe zaczęli wchodzić nowi inteligenci. W latach sześćdziesiątych okazało się, że do zakładów pracy napływają ludzie, którzy uzyskali przygotowanie szkolne, a w latach następnych urodzeni w Polsce Ludowej. Czy taka droga awansu może być realizowana obecnie? Pytanie jest właściwie bez sensu. Nikt, nie ma wątpliwości, że nie, ponieważ młodzież w Polsce ma nie tylko prawo, ale obowiązek szkoły, obowiązuje nauka do 16 roku życia, lub łączenia pracy z nauką do 18 roku życia. Nie ma żadnych przeszkód formalnych w zdobywaniu wiedzy. Czy jednak cała młodzież może i powinna awansować wychodząc ze swych klas. Teoretycznie i praktycznie jest to niemożliwe. Wykształcenie zapewnia karierę jednostkom, a nie awans klas. Kariera jest otwarta dla najpracowitszych, najzdolniejszych, dla utalentowanych niezależnie od pochodzenia klasowego.

Sądzę jednak, że wielu utalentowanych młodych ludzi w klasie robotniczej i chłopskiej nie może się kształcić, bo wymagania szkolne są dla nich zbyt wysokie lub szkoły nie realizują oczekiwań szkół wyższego stopnia. Zatem barierą awansu jest także wykształcenie. Pisał o tym w roku 1973 Mikołaj Kozakiewicz w książce „Bariery awansu poprzez wykształcenie".

Jeżeli chce się utrzymać wysoki poziom szkolnictwa na wszystkich poziomach, to rzecz jasna będzie on barierą nie do przebycia dla młodzieży, która nie ma potrzeby uczenia się, nie widzi sensu uczenia się, nie jest przez dom rodzinny do uczenia się motywowana.

Może zatem na sprawę awansu klasowego należałoby spojrzeć inaczej? Może należałoby przestać mówić o awansie młodzieży robotniczej i chłopskiej oznaczającym wyjście z macierzystych klas i przejście do inteligencji, a wykształcenia nie traktować jako awans, ale jako drogę do kariery, która dla jednych jest krótka, zaledwie 8—10-letnia, a dla innych bardzo długa 17-letnia.

Karierę zawodową mogą robić ludzie, którzy uczyli się 10 lat i 17 lat, w ramach zawodu, zarobków, kultury, stylów życia. Odnoszę wrażenie, że formuła awansu, która była konieczna i w pełni uzasadniona w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, obecnie ciśnie jak zbyt ciasny gorset i powoduje wiele nieporozumień.

A może należałoby przestać mówić o wyrównywaniu szans, bo w moim przekonaniu nie ma różnic w szansach między młodzieżą niezależnie od przynależności klasowej mieszkającą w miastach, pomiędzy młodzieżą pochodzącą z zamożnych rodzin robotniczych i licho płatnych pracowników umysłowych. To różnica w wykształceniu, w poziomie szkoły i dostępie do wykształcenia pomiędzy mieszkańcami wsi i miast powinna być przedmiotem troski, także przecież nie tak już biednej i zacofanej wsi. Może pora przestać uważać pracę umysłową jako awans społeczny, a zawody wymagające uniwersyteckich przygotowań jako element nobilitujący.

W Polsce Ludowej każdy człowiek ma szanse, każdy młody człowiek ma szanse zająć takie miejsce, jakie chce zająć. Opory budzi zachęcanie do nauki np. w technikach zaocznych lub wieczorowych młodych robotników, bez wskazania, że uczą się nie po to, aby przestać być robotnikami, tylko żeby być wszechstronniej wykształconymi ludźmi. Obietnica i idące za tym oczekiwania robotników, że po ukończeniu technikum będą urzędnikami nie ma racjonalnych podstaw.

Co by się stało, gdyby wszyscy ludzie w Polsce uzyskali średnie wykształcenie i wobec tego nie chcieli pracować jako robotnicy? Na jednym ze spotkań członek Biura Politycznego T. Czechowicz powiedział, że w Łodzi łatwiej znaleźć z tygodnia na tydzień do pracy stu inżynierów aniżeli dziesięciu cieśli. I tak jest. Ale czy tak być powinno? Dlaczego ciągle zniechęca się robotników do zawodów robotniczych, mówiąc, że ich dzieci koniecznie powinny być inteligentami? Dlaczego rolnikom mówimy, że ich dzieci powinny być inteligentami? Przecież wiadomo, że po ukończeniu studiów na wieś nie wracali i nie wracają. Skąd optymizm, że wrócą?

Tradycje zawodowe kontynuowane w rodzinach są cenne w każdym zawodzie, a tradycje przynależności do klasy robotniczej panującej i najbardziej rewolucyjnej nie powinny być uznawane za degradujące.

Współcześni robotnicy mówią pięknie po polsku, wypowiadają się w kwestiach politycznych, ideologicznych i społecznych. Podobnie rolnicy — to ludzie coraz częściej umiejący racjonalnie wykorzystywać ziemię, prowadzić gospodarstwa rolne. Jeżeli przynależność do klasy robotniczej niektórzy uważają za degradację, to dlatego, że przejęliśmy model awansu z innego — kapitalistycznego systemu społeczno-ekonomicznego, powstałego na użytek innych klas społecznych i chyba pora, aby od tego odejść.

Model awansu społecznego jest tak silnie zinternalizowany, że próba odejścia od niego kojarzy się wielu ludziom z odejściem od założeń i ideałów socjalizmu. Próba rezygnacji z tego modelu, nawet tylko w dyskusji budzi oburzenie, a w działaniu opór. Czy jednak możliwe jest dalsze upieranie się przy czymś, co nie może być realizowane, co już się przeżyło?

(DOKOŃCZENIE W NUMERZE NASTĘPNYM)

Historyczne znaczenie Łaby

ze str. 1

wymienione rzeki, pierwsze grupy Indoeuropejczyków przybyły ze stepów nadkaspijskich pod koniec III tysiąclecia p.n.e. Była to tzw. ludność starocuropejska (Wenetowie). Przeszło tysiąc lat później zjawili się tu Celtowie, Germanie, Słowianie i Bałtowie. Na początku naszej ery północne obszary dzisiejszych Niemiec i Polski zajmowały plemiona germańskie: na Pomorzu nadwiślańskim siedzieli Goci i Gepidowie (Żuławy), nad Odrą — Wandalowie i Burgundowie, nad Łabą — Sasowie, Longobardowie i Semnonowie, a dalej Charkowie, Cheruskowie, Fryzowie i inni. W tym czasie Słowianie mieli swoje siedziby na rozległych terenach od Odry po Dniepr.

Ruchliwe, ekspansywne i wojownicze ludy germańskie silnie ciążyły ku południowym rejonom Europy. Pod koniec II i w ciągu III stulecia n.e. opuściły na zawsze ziemie między Łabą a Wisłą. Goci udali się nad Morze Czarne, a potem panowali w Italii (Ostrogoci) i Hiszpanii (Wizygoci). Gepidowie znaleźli się w północnym Siedmiogrodzie. Wandalowie przeszli Francję oraz Hiszpanię i założyli państwo w północnej Afryce. Semnonowie przenieśli się nad górny Men. Burgundowie znaleźli sobie ostatecznie miejsce w dolinie Rodanu i Saony. Longobardowie trafili do północnych Włoch. W rezultacie tych migracji opustoszały tereny między Łabą i Odrą, lecz w ciągu V—VI wieku napłynęły tutaj plemiona słowiańskie. I w ten sposób Łaba stała się zachodnią granicą obszaru zajętego przez zwarte osadnictwo słowiańskie.

Na prawym brzegu dolnej Łaby osiedlili się Obodryci, na południowy wschód od nich Wieleci, a w bagnistych Łużycach — Serbowie. Były to trzy słowiańskie związki plemienne, które znalazły ojczyzny na zachód od rzeki Odry. Ponadto wyspę Rugię — po germańskich Rugiach, którzy wywędrowali nad dolny Dunaj i do Italii — zajęli słowiańscy Ranowie. Niestety, wśród Słowian połabskich nie było jedności w obliczu zagrożenia germańskiego, które pojawiło się od drugiej połowy VIII wieku w związku z ekspansją wschodnią Franków. Kiedy w 789 r. wojska Karola Wielkiego uderzyły na plemiona wieleckie, wspomagały je oddziały Obodrytów i Serbów. W owym czasie wschodnią granicę imperium karolińskiego stanowiły rzeki Łaba i jej lewoboczny dopływ Sala. Nic więc dziwnego, że dwa wieki później Bolesław Chrobry — jak podaje Gall Anonim — „żelaznymi słupami (wbitymi) w rzece Sali oznaczył granice Polski."[2] A z okazji koronacji Jana III Sobieskiego pewien kaznodzieja dworski wzywał króla, aby ruszył nad Salę i podniósł z wody słupy wbite przez Chrobrego.

Na przełomie IX i X wieku dominującą pozycję wśród związków germańskich między Renem a Łabą zdobyło księstwo saskie. Jego władca, Henryk, został w 919 r. królem państwa wschodniofrankijskiego, czyli Niemiec, i wkrótce przystąpił do ujarzmiania Czechów, Serbów, Wieletów i Obodrytów. Ideologicznym pretekstem tej ekspansji była chrystianizacja. Mimo zaciętego oporu wojownicy słowiańscy nie byli w stanie sprostać rycerzom niemieckim. W ślad za najeźdźcami postępowali duchowni z ofertą chrztu jako propozycją nie do odrzucenia. Na zdobytych ziemiach powstały biskupstwa w Starogardzie, Hobolinie i Brennie.

Przymusowa chrystianizacja i ucisk feudalny spowodowały, że ludność słowiańska wzniecała bunty. W latach pięćdziesiątych między Odrą a Łabą toczyły się zacięte walki, które prawdopodobnie przyspieszyły lub rączej wymusiły decyzję Mieszka I o przyjęciu chrztu. W 983 r., korzystając z osłabienia Niemiec, Słowianie połabscy wywołali ogólne powstanie. Przy czym najwięcej nienawiści okazywano Kościołowi chrześcijańskiemu. Niedawno stworzone siedziby biskupie kompletnie zburzono.[3] Po stronie niemieckiej walczyły przeciwko powstańcom, niestety, oddziały polskie i czeskie. Słowianie połabscy musieli skapitulować. Lecz po dziesięciu latach znowu zerwali się do powszechnej walki o wolność. I tym razem także współdziałali w pacyfikacji ich ziem, obok Niemców, Czesi i Polacy. Kolejne powstanie wybuchło w 1055 r. i z trudem zostało stłumione. Ale wciąż cesarstwo nie mogło w pełni podporządkować sobie Załabia słowiańskiego. Toteż w połowie XII w. zorganizowano tutaj wielką wyprawę krzyżową, w której również uczestniczyły posiłki czeskie i polskie. Rycerze chrześcijańscy, jak wszędzie w każdej krucjacie, okrutnie obeszli się z podbijanymi „poganami" — siali śmierć i zniszczenie. Wyprawa ta przyczyniła się do ostatecznego ujarzmienia Obodrytów i Wieletów, kładąc kres ich samodzielności. W przypadku ludów germańskich była to jakby rekonkwista, lecz przecież ich przodkowie dobrowolnie stąd się wynieśli w poszukiwaniu lepszych ziem, natomiast Słowianie gospodarowali tu przez pięćset lat. A poza tym praojczyzną Germanów była południowa Skandynawia.

Po zawojowaniu Połabian w obliczu bezpośredniej konfrontacji z Niemcami stanęła Polska. I niebawem utraciła Pomorze Zachodnie, a na dalsze tereny napłynęły tysiące kolonistów niemieckich. W wiekach XIII—XV nawet zarządy miast w Małopolsce (Kraków, Wieliczka, Bochnia, Nowy Sącz, Tarnów, Pilzno, Sandomierz, Krosno, Przemyśl, Lwów) składały się przeważnie z Niemców. Zdaniem Jana Ptaśnika stołeczny Kraków dopiero od 1537 r. stał się miastem „na wskroś polskim."[4] W tymże roku przywrócono w Kościele Mariackim nabożeństwa polskie. Jak widać, wcześnie doświadczyliśmy niebywałej ekspansji żywiołu niemieckiego, który otoczył Polskę od północy (Krzyżacy), zachodu i południa.

Za fenomen trzeba uznać fakt, że przez tyle wieków germanizacji nie zdołano jednak całkowicie wyeliminować Słowian połabskich. Na zachód od Nysy Łużyckiej liczna grupa ludności nadal dziś używa języka serbołużyckiego. W kilku powiatach Niemieckiej Republiki Demokratycznej istnieją dwujęzyczne nazwy miejscowości, ulic, instytucji, a dzieci słowiańskich Serbołużyczan mogą uczyć się mowy i kultury ojczystej. Warto pamiętać, że niemieckie Bautzen to łużyckie Budyšin (Budziszyn), a Cottbus to Chóšebuz (Chociebuż). Język górnołużycki jest zbliżony do czeskiego, zaś dolnołużycki do gwary śląskiej — odmienności te wynikają z dawnych różnic plemiennych w ramach związku serbskiego (Milczanie i Łużyczanie). W kwietniu 1945 r. marszałek Iwan Koniew uprzedził swych żołnierzy, że będą wyzwalać ziemię od wieków słowiańską.[5]

W dziejach Niemiec, Polski i Europy szczególnie złowrogą rolę odegrały Prusy. Jednakże zakrawa na ironię losu, że osławiony duch pruski narodził się w państwie, które powstało głównie na terenach słowiańskich i składało się w ogromnej części z ludności słowiańskiej. W 1868 r. premier Otto von Bismarck pisał w liście do pewnego uczonego: „Prusacy stanowią silną mieszaninę elementów słowiańskich i germańskich. To jest główna przyczyna ich użyteczności w państwie."[6] W rozwoju Prus i samego Berlina trudno też przecenić znaczenie francuskich hugenotów, Żydów, Holendrów i innych. Bernt Engelmann twierdzi, że idee „prawdziwych" Prusaków były w znacznej mierze „produktem żydowsko-hugenockiego rozumu i słowiańsko-germańskiej fantazji..."[7] Pisarz zachodnioniemiecki znakomicie pokazał złożony obraz dziejów Prus. Jego książka pozwala Polakom zrozumieć, dlaczego w Niemieckiej Republice Demokratycznej można nawiązywać do tradycji pruskiej.

2.

Kiedy między połową XII a połową XIII w. nastąpiło przesunięcie granicy niemieckiej daleko na wschód, Łaba straciła znaczenie etniczno-polityczne, lecz już wówczas wzdłuż jej biegu zaczął się rysować podział gospodarczy Europy, który wyraźnie zaznaczył się w XVI stuleciu. Na zachód od Łaby panowało przeludnienie i brakowało ziem pod uprawę, na wschodzie zaś odwrotnie — było dużo wolnych gruntów, lecz mało siły roboczej. Stan ten tylko przejściowo uległ zmianie po epidemii „czarnej śmierci" (1348—1350), która pozbawiła życia co trzeciego mieszkańca Europy i spowodowała opustoszenie wielu regionów. W krajach zachodnich szybko rozwijały się miasta i rosła liczba mieszczaństwa, natomiast za Łabą — daleko od cywilizacji śródziemnomorskiej — nie było nawet tradycji urbanistycznej. Bardzo znamienna jest informacja Jana Długosza dotycząca 1257 roku: „Bolesław Wstydliwy, książę krakowski i sandomierski, chcąc swoje stołeczne miasto Kraków pomyślniejszym obdarzyć wzrostem, którego pod rządem Polaków i prawem polskim osiągnąć nie mogło, nadał je prawem średzkim, czyli niemieckim, i ustanowił w nim wójta, który skład miasta i rozpołożenie domostw, porozrzucanych bez ładu i szyku, zmienił i należycie uporządkował: a utworzywszy po raz pierwszy rynek środkowy powyprowadzał z niego rządne i w stosownym kierunku wytknięte ulice."[8]

Począwszy od XVI wieku Zachód stopniowo pozbywał się form feudalnych i tworzył podstawy cywilizacji przemysłowo-kapitalistycznej. A Wschód, przeciwnie, koncentrował się na rolnictwie i umacniał struktury feudalne. Gdy na Zachodzie uwalniano chłopa, zamieniając pańszczyznę i daniny na czynsze, to na Wschodzie zapanowało tzw. „wtórne poddaństwo" przypominające niewolnictwo. W celu zwiększenia produkcji zboża, na które w państwach zachodnich istniał olbrzymi popyt, szlachta krajów wschodnich zwiększała areał ziemi i eksploatację chłopa. W ten sposób ugruntował się ustrój folwarczno-pańszczyźniany. Wielkie majątki ziemskie funkcjonowały w oparciu o przymusową i darmową robociznę chłopów. Tego typu gospodarstwa nie mogły upowszechnić się na Zachodzie, ponieważ nie było tam odpowiednich zasobów wolnej ziemi i należałoby wyrugować zdecydowanie więcej chłopów.[9] Przeciętna gęstość zaludnienia w Europie Zachodniej była dwukrotnie większa niż na ogromnych połaciach Europy Wschodniej.

Pańszczyźniany folwark szlachecki był źródłem zacofania cywilizacyjnego, utrwalał wzory gospodarki ekstensywnej i kształtował negatywne postawy wobec pracy. W okresie od XV do XVIII w. plony zbóż w Europie Wschodniej pozostały bez zmian, a w przodujących krajach Zachodu podwoiły się! Należy pamiętać, że w Polsce uchodzącej za „spichlerz Europy" w XVII w. plony nawet zdecydowanie spadały, a w kolejnym stuleciu wzrosły nieznacznie. Paradoks polegał na tym, że sprzedawaliśmy zboże państwom posiadającym lepsze od nas rolnictwo i wyższy poziom życia. Lecz nasze zboże było tańsze z powodu niewolniczej pracy chłopa pańszczyźnianego, który żył w nędzy i często nie dojadał. Witold Kula uważa, że dla szybko rozwijających się europejskich państw zachodnich kraje wschodniej części kontynentu spełniały rolę kolonii, były miejscem swoistych plantacji zbożowych.[10] Nie ma więc sensu wydziwianie, że niegdyś eksportowaliśmy zboże, a dziś nie możemy się wyżywić.

Przez ponad 300 lat panował w Europie ów dualizm agrarny. Granica biegła w przybliżeniu wzdłuż rzeki Łaby i wschodnich krańców Alp. W tej sprawie historycy są zgodni, a różnią się jedynie w kwestii przyczyn i rozmiarów zjawiska. Natomiast dla socjologa ważne jest jeszcze coś innego, mianowicie fakt, że ta dawna tradycja determinuje teraźniejszość, gdyż wytworzyła określony charakter społeczny. W Polsce do nawrotu feudalizmu w XVI—XVIII w. należy ponadto dodać zwycięstwo kontrreformacji. Refeudalizacja i rekatolizacja w takim stopniu cofnęły nas w rozwoju, gdy Zachód przeżywał postęp cywilizacyjny, że skutki będziemy jeszcze długo odczuwać. W środowiskach protestanckich na wschód od Łaby przynajmniej kompensująco oddziaływał specyficzny etos pracy. Na przykład wśród Polaków należących do Kościoła luterańskiego dominowali ludzie pracowici, obowiązkowi, solidni. Jan Szczepański wspomina: „Człowiek robotny był człowiekiem dobrym. Bo robota stanowiła także religijne przymierze z Panem. Człowiek robotny nie miał czasu na grzechy, jakie by one nie były. Szanował także owoce swojego wysiłku zdobyte z boską pomocą i nie marnował ich na pijaństwo czy zbytek."[11]

Pod koniec XIX w. stosunki społeczne w Niemczech wschodnich badał Max Weber. Zwrócił on uwagę, że po obu stronach Łaby istnieją odmienne struktury agrarne i postawy psychiczne. Na zachodzie przeważały gospodarstwa małe i średnie, na wschodzie zaś małe i bardzo duże Wielcy właściciele ziemscy (junkrzy) ujawniali brak „inteligencji ekonomicznej", pogardę dla zawodu kupieckiego oraz „feudalne gesty i pretensje." W tradycyjnym patriarchalizmie społeczności wiejskich na wschód od Łaby upatrywał Weber podstaw pruskiego reżimu i posłuszeństwa rozkazom.[12]

3.

Aktualny podział Niemiec wydaje się czymś anormalnym, będącym tylko wyrazem kary za rozpętanie II wojny światowej. Nie należy wszak zapominać, że w całej historii naprawdę jednolite Niemcy istniały bardzo krótko. Normalnym stanem tej zbiorowości etnicznej było wręcz monstrualne rozdrobnienie polityczne, które utrzymywało się przez wieki. Polska przezwyciężyła feudalne rozbicie dzielnicowe w 1320 r., a Niemcy faktycznie dopiero w latach 1870—1871. W momencie wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej pojęcie Niemiec obejmowało aż 289 odrębnych państw! Obok takich potęg jak Prusy i Austria, funkcjonowały maleńkie niezależne państewka, w których panowały rządy absolutystyczne. Utworzony na kongresie wiedeńskim Związek Niemiecki był już uproszczoną konfederacją, która wciąż jeszcze obejmowała 41 państw: jedno cesarstwo (Austria), pięć królestw (Prusy, Bawaria, Hanower, Saksonia, Wirtembergia), siedem wielkich księstw, dwadzieścia trzy księstwa, jedno hrabstwo i cztery wolne miasta (Frankfurt, Hamburg, Brema, Lubeka). Trudno się dziwić, że ten luźny twór pod hegemonią Austrii nazywano „pośmiewiskiem Europy".

Aby później w pełni zintegrować zjednoczone Niemcy trzeba było przeciwstawić je innym narodom oraz wychowywać społeczeństwo w duchu nacjonalizmu i szowinizmu. Dwa lata przed wybuchem I wojny światowej wielką popularność zdobyła książka Friedricha von Bernhardi pod znaczącym tytułem — „Niemcy a następna wojna". Jeden z rozdziałów głosił: „Mocarstwo światowe albo zagłada". Rosnącemu militaryzmowi przeciwstawiała się jedynie lewica niemiecka.[13] I ta sama historia powtórzyła się przed II wojną światową. Autor „Mein Kampf" również napisał dość prorocze zdanie: „Niemcy będą mocarstwem światowym, albo w ogóle przestaną istnieć." Już w czwartym dniu swego urzędowania Adolf Hitler postawił przed wyższymi oficerami Wehrmachtu następujący cel: „Zdobycie nowej przestrzeni życiowej na Wschodzie i jej bezwzględna germanizacja."[14] Żeby jednak przystąpić do realizacji musiał najpierw wyeliminować oponujących komunistów i socjaldemokratów. Poważną odpowiedzialność za dojście do władzy szaleńców faszystowskich ponosi Kościół rzymskokatolicki. „Watykan opętany strachem przed komunizmem — stwierdza Hugh R. Trevor-Roper — uważał Włochy i Niemcy za bastion Kościoła i społeczeństwa w Europie."[15] Z tej fatalnej oceny skrajnej prawicy niektórzy duchowni do dziś nie wyciągnęli właściwych wniosków. Nadal nie pojmują, że antykomunizm jest „podstawowym szaleństwem naszej epoki" (Tomasz Mann).

Adolf Hitler, podobnie jak niegdyś Napoleon Bonaparte, nie docenił rosyjskiego ducha niepodległości. Pogarda dla Słowian uniemożliwiła mu prawidłowe oszacowanie ich zdolności do mobilizacji zasobów intelektualnych i materialnych. Konsekwencją tej pomyłki było przekreślenie rezultatów wiekowego parcia na wschód. Niemcy poszli za daleko i musieli zawrócić. Przed nadciągającą armią radziecką uciekali również ci, dla których ziemie wschodnie były rodzinnym krajem ojców i dziadów — ojczyzną prywatną (Heimat). Wypędzali ich zresztą sami rodacy. Niemiecki proboszcz z Wrocławia, ksiądz Paul Peikert, notował w kronice parafialnej: „Ta gwałtowna ucieczka na rozkaz władz partyjnych jest chyba największą katastrofą, jaka kiedykolwiek dotknęła nasz naród. Niesłabnący terror i nieustanne nakłanianie do ucieczki pozostałych jeszcze mieszkańców Wrocławia oddziaływa tak deprymująco i tak przygnębiająco, że w naszym mieście wzrosła niepokojąco liczba samobójstw. (...) Dla uspokojenia ludności i złagodzenia gniewu i niechęci do przymusowych posunięć kierownictwa partyjnego prasa szerzy wciąż propagandę grozy o rzekomych okrucieństwach Rosjan wobec bezbronnej ludności. Dotychczas słyszało się na ogół, że wkraczający Rosjanie postępowali przyzwoicie z ludnością zajętych miast i osiedli."[16] Spośród 7,1 mln ludności niemieckiej lub zgermanizowanej, która przed wojną zamieszkiwała nasze Ziemie Odzyskane, uciekło przymusowo bądź dobrowolnie 4,5—5 mln osób. Natomiast w latach 1946—1949 przesiedlono do Niemiec 2,3 mln. O ile przesiedlenia odbywały się w znośnych warunkach, pod kontrolą międzynarodową, to masowy exodus na rozkaz władz hitlerowskich przyniósł ponad 600 tysięcy ofiar śmiertelnych wśród cywilów.

W kwietniu 1945 r. Naczelne Dowództwo radzieckie zgrupowało 2,5 mln żołnierzy do ostatecznej rozprawy na kierunku berlińskim. W tej gigantycznej operacji strategicznej uczestniczyli też żołnierze 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Zgodnie z porozumieniem zawartym w Jałcie, wyzwolenie Berlina i terenów na wschód od Łaby przypadło Związkowi Radzieckiemu. W dniu 25 kwietnia w rejonie miasta portowego Torgau nad Łabą doszło do spotkania wysuniętych oddziałów radzieckiej 5 armii gwardii i amerykańskiej 1 armii. Borys Polewoj wspomina: „Wojna jakby zatrzymała się nad tą rzeką. Bataliony szturmowe, zaprawione przy forsowaniu Wisły, Odry i Szprewy, bez większego trudu uchwyciłyby przyczółek, ale zatrzymano je przed rzeką i skierowano na wypoczynek w nadbrzeżnych laskach. Agitatorzy wyjaśniali, że natarcie wstrzymano, gdyż doszliśmy do linii ustalonej w porozumieniach międzysojuszniczych. Taką właśnie linią graniczną stała się Łaba."[17] Kilka dni później osiągnęły tę linię także główne siły I Armii Wojska Polskiego i nawiązały styczność z oddziałami 9 armii USA. W ten sposób pradawne ziemie Obodrytów, Wieletów i Serbołużyczan wyzwoliły wojska radziecko-polskie, składające się w znacznej większości ze Słowian.

Po wojnie nastąpiło przemieszczenie geograficzne słowiańskiej Polski o ok. 200 km na zachód. W wyniku przesunięcia granicy radzieckiej na linię Curzona, a polskiej na linię Odry i Nysy Łużyckiej, utraciliśmy 180 tys. km kw. powierzchni na wschodzie, uzyskując w zamian 102 tys. km kw. na zachodzie i północy. Ziemie przekazane ZSRR stanowiły 46 proc. przedwojennego terytorium naszego państwa, zaś tereny odzyskane obejmują jedną trzecią obecnego obszaru kraju. Zmiana ta spowodowała, że mamy w zasadzie jednonarodowe państwo, które znajduje się w tym samym prawie miejscu i kształcie jak było za pierwszych Piastów. Słynny dokument „Dagome iudex" sprzed blisko 1000 lat określał następujące punkty graniczne Polski: Bałtyk — Prusy — Ruś — Kraków — Morawy — Milsko — Odra.

Za Odrą i Nysą Łużycką znajduje się dziś zaprzyjaźnione z nami niemieckie państwo socjalistyczne, w którym żyje ok. 150 tysięcy słowiańskich Serbołużyczan. Zachodnia granica Niemieckiej Republiki Demokratycznej — biegnąca częściowo wzdłuż Łaby oraz Werry — jest granicą bezpieczeństwa Polski, Słowiańszczyzny, ZSRR i socjalizmu. Łaba po dawnemu dzieli Europę na części zachodnią i wschodnią. Sytuacja ta sprzyja pewnej równowadze na naszym kontynencie, który od 40 lat nie zaznał wojny, co przecież stanowi fenomen historyczny.

Na początku 1982 r., po rozmowach z Ronaldem Reaganem, były kanclerz Helmut Schmidt dość realistycznie i uspokajająco stwierdził: „Przed blisko 40 laty przedstawiciele państw zebrani na konferencji w Jałcie postanowili praktycznie podzielić Europę na strefy wpływów. Obecnie wiele osób tego żałuje, ale nie ulega wątpliwości, że od 40 lat Zachód respektuje zasadę, iż kraje położone na wschód od Łaby... nie podlegają dominacji zachodniej".[18] Na podstawie mojego artykułu należałoby tu jeszcze dodać, że podziału Europy wzdłuż Łaby nie wymyślono dopiero na konferencji jałtańskiej i nie istnieje on tylko 40 lat, lecz w zasadzie utrzymuje się od piętnastu wieków. Racja historyczna nie ma, oczywiście, znaczenia politycznego, gdyż w polityce liczy się interes i rozstrzyga siła, ale ma wartość psychologiczno-moralną: lepiej mieć pewność, że istniejący ład zgodny jest z jakąś prawidłowością dziejową, niż żyć ze świadomością, że stanowi rezultat kaprysu czy kompromisu trójki osób, nawet jeśli to była Wielka Trójka.

EDMUND LEWANDOWSKI

Przypisy

1) Historia nie ma sensu. Rozmowa z prof. dr Aleksandrem Krawczukiem, historykiem starożytności. „Itd" 1981, nr 5, s. 16.

2) Anonim tzw. Gall, Kronika polska, przełożył Roman Grodecki, Wrocław — Warszawa — Kraków — Gdańsk — Łódź 1982, s. 18.

3) Podobne wydarzenia rozgrywały się w Polsce ok. 1037 r. (rewolucja społeczno-pogańska). Gall Anonim ze zgrozą pisze, że ludzie „podnieśli bunt przeciw biskupom i kapłanom Bożym i niektórych z nich, jakoby w zaszczytniejszy sposób, mieczem zgładzili, a innych, jakoby rzekomo godnych lichszej śmierci, ukamieniowali". (Tamże, s. 41).

4) J. Ptaśnik, Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce, Kraków 1934, s. 327.

5) Zob. W. Kochański, Dole i niedole Serbołużyczan, Warszawa 1962.

6) Cyt. za B. Engelmann, Prusy. Kraj nieograniczonych możliwości, Poznań 1984, s. 26. „W położonych na wschód od Łaby częściach Królestwa Pruskiego z 1868 r. — pisze Bernt Engelmann — mieszkała ludność w znacznym stopniu zgermanizowana lub zniemczona, jednakże z pochodzenia w przeważającej części słowiańska". (Tamże, s. 30).

7) Tamże, s. 538.

8) Jana Długosza Roczniki, czyli Kroniki królestwa polskiego, w: By czas nie zaćmił i niepamięć. Wybór kronik średniowiecznych. Opracowała Antonina Jelicz, Warszawa 1979, s. 139—140.

9) To proste i przekonywające uzasadnienie podaje Jerzy Krasuski — W poszukiwaniu sensu dziejów, Poznań 1976, s. 166—168 i 77. Zob. też E. Kaczyńska, K. Piesowicz, Wykłady z powszechnej historii gospodarczej (od schyłku średniowiecza do I wojny światowej), Warszawa 1977, s. 118—131 i 163—181.

10) Zob. W. Kula, Historia, zacofanie, rozwój, Warszawa 1983, s. 163—163, 185—189.

11) J. Szczepański Korzeniami wrosłem w ziemię Katowice 1984, s. 33. „Biblia nie mówiła nic o tym, że Pan też się bawił i zabawy zawsze budziły podejrzenie, że są szatańskiego pochodzenia". (Tamże, s. 65).

12) R. Bendix, Max Weber. Portret uczonego, Warszawa 1975, s. 20—43.

13) B. Engelmann, My poddani. Antypodręcznik historii Niemiec, Poznań 1976, s. 367—370.

14) K. H. Janssen... A jutro cały świat, w: Po upadku Trzeciej Rzeszy. Wybrali i wstępem opatrzyli J. W. Borejsza i S. H. Kaszyński, Warszawa 1981, s. 388—389.

15) H. R. Trevor-Roper, Zjawisko faszyzmu, w: Faszyzmy europejskie (1922—1945) w oczach współczesnych i historyków. Wybrał i wstępem opatrzył J. W. Borejsza Warszawa 1979, s. 425. Warto tu odnotować, że w Polsce ksiądz prof. dr Józef Pastuszka uznał kierunek reprezentowany przez Hitlera za „umiarkowany" (sic!) i uznał, że ideologia ta „zawiera miażdżącą i najczęściej trafną krytykę rządów demokratycznych". (J. Pastuszka, Filozoficzne i społeczne idee A. Hitlera, Lublin 1938, s. 72 i 83.).

16) P. Peikert, Kto ich wypędzał, „Sprawy i Ludzie" 1983, nr 10, s. 4.

17) B. Polewoj, Do Berlina 896 kilometrów, Warszawa 1978, s. 195.

18) Cyt. za: T. Pióro, Jałta i Poczdam, „Kultura, Oświata, Nauka" 1983, nr 8, s. 29—30.

(1)

Student w fabrycznym mieście

W połowie lat sześćdziesiątych XIX stulecia Łódź była jak na owe czasy miastem dużym, bo liczącym już blisko czterdzieści tysięcy mieszkańców. Po Warszawie był to więc drugi ośrodek miejski na terenie Królestwa Polskiego. Mimo to w odczuciu ówczesnego społeczeństwa polskiego było to miasto bez tradycji, które dopiero niedawno wyrosło do roli wielkiego ośrodka przemysłowego. W typowej robotniczej aglomeracji inteligencja polska była bardzo nieliczna, Łódź nie była też jeszcze w tym czasie ośrodkiem powiatowym, ale leżała na terenie ówczesnego powiatu zgierskiego, którego władze rezydowały w niewielkim miasteczku Piątku. Mimo tego, że od lat czterdziestych XIX w. zaniechano adresowania listów *„Łódź pod Zgierzem"*, to opinia społeczeństwa polskiego odnosiła się z pewną nieufnością do tego *„bękarta miast polskich"*, za jakiego uważano ówczesną Łódź.

INSTYTUT, KTÓREGO NIGDY NIE BYŁO

I oto niespodziewanie przed przemysłowym miastem stanęły perspektywy wspaniałej kariery akademickiej. W 1862 r. otworzony został w Puławach Instytut Politechniczny i Rolniczo-Leśny. W okresie powstania styczniowego, do którego szeregów masowo wstąpili studenci tej

POWSTAŁA NIEPODLEGŁA POLSKA

Powstanie Niepodległej Polski spowodowało olbrzymie zmiany w lokalizacji wyższego szkolnictwa. Otwierano nowe uczelnie państwowe w Poznaniu i w Wilnie. Wciąż mówiono o utworzeniu politechniki w Łodzi, ale trudności gospodarcze uniemożliwiały urzeczywistnienie tego projektu. Na próżno posłowie łódzcy domagali się zrealizowania niedotrzymywanych obietnic. Minister skarbu rozkładał ręce i mówił, że jak najbardziej gorąco popiera ów projekt, ale w skarbie brakuje pieniędzy, należy więc poczekać do lepszych czasów.

Olbrzymi brak wykwalifikowanych nauczycieli spowodował w pierwszych latach II Rzeczypospolitej konieczność utworzenia w wielu miastach Instytutów Nauczycielskich, uczelni o charakterze średnim lub co najwyżej średnio-wyższym. Między innymi z inicjatywy nadzwyczaj rzutkiego wizytatora szkolnego, autora szeregu prac naukowych Tadeusza Czapczyńskiego, w 1921 r. powstał Instytut Nauczycielski prowadzony przez Oddział Łódzki Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych i Średnich. Była to typowa uczelnia typu średnio-wyższego. Zasadniczo jej celem było dokształcenie nauczycieli szkół średnich i powszechnych. Ambicją jednak Czapczyńskiego było to, aby stała się ona zalążkiem przyszłego uniwersytetu. Na wykłady sprowadzani więc byli liczni profesorowie i do-

zgłosił swą rezygnację ze stanowiska dyrektora, a decyzja ta ostatecznie zadecydowała o upadku uczelni. Egzaminy końcowe odbyły się na jesieni 1928 r. Studentom pierwszego roku pozwolono kontynuować studia w Warszawskiej Szkole Nauk Politycznych. Niewielu jednak z tego skorzystało.

WOLNA WSZECHNICA POLSKA W ŁODZI

Nim jeszcze nastąpiło zamknięcie Wyższej Szkoły Nauk Społecznych i Ekonomicznych, władze miejskie poczęły szukać innej uczelni, która by chciała utworzyć swą filię w Łodzi. Rozmowy z państwowymi uniwersytetami w Warszawie czy też w Poznaniu nie dały żadnych rezultatów. Natomiast niespodziewanie otrzymano zgodę Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie.

Uczelnia ta wywodziła się z istniejącego jeszcze w czasach carskich Towarzystwa Kursów Naukowych, które były nieoficjalną wyższą polską uczelnią w Warszawie. Wówczas, gdy po zajęciu miasta przez wojska niemieckie w 1915 r., powstał tam polski uniwersytet, większość dawnych wykładowców Kursów przeszła do pracy w tej uczelni. Jednocześnie jednak Kursy działały dalej, nastawione na kształcenie młodzieży, która w wojennym okresie

KRZYSZTOF BARANOWSKI

Na początku były stracone złudzenia

uczelni, została ona zamknięta. Po upadku ruchu powstańczego car zarządził, aby Instytut Rolniczo-Leśny pozostał w Puławach, natomiast Instytut Politechniczny miał być ulokowany w Łodzi.

Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do utworzenia nowej uczelni. Wyznaczony został termin jej otwarcia na 1 września 1865 r. Teren przeznaczony dla przyszłego Instytutu Politechnicznego wytypowany został między ówczesnymi ulicami Dziką (obecnie H. Sienkiewicza), Nawrot, Widzewską (obecnie J. Kilińskiego) i budującym się kościołem Świętego Krzyża. Na tymczasową siedzibę Instytutu przeznaczony został budynek jednej ze szkół oraz wynajęty dom przy ul. Piotrkowskiej.

Z olbrzymią energią rozpoczęto starania o pozyskanie potrzebnej dla nowo powstającej uczelni aparatury naukowej. Jeszcze w ostatnich miesiącach 1864 r. wydelegowani zostali na zachód Europy dawni wykładowcy puławskiej uczelni, którzy mieli się zapoznać z organizacją istniejących tam wyższych uczelni technicznych, a także zakupić odpowiedni sprzęt laboratoryjny oraz potrzebne książki.

Mimo szybkiego tempa przygotowań wyraźnie było widać, że wyznaczonego poprzednio terminu otwarcia uczelni na wrzesień 1865 r. nie *uda się dotrzymać*. Należało go więc przesunąć do *września 1866 r.*

Jednocześnie jednak szły prace nad przygotowaniem przyszłej struktury uczelni technicznej. Dzielić się miała ona na trzy wydziały, a mianowicie mechaniczno-technologiczny, inżynierii cywilnej i inżynierii górniczej. Przewidywano, że w Instytucie zatrudnionych będzie 12 profesorów, 6 docentów, 4 nauczycieli, 3 laborantów oraz kilku majstrów do ćwiczeń praktycznych, bibliotekarz, pracownicy kancelaryjni, woźni itp. Kurs nauczania miał być czteroletni, a absolwenci po jego ukończeniu otrzymywaliby tytuły konduktorów właściwych kierunków, natomiast po jednorocznej praktyce, przedstawieniu tzw. projektu konkursowego oraz zdaniu wymaganych egzaminów mieli otrzymywać tytuły inżynierskie

Pozornie wydawało się, że przygotowania do otwarcia Instytutu zostały już w pełni zrealizowane. I oto w tym właśnie momencie zupełnie niespodziewanie nad całym projektem poczęły się gromadzić groźne czarne chmury. Najwyższe władze w Petersburgu zaczęły się poważnie zastanawiać, czy korzystne jest dla nich otwarcie nowej wyższej uczelni na ziemiach polskich? Nadzwyczaj znamienna była opinia jednego z carskich dostojników, który zwracał uwagę, że Łódź i jej najbliższe okolice są poważnym skupiskiem robotników. Gdy znajdą oni przywódców wśród studentów, mogą się stać groźną dla caratu siłą. Zwracano również uwagę na niebezpieczeństwo dalszej aktywizacji przemysłu regionu łódzkiego, jako konkurenta produkcji włókienniczej okręgu moskiewskiego itp.

Mimo zdecydowanego poparcia ze strony namiestnika gen. Fiodora Berga, który energicznie zabiegał o otwarcie nowej uczelni, projekt ostatecznego otwarcia Instytutu utknął w centralnych urzędach Petersburga. Wreszcie zamiast wyższej uczelni technicznej Łódź otrzymała średnią szkołę przemysłową. Wspaniałe więc projekty utworzenia w Łodzi pierwszej w Królestwie Polskim politechniki rozwiały się.

W wiele lat później kilkakrotnie czynione były próby utworzenia na terenie Królestwa Polskiego wyższej szkoły technicznej. Dyskutowano też wówczas, czy bardziej celowe byłoby zlokalizowanie jej w Warszawie, czy też w Łodzi. W ostatnich latach XIX stulecia władze carskie poczęły wyrażać zgodę na otwarcie w zaborze rosyjskim wyższej uczelni technicznej z rosyjskim językiem wykładowym. Wysuwano kandydaturę Łodzi. Przeważająca jednak część społeczeństwa polskiego, jak również i administracja carska, opowiadały się za Warszawą, gdzie też otwarta została Politechnika. Do końca więc okresu rozbiorowego Łódź nie otrzymała wyższej uczelni.

cenci z innych ośrodków. Zorganizowane było specjalne studium filozofii, które miało mieć charakter typowej wyższej uczelni. Jednak plany Tadeusza Czapczyńskiego nie miały szans urzeczywistnienia. Po pierwszych próbach z lat 1921—1923 Czapczyński zrezygnował ze swych projektów, a uczelnia ta jako typowo średnio-wyższa, mająca na celu tylko dokształcanie nauczycieli, dotrwała do 1928 r.

PRAWDZIWY POCZĄTEK ŁODZI AKADEMICKIEJ

Faktycznie pierwszą uczelnią łódzką stała się Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ekonomicznych. W rzeczywistości uważać ją należało za filię warszawskiej Szkoły Nauk Politycznych. Była to uczelnia dwuletnia, jak to się wówczas mówiło „bez praw", to znaczy nie dająca swym absolwentom żadnych tytułów oraz przyznająca im stosunkowo niewielkie uprawnienia w służbie państwowej lub samorządowej. Uczelnia ta formalnie została utworzona jeszcze na jesieni 1924 r., a faktycznie rozpoczęła swą działalność dopiero od 18 stycznia 1925 r.

Inicjatorem tego przedsięwzięcia był dyrektor warszawskiej Szkoły Nauk Politycznych, a następnie również i dyrektor uczelni łódzkiej, dr Edward Reyman. Był to doskonały organizator, ale przede wszystkim zabiegał o swe osobiste korzyści.

Uczelnia miała kształcić przyszłych pracowników administracji państwowej i samorządowej, urzędników bankowych, przemysłowych oraz handlowych, a także tych wszystkich, którzy chcieli podnieść swe fachowe kwalifikacje. Zasadniczo przyjmowała ona studentów posiadających matury, ale w niektórych wypadkach przyjmowała również absolwentów średnich szkół zawodowych czy też seminariów nauczycielskich, którzy formalnie nie posiadali matur i nie mogli być przyjęci na wyższe uczelnie państwowe.

Edward Reyman zapewnił łódzkiej uczelni współpracę kilku bardzo poważnych uczonych, jak np. znanego ekonomisty Jana Stanisława Lewińskiego, politologa a zarazem socjologa i historyka ruchów społecznych Ludwika Kulczyckiego, etnografa Stanisława Poniatowskiego, historyków dziejów najnowszych Michała Sokolnickiego i Henryka Mościckiego, historyka doktryn ekonomicznych Jerzego Kurnatowskiego. Natomiast pozostali wykładowcy, zarówno dojeżdżający z Warszawy, jak i miejscowi łódzcy, w przeważającej swej części nie reprezentowali zbyt wysokiego poziomu.

Utworzenie w Łodzi wyższej uczelni przyjęto z entuzjazmem. Nie trwał on długo. Z roku na rok mniej przyjmowano nowych studentów, szczuplała też ogólna ich liczba. W pierwszym roku istnienia uczelni, kiedy czynny był tylko pierwszy rok studiów było 249 słuchaczy, w drugim roku na dwóch latach już tylko 187, w trzecim roku — 114, w czwartym — 84. Uczelnia powoli obumierała.

Przyczyny upadania szkoły były wielorakie, a więc brak większych uprawnień w służbie państwowej i samorządowej dla jej absolwentów, niezbyt wysoki poziom naukowy wielu jej wykładowców, liczne usterki organizacyjne. Bardzo często słuchacze marnowali czas, czekając na wykładowcę, który nie przyjechał z Warszawy.

Szkoła utrzymywała się z opłat wnoszonych przez słuchaczy oraz z subwencji, które otrzymywała od władz miejskich. Pewne zgorszenie wywoływała sprawa bardzo wysokiego uposażenia, które pobierał dyrektor Edward Reyman oraz jego zastępca. Na ich uposażenie szło praktycznie około połowy budżetu uczelni. Atmosfera, jaka się utworzyła wokół tej sprawy też nie sprzyjała rozwojowi uczelni.

Wiosną 1928 r. losy Wyższej Szkoły Nauk Społecznych i Ekonomicznych były już przesądzone. W połowie kwietnia Edward Reyman

nie zawsze mogła zdobyć maturę. W 1919 r. Kursy uległy poważnej reorganizacji i przyjęły nazwę Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Wolnej Wszechnicy Polskiej trudno było w Warszawie konkurować z silnym Uniwersytetem. Nastawiła się więc w znacznym stopniu na kształcenie na wyższym poziomie absolwentów seminariów nauczycielskich, czy też innych średnich szkół zawodowych, którzy zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami uważani byli za ludzi nie posiadających matury i nie dopuszczani do studiów na uczelniach państwowych. Na Wszechnicy bardzo wysoko postawiono kierunki, które w tradycyjnych uniwersytetach nie zdobyły sobie jeszcze odpowiedniego uznania, jak socjologia, pedagogika społeczna, bibliotekarstwo itp. Mimo wielu trudności warszawska Wolna Wszechnica Polska była uczelnią dysponującą poważną kadrą naukową.

Pertraktacje prowadzone między władzami miejskimi w Łodzi a przedstawicielami Wszechnicy doprowadziły do tego, że jesienią 1928 r., został otworzony Oddział Łódzki tej uczelni. Zajęcia odbywały się początkowo na wydziałach: humanistycznym, pedagogicznym oraz nauk politycznych i społecznych. Wykładowcami byli przeważnie profesorowie i docenci dojeżdżający z Warszawy. Natomiast w niewielkim stopniu opierano się na łódzkich wykładowcach. Nieliczna stosunkowo kadra pomocnicza składała się w zupełności z mieszkańców Łodzi.

W latach 1928—1931 mimo bardzo trudnej sytuacji gospodarczej, jaka istniała w Łodzi, Oddział Łódzki Wszechnicy rozwijał się należycie. Z roku na rok powiększała się liczba słuchaczy (w 1930/31 r. doszła do 455). W późniejszych jednak latach, a mianowicie 1931—1935, Oddział Łódzki Wszechnicy począł przeżywać bardzo poważny kryzys. Liczba słuchaczy poczęła się zmniejszać (np. w 1932/33 r. spadła do 293). Dość powszechnie poczęto przepowiadać, że podzieli ona los swej poprzedniczki — Wyższej Szkoły Nauk Społecznych i Gospodarczych i zostanie zlikwidowana.

Ostatnie jednak lata II Rzeczypospolitej, a mianowicie 1935—1939, były dla Oddziału Łódzkiego Wszechnicy okresem znacznego rozwoju. Oto w 1935 r. kilka kierunków tej uczelni otrzymało możność nadawania magisteriów, a ich absolwenci zostali zrównani w prawach z osobami kończącymi państwowe uniwersytety. Z kolei w 1937 r., prawie wszystkie dalsze kierunki istniejące na Wszechnicy otrzymały te uprawnienia. Z roku na rok poczęła się zwiększać liczba słuchaczy nie tylko warszawskiej Wszechnicy, ale i jej Oddziału Łódzkiego. W 1938/39 r. liczba słuchaczy Oddziału doszła do 645, a z wielkiego napływu podań można się było spodziewać, że w 1939/40 r. przekroczyłaby ona nawet tysiąc.

Oddział Łódzki Wolnej Wszechnicy Polskiej był w rzeczywistości prawdziwą pierwszą uczelnią istniejącą w Łodzi. Wyraźnym znakiem, że uczelnia ta na stałe ma zamiar usadowić się w tym mieście była budowa gmachu dla niej, która co prawda nie została zakończona do wybuchu drugiej wojny światowej, ale budynek był już bliski oddania inwestorowi (obecny gmach Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego na rogu ul. Armii Ludowej i Rewolucji 1905 r.).

Poważnym mankamentem tej łódzkiej uczelni było to, że opierała się ona nadal w przeważającym stopniu na kadrze naukowej dojeżdżającej z Warszawy. Powoli jednak zwiększała się i miejscowa kadra, której znaczenie naukowe było coraz to poważniejsze. Już nie tylko młodzi asystenci pochodzili z Łodzi, ale i częściej spotykało się docentów lub profesorów Wszechnicy stale tu zamieszkujących. Wydawało się, że w ciągu kilku lat Oddział Łódzki Wszechnicy będzie się mógł usamodzielnić i utworzyć odrębną uczelnię, albo stać się częścią dwuczłonowej warszawsko-łódzkiej szkoły wyższej.

Plany te przekreśliła wojna

(1)

„Chociaż goło, lecz wesoło"

ADAM BIEŃKOWSKI

1.

Po wojnie Łódź niezwykle serdecznie przyjęła studentów. Chętnie brano ich na kwatery. Często za darmo, za symboliczną „odróbkę" w ogródku, a także często traktowano ich jak domowników. W każdym razie nigdy nie chodzili głodni.

Władze miasta oprócz budynków dla uczelni przydzieliły kilka dla Bratniej Pomocy UŁ. Były to: dom przy ul. Jaracza 7, stołówka „Gęsie Pióro" przy ul. Piotrkowskiej 48 oraz domy studenckie przy ul. Ogrodowej, róg Jaracza i Kilińskiego, oraz przy al. Kościuszki 17 (dla dziewcząt). Na lokal „Gęsiaka" przy ul. Piotrkowskiej 48, czyli w samym „pępku" miasta, złożyło podanie 12 urzędów w tym dwa ministerstwa i 3 centralne zarządy. Płk Ignacy Loga-Sowiński jako Pełnomocnik Rządu nie przyjmował w tej sprawie żadnych odwołań. Oświadczył krótko:

— *Najpierw uczelnia, profesorowie i studenci, a potem urzędnicy.*

Byliśmy mu bardzo wdzięczni, było tylko jedno ale... W domu przy ul. Jaracza róg Kilińskiego przed wojną, na parterze, znajdowała się resturacja „U Klukasa", a na piętrach hotel pod tą samą nazwą, gdzie w pokojach oczekiwały panienki. W czasie okupacji Niemcy zmodernizowali hotel i przemianowali go w etatowy burdel dla oficerów Wehrmachtu. Doszliśmy jednak do wniosku, że pokoiki są „super", jest sala na stołówkę, a przeszłość nas nie interesuje. I żeby nie było głupich docinków umieściliśmy w tym gmachu młode małżeństwa.

2.

Siedziba „Bratniej Pomocy" studentów mieściła się na pierwszym piętrze budynku przy ul. Jaracza 7. Wielce to była zasłużona organizacja. Skupiała całą brać studencką bez względu na przekonania polityczne czy wyznaniowe. Głównym zadaniem „Bratniaka" było prowadzenie stołówek, domów akademickich, pomoc materialna dla najbardziej potrzebujących, rozdział darów, stypendiów. Łódzki „Bratniak" w tym czasie wysunął się na pierwsze miejsce w Polsce w działalności kulturalnej. Właśnie w Łodzi powstał pierwszy teatr studencki „Gęsie Pióro", nad którym patronat objął przebywający wówczas w Łodzi Leon Schiller. Teatr dawał występy w salach największych łódzkich fabryk. Wystawiano kabaretowe składanki: „Chociaż goło, lecz wesoło!". Sztukę „Nie igra się z miłością" gościnnie reżyserowali Jan Świderski i Lidia Zamkow. Występowali przeważnie studenci prawa (Szkoły Aktorskiej jeszcze nie było): Włodek Skoczylas, Tadek Pluciński, Bogdan Ber, Czesław Petelski (tak, ten reżyser!), Julian Pelo, a muzykę komponował Tadeusz Suchocki (dziś spec od muzyki rozrywkowej w TV). Do historii ruchu studenckiego przeszły obozy organizowane zimą w Matejkowicach i Szklarskiej Porębie, a latem trzykrotnie w Wędrzynie na Ziemi Lubuskiej. Nie były to obozy, lecz nieustające festiwale pieśni i satyrycznych występów.

Na wszystkie premiery przychodził rektor UŁ profesor Tadeusz Kotarbiński. Śmiał się, cieszył i bił gorące brawa.

„Bratnia Pomoc" prowadziła koła naukowe. W porozumieniu z profesorami na powielaczach odbijano skrypty. Wówczas nie było podręczników. Koła organizowały wieczory dyskusyjne, a Koło Prawników — konkursy krasomówcze.

3.

Trudno nazwać „Bratnią Pomoc" organizacją apolityczną. Wręcz odwrotnie. Zarząd „BP" powoływany był według klucza. W skład jego wchodzili przedstawiciele studenckich organizacji młodzieżowych: AZWM — „Życie", Niezależnego Akademickiego Związku Młodzieży Socjalistycznej, ZWM-„Wici" i koła Młodych Demokratów. Stanowili 50 procent zarządu, a drugą połowę dokooptowywano spośród nie należących do partii, czy organizacji młodzieżowych. Ustalono, że prezesem zawsze będzie działacz AZWM — „Życie", a wiceprezesami delegaci młodzieży socjalistycznej i ludowców.

Członkiem zarządu „Bratniaka" zostałem w 1946 roku jako niezrzeszony i pełniłem funkcję zastępcy kierownika sekcji kulturalno-oświatowej oraz zajmowałem się teatrem „Gęsie Pióro". Szefem sekcji był Julek Pelc, działacz „Wici", były żołnierz Batalionów Chłopskich. On był studentem historii, ja studentem ekonomii UŁ. Wkrótce Julek znakomity organizator i kompan stał się najbardziej popularną postacią w łódzkim światku studenckim.

C.D.N.

Żona na okaziciela

(1)

RYSZARD BINKOWSKI

W banku panowała atmosfera powagi i skupienia. Nudę i ciszę zakłócał jedynie monotonny szelest papierków. Ot, taka sobie smętna sielanka polegająca na segregowaniu masy papierowej. Masa rosła, wizerunki ciągle te same, a nad nimi zatroskane oblicze pana Nieckarza.

Aż tu nagle gruchnęła złowieszcza wieść:

— Obywatele pracownicy, u nas zaczyna straszyć!

— Gdzie?! — odwrzaśnięto. — Któż by śmiał?!

— U nas straszy duch plajty!

Ponieważ głos wydobył się z podziemia, gdzie były zakonspirowane sejfy, dyrektor złożył stosowne oświadczenie:

Koledzy, i koleżanki, to prowokacja! Nie ulegajcie panice ani złudzeniom! Nad miastem krąży zwyczajny duch reformy. No, ale gdyby nasz bank miał więcej takich ciekawych interesantów, jak ten dzisiejszy — dodał dyrektor ostrzegawczo — to my faktycznie możemy pójść z torbami.

Pierwszym pobierającym gotówkę był niejaki Mirosław Pilak, drugim zaś Henryk Drecki. Wyglądało na to, że osobnicy ci mogą realizować wypłaty w innych województwach, a czeki będą przesyłane w trybie rozliczenia między bankami lub bezpośrednio pocztą do Banku Spółdzielczego w woj. łódzkim.

No i przypuszczenia zaczęły się sprawdzać.

9 maja napłynęły dwa sfałszowane czeki (10 tys. zł każdy, zrealizowane 30.IV. w UPT w Zgierzu i 3.V. w UPT w Konstantynowie. Oba na nazwisko Henryk Drecki.

Nazajutrz wpłynęły dwa dalsze czeki zrealizowane jednego dnia przez Henryka Dreckiego w UPT w Zduńskiej Woli. Odtąd każdy czek w wysokości 10 tys. zł będzie na jego nazwisko.

30 kwietnia zrealizował po jednym czeku w Ozorkowie, Kutnie i Łęczycy. 3 maja załatwił trzy czeki w Kaliszu. Tego samego dnia poszło pięć czeków w UPT Kwiatkowice, Szadek, Warta, Turek i Sieradz.

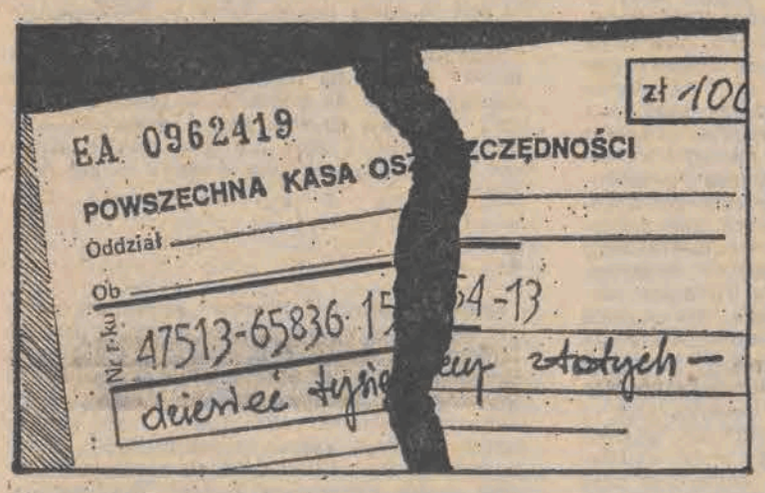

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sprawcą całego zamieszania stał się ob. Jan Malisz, młody ajent dobrze prosperującego baru „Na wynos". O godzinie trzynastej, gdy z półek sklepowych pospadały pierwsze butelki, człowiek ten zameldował się w banku i również złożył stosowne oświadczenie.

— Dokonując zakupów w „Centralu" — powiedział z przejęciem — zostałem bezczelnie okradziony w nieznanych okolicznościach...

— To wal pan na milicję! — przerwał dyrektor. — Tu jest bank!

— Dlatego przyszedłem do pana. Zginęła mi książeczka czekowa serii AF, numer taki a taki, i dowód osobisty na dokładkę. Ale złodziej pewnie nie skorzysta z dowodu — rzucił na pocieszenie Malisz.

— Kto wie... Książeczka była czysta?

— Aha. Czeków nie realizowałem, bo nie było potrzeby.

Pustych czeków do wypełnienia było dwadzieścia pięć.

Dyrektor pomyślał, że złodziej może wkleić do dowodu swoje zdjęcie. Ale po cóż miałby to robić? Na okładce książeczki figurowały jedynie zwięzłe dane o Janie Maliszu. Wystarczy wypełnić podobnym charakterem pisma czek, okazać własny dowód osobisty i pobrać pieniądze. Bo takie czeki można przecież realizować na okaziciela.

Nazajutrz bank dokonał zastrzeżenia wypłat z tej książeczki na terenie woj. miejskiego łódzkiego.

30.IV.84 r. bank otrzymuje dwa czeki, na kwotę 10 tys. zł każdy, zrealizowane dn. 14 IV. w UPT Warszawa 1 oraz UPT — Ceków.

4 maja o godz. 12 Bank Spółdzielczy dokonuje wypłaty ze skradzionych czeków na terenie całego kraju. Istnieje przypuszczenie, że złodziej pobierając gotówkę posługuje się sfałszowanym dowodem osobistym. Dane z tego dowodu wypisane są na odwrotnej stronie czeków.

Nie ulegało więc wątpliwości, że Drecki podróżuje z książeczką czekową samochodem.

Do Banku Spółdzielczego napływały wciąż czeki, do milicji zaś napływały doniesienia z urzędów pocztowych. Sęk w tym, że milicja dowiadywała się o tym dopiero w czerwcu i w lipcu.

Kasjerka z Cekowa nie mogła sobie przypomnieć wyglądu pobierającego pieniądze, ale był to z całą pewnością mężczyzna. Natomiast z pozostałych wyjaśnień wynikało, że albo czek nie figurował w spisie zastrzeżonych, nie było więc potrzeby przyglądać się pobierającemu, albo panienka posługująca się datownikiem „D" nie mogła podać rysopisu, bo na poczcie nawał pracy, a ludzi mało, albo też kasjerka z datownikiem „K" urlopuje w Rumunii, toteż nikt nic nie wie i nie pamięta. Taki zabawny czeski film o polskich pocztowcach.

Może więc hipoteza, jaką wysunął Bank Spółdzielczy, była mylna? Może znalazł się taki stuknięty facet, który pobierał forsę na swój własny, autentyczny dowód tożsamości? Albo też jakiś cwaniak posługiwał się skradzionym dowodem Dreckiego?

Czas naglił, ponieważ Drecki zdążył już pobrać 190 tys. zł. Ponadto bank stracił dodatkowo 56 tys. zł. Tyle wynosiły koszty poniesione tytułem zastrzeżeń wypłat w woj. łódzkim i na terenie kraju.

18 czerwca podczas pełnienia obowiązków służbowych st. kapral Roman Krawczyk ustalił, że Henryk Drecki istnieje. Facet o tym nazwisku do 1982 r. mieszkał w woj. jeleniogórskim, obecnie zaś w Łodzi przy ul. Rewolucji 1905 roku. Kobieta, która mieszkała pod tym adresem, strasznie się wnerwiła na widok milicjanta.

— Ja mam odpowiadać za tego łachudrę?! — wrzeszczała. — Dla mnie on już nie żyje! Wymeldowałam bandytę!

— Dlaczego?

— Bo samowolnie zmienił adres! A tak naprawdę, to pomogła mu w tym władza.

Siedział w areszcie śledczym, podejrzany o sfałszowanie książeczki oszczędnościowej.

Na wszelki wypadek dokonano przeszukania w mieszkaniu kobiety, u której dotąd mieszkał. Niestety, dowodów przestępstwa nie znaleziono.

Jednakże gdy milicja wpadnie na jakiś trop, to już raczej nie popuści. Dlatego też zajrzano z ciekawości do życiorysu Henryka Dreckiego. Miał dosyć barwną biografię. Na przykład byłe sądy powiatowe wysłały go ze względu na zły stan zdrowia na trzy lata do zakładu dla nieuleczalnie chorych. Ale Drecki przyszedł do siebie i zaraz po reformie administracyjnej w 1975 r. wlazł nocą do sklepu winno-cukierniczego, gdzie napił się wódki, spirytusu i koniaków na zapas, za całe trzy przyszłe lata.

Po kolejnym wyroku niewiele dobrego z niego zostało. Zszedł na psy, jak oświadczyła kobieta. Ot, trzydziestodwuletni kawaler z pięcioletnim dzieckiem na utrzymaniu, ze świadectwem podstawówki w szufladzie i konkubiną na karku. Z zawodu nie pracujący manewrowy.

Szczególnie interesująco manewrował w rozmowie z milicjantami. Kiedy zapytano go o zatrudnienie, oświadczył:

— Pracowałem przy przerobie złomu i metali kolorowych. Zwolniłem się natychmiast, gdy tylko otrzymałem nakaz odbycia kary jednego roku pozbawienia wolności.

— Za sfałszowaną książeczkę PKO?

— Nie, za kradzież szprych do roweru. O książeczkę PKO byłem podejrzany, dowodów jednak nie było, więc mnie wypuścili.

— Ale za szprychy też nie siedziałem...

— Aaa, bo zgubiłem dowód osobisty. Karę odbędę dopiero po wyrobieniu nowego dowodu tożsamości. Bo tak, to nie wiadomo, kogo się wsadza. Państwo musi mieć czarno na białym, kogo żywi, opiera i kwateruje.

Drecki otrzymał ten dowód, ale prokurator chyba zapomniał o oskarżonym, albo też nie wiedział nic o dowodzie, bo Drecki jednak nie siedział. Przypomniał sobie za to o nim kolega Antoni Oleśko, gdy pracowali kiedyś razem na farbiarni, wprawdzie chwilowo, ale zawsze można było na kumplu polegać. Oleśko przyprowadził szwagra o imieniu Jan. Na ulicy zostawili białą syrenkę, ponieważ szwagier był biznesmenem na dorobku.

— Słuchaj, Heniu — mówił Oleśko — szwagroszczaka trafiło nieszczęście..

— Mnie też.

— Ale jego większe! Skradli mu dowód osobisty. Ma jednak książeczkę czekową i musi pilnie wypłacić pieniądze z konta.

— Czemu tak pilnie?

— Na rozkręcenie interesu. Pomożesz, Heniu?

— W jaki sposób, hę?

— Szwagier wypisze czek, a ty weźmiesz forsę na swój dowód.

— Po co te komplikacje? — śmieje się Drecki. — Szwagier likwiduje konto i ma całą gotówkę, nie?

— Niestety, szwagier nie ma dokumentów. A liczy się, bracie każda godzina.

— He, he! A ty nie możesz wypłacić na swój dowód?

— Ja mam, Heniu, poważne kłopoty. Chcę otworzyć warsztat naprawy parasolek. Pomóż stary, to pójdzie rewanż. Całość forsy do podziału...

— Jak to?

— Eee, tak mi się powiedziało — żachnął się Oleśko.

Twarz Dreckiego okrasił uśmiech dziecka, któremu dobry dziadek dość nieudolnie szykuje wielce przyjemną niespodziankę.

— Hm, może bym na to poszedł — mruknął. — Tylko z czasem u mnie nie tego...

— No, wiesz, czas to pieniądz..

— Muszę odwiedzić konkubinę w sanatorium. Do Szklarskiej Poręby kawałek drogi, panowie.

— Pal cię licho! Na głupotę wiernych konkubinów nie ma lekarstwa — oświadczył szwagier Jan. — Ale jak wrócisz, to do ciebie wpadniemy.

Konkubinę chyba zainteresowała ta szwagrowska książeczka, bo nie zważając na chorobę wzięła pięciodniową przepustkę z sanatorium i przyjechała z Dreckim do Łodzi.

C.D.N.

ze str. 1

jesteśmy w stanie opublikować Vademecum w nakładzie 3 milionów egzemplarzy. Trwają rozmowy z wydawnictwem Sport i Turystyka. Przy okazji, Panu Rafałowi M. bardzo dziękujemy za 47 ton papieru kredowego.

Musimy gorąco Państwa przeprosić, ale odpisywanie na wszystkie listy jest fizycznie niemożliwe. Zresztą duża część pytań dotyczy tych samych problemów, więc odpowiemy na nie hurtowo. A teraz do rzeczy:

Sławomir T., Olsztyn. Dziękujemy za list wraz z załącznikiem, ale prosze nam wierzyć — 10 procent od Pana utargu to dla nas stanowczo za wiele. Na przyszłość prosimy regulować we frankach szwajcarskich. Złotówki przekażemy na cele społeczne.

Poczta Vademecum

Mieczysław S., Rawa Mazowiecka: Pyta Pan, czy opłaca się zabrać żonę do Turcji oraz ile może Pan na tym zarobić? Odpowiadamy: fotografie małżonki obejrzeliśmy bardzo dokładnie. Radzimy wycieczkę do Kutna — to też bardzo ładne miasto.

Zenon B., Płock: Współczujemy Panu niezwykle gorąco. Po prostu wybrał Pan niewłaściwe przejście graniczne. A poza tym, nawet dziecko wie, że w kiełbasę nie wolno upychać pierścionków i obrączek. Celnik jest jak pies ogrodnika: sam nie zje i drugiemu nie da. Jesteśmy zdumieni Pana naiwnością, bo przecież numer z ładowaniem srebrnych lisów do butli gazowej już dawno jest spalony. Pisaliśmy przecież, że lisy pakuje się do majtek. Prosimy zachować zimną krew — za dziesięć lat może Pan ponownie wystąpić o paszport.

Helena W., Zgierz: Podobnie jak Pani mamy jeszcze nadzieję, że brylanty jakoś wyjdą... W razie niepowodzenia radzimy zgłosić się na płukanie żołądka do Instytutu Medycyny Pracy (ul. Teresy).

Zenon Sz., Kielce: No i po co ten płacz? Wszak przestrzegaliśmy, żeby nie jeździć do nich syrenką! Głowa do góry — przecież dostał Pan na złomowisku 25 marek. Nikt jeszcze nie dostał takiej sumy za syrenkę.

Antoni B., Łęczyca: Prosimy napisać szybko, ile Pan za to chce? Prawdopodobnie weźmiemy wszystko. Z drugiej oferty nie skorzystamy — pytaliśmy naszego Szefa, lecz On ten video-film oglądał już chyba z osiem razy. Dziękujemy za papierosy — niestety, palimy tylko camele.

Kazimierz J., Ksawerów: Przykro nam, ale nie możemy poręczyć za Pana, ani też zapłacić kaucji, ponieważ podobnych próśb mamy codziennie kilkadziesiąt. Miło nam zakomunikować, że jest Pan 97 na liście Czytelników czekających na naszą pomoc. Na razie wszystko jest w porządku. Dzieci Pana są zdrowe. Wczoraj komornik zabrał pianino i telewizor. Po wyroku rodzina Pana zaopiekuje się sąsiad.

Jan S., Warszawa: Dziękujemy za widokówkę z Istambułu. Nasze wskazówki były dobre, to Pan ma wyjątkowego pecha. To oczywiste, że Turek nie chciał kupić Pańskiego paszportu wystawionego na nazwisko Sobieski. Trzeba się uczyć historii!

Stanisław U., Łódź: Rzeczywiście, może Pan czuć się obrażony. Nazwano Pana „Dieb" — co należy tłumaczyć jako złodziej. No, ale żeby z powodu głupich czterdziestu paczek kawy?!

Leon Z., Wronki: Niech Pan nas nie straszy! Pana list został ocenzurowany i nie bardzo wiemy o co Panu chodzi. Wyjaśnimy to za dwanaście lat. Radzimy oszczędzać znaczki pocztowe, bo z aresztu wolno wysyłać tylko dwa listy w miesiącu.

Zofia R., Oborniki: Czy ten, który rąbnął Panią na cztery kożuchy to był taki niski piegowaty facet z blizną pod okiem? Jeśli tak, to my go nie znamy. Bardzo nam przykro. A swoją drogą, w „Polityce" pisali przecież, że zanim dojdzie do tego, o czym Pani wie a my się domyślamy, najpierw trzeba „darowany" kożuszek schować pod poduszkę, bo jak już będzie po wszystkim, tubylcy usiłują go odebrać. To barbarzyńcy!

„Nieśmiała", Zduńska Wola: Pierwsze kroki za płoty. Zachodzi obawa, iż tubylcom nie odpowiadał Pani typ urody. Rzeczywiście, proponowana przez nich suma (jeden dolar dwanaście centów) jest oburzająca! Wyczerpującej odpowiedzi możemy udzielić dopiero po przysłaniu nam Pani fotografii (bez retuszu!).

Maria F., Łódź: Jeżeli mąż rzeczywiście pojechał do Kuwejtu i zabrał walizkę spirytusu, to nie należy oczekiwać jego powrotu w bieżącej pięciolatce. Radzimy przygotować dużo plastrów, wodę utlenioną i bardzo miękki fotel. Może Pani apelować do szejka o złagodzenie ceremonii wyroku.

Bożydar W., Łódź: Próbki, które Pan nadesłał, na pierwszy rzut oka wyglądają na to, o co Panu chodzi. Po bliższych oględzinach doszliśmy do wniosku, że papier jest za gruby, a zielona farba kruszy się i odpada. To nie może być nitro ani olejna. Trzeba będzie poprawić twarz na portrecie, bo u Pana jest Reagan, a forsy z takim prezydentem to oni jeszcze nie drukują. Zerknij Pan do encyklopedii (Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, Łódź, ul. Gdańska 102, parter, drugie drzwi na lewo) tam są zdjęcia dawnych prezydentów — może któryś będzie pasował. Na trzeciej próbce jest błąd: dopisał Pan o jedno zero za dużo — oni nie mają banknotów po tysiąc dolarów. Poza tym zupełnie dobrze. Jesteśmy zainteresowani postępem prac.

Krzysztof B. Kalisz: Powiedzmy sobie szczerze: trochę Pan przesadził. Transport 60 kilogramów zegarków elektronicznych może czasem wzbudzić podejrzenie celnika. Okręcanie się jelitami wieprzowymi wcale nie jest nowym pomysłem, o czym przekonał się pan na własnej skórze. O losie szwagra i jego specjalnej walizki nic nam nie wiadomo. Radzimy kontaktować się z ambasadą.

Bogdan T., Warszawa: Kasety w filmami video, o których Pan wspomina, można przewozić stosując sprawdzoną metodę. Trzeba mianowicie na początku taśmy nagrać jakiś filmik — najlepiej o pszczółkach lub o kwiatuszkach. Celnicy przeglądają zwykle tylko fragmenty początkowe. Filmy nagrywane w systemie NTSC można przewozić bez obaw — na przejściach granicznych brak monitorów tego typu.

Andrzej J., Świnoujście: Oburza się Pan, że w Monachium tamtejszy bank nie chciał Panu pożyczyć gotówki. I niepotrzebnie — trzeba było nie mówić żeś Pan z Polski. A swoją drogą jest to najlepszy dowód na panujący u nich kryzys gospodarczy, galopująca inflację, recesję oraz korupcję.

Szczepan W., Górka Duża: Pyta Pan o kierunki zaopatrzenia w maszyny rolnicze. Od naszego specjalnego korespondenta dowiedzieliśmy się, że ciągniki ursus można bez kłopotów nabywać w Szwecji; siewniki w Maroku, rozrzutniki obornika w Indonezji. Skontaktujemy Pana z Czesławem D., który trudni się konwojowaniem platform z traktorami, kupowanymi na giełdzie w Berlinie Zachodnim.

Michał R. (adres do wiadomości redakcji): Przyznajemy, że o tym numerze jeszcze nie słyszeliśmy. No ale czy nie żal Panu młodych fok i białych niedźwiadków? *Napiszcie jakie* u Was mrozy, skąd bierzecie harpuny i co tubylcy potrzebują na wyposażenie igloo? Pozdrowienia dla całej 60-osobowej wycieczki.

Antoni L. (ostatnio widziany na Okęciu): Pyta Pan co to jest kanibalizm i czy jest on szkodliwy dla zdrowia? Mamy uzasadnione obawy czy zdążymy z odpowiedzią, ale probować trzeba. Kanibalizm jest to paskudny zwyczaj mocno odbijający się na zdrowiu — szczególnie u strony biernie uczestniczącej. Jeszcze raz przestrzegamy przed samowolnym zapuszczaniem się w teren nieznany — ostatecznie kość słoniowa nie stoi już tak dobrze jak przed rokiem.

Cezary B., Pszczyna: Z listu wynika, że chce Pan sprzedać Japończykom naszą licencję. Pomysł w zasadzie jest słuszny, ale istnieją poważne obawy co do jego realizacji. Japończycy dopracowali się własnej metody opartej na ryżu — nazywa się sake.

Hipolit M., Łódź: Pyta Pan ilu piłkarzy liczy reprezentacja udająca się na mistrzostwa świata do Meksyku i czy są jeszcze wolne miejsca? Odpowiadamy: reprezentacja to 22 futbolistów i trzy razy tyle działaczy. Paszporty dla działaczy podobno są już rozdane. Prawdopodobnie piłkarze do Meksyku nie pojadą, więc szanse Pana są zerowe. Nie mamy pojęcia co idzie w tym kraju. Radzimy wkręcić się do reprezentacji badmintonowej — najbliższe mistrzostwa w Grecji: kawa, cytrusy, kalkulatory..

Jerzy P. i Waldemar Z., Poronin: Wcale się nie dziwimy, że Hilda M. odmówiła. Ceny podaliśmy aktualne, ale propozycja Panów wymagała podwójnej taryfy. Co do manioku: pytaliśmy wszędzie, również w WSS „Społem" — nie ma chętnych. Roczny postój na redzie nie powinien mieć wpływu na jakość towaru.

Joanną Z., Bydgoszcz: Naprawdę już czas, by przestała Pani szyfrować listy. Sytuacja w kraju się wciąż stabilizuje, a nas nie stać na zatrudnianie szyfranta. Transport skarpet frotte przekazaliśmy adresatowi, może nieco okrojony, ale zawsze...

Feliks Z., Leon i Zygfryd W., Jadwiga B., Mateusz S., Johan U., Wiktor B.: Prosimy o dostarczenie znaczków pocztowych — odpowiemy listownie.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI
ROMAN KUBIAK

Sposób na podłe życie

ze str. 1

— Czy pani pracuje?

— Nie nie pracuję. Napiłam się zimnego mleka i byłam przeziębiona tak, że nawet się nie starałam, ale teraz szukam państwowej roboty.

— Z czego pani w takim razie żyje?

— Sprzedaje meble.

— Od 75 roku zmieniała pani 10 zakładów.

— No tak, bo miałam wysokie ciśnienie, ale teraz już idę do pracy.

— Czy trzeba było pić autovidol, żeby do tego doprowadzić?

— Ach, niech pan lepiej nie pyta. Niech pan lepiej nie pyta. Ten starszy to jeszcze czasem pracował, ale młodszy, załamał się. Cały dzień siedział w domu, kumple przychodzili i tak pili od rana. Nawet dzielnicowy mówił „Chłopy co wy robicie?" ale nic nie pomagało.

3.

„W kartotece Instytutu Medycyny Pracy — mówi dr Stanisław Kubasiewicz — znajduje się około 30 środków chemicznych, które są pite zamiast alkoholu. Najczęściej spożywane są już po wypiciu pewnej ilości zwykłej wódki, kiedy tej zabraknie, a organizm alkoholika jeszcze czuje potrzebę".

Zatrucia alkoholem zdarzają się bardzo często. Rocznie w Łodzi ujawnianych jest blisko 900 takich przypadków, czyli ponad dwa dziennie. Najczęściej są one spowodowane przedawkowaniem wódki wypitej w ilościach, które eleganckie podręczniki medycyny nazywają dawkami śmiertelnymi. Na drugim miejscu jest metanol, a następnie środki chemiczne.

Wielu alkoholików uważa środki chemiczne, środki czystości, jako że oparte na alkoholu etylowym, za zupełnie nieszkodliwe. Rzeczywistość jest całkowicie odmienną. Autovidol, najczęściej spożywany, zawiera w sobie trzy bardzo toksyczne substancje: glikol etylenowy, alkohol metylowy i aceton. Mogą one powodować trwałe uszkodzenia nerek, ślepotę, uszkodzenia mózgu.

Początkowe objawy podobne są do zwykłego upojenia alkoholowego. Jednakże substancje toksyczne zawarte w preparatach chemicznych metabolizują w innym kierunku. Najbardziej narażony jest ośrodkowy układ nerwowy czyli mózg. Występują różnego rodzaju porażenia, na przykład kończyn. Objawia się zespół encefalopatii jak to określają lekarze czyli zaburzenia w sferze psychicznej mózgu. Niektórzy pacjenci wymagają hemodializy czyli podłączenia do sztucznej nerki.

Wiele osób po opuszczeniu Instytutu nadal „pije wynalazki", trafia tu z powrotem, aż wreszcie kontakt się urywa. Coraz częściej natomiast przypadki śmiertelnych zatruć notuje Zakład Medycyny Sądowej.

4.

W następnym mieszkaniu-melinie brud jeszcze większy. Wśród milicjantów, którzy niejedno w swoim życiu widzieli lokatorka nazywana jest „brudaska". Właściwie nie jest to mieszkanie tylko komórka z oknem na ulicę. Wzdłuż jednej ściany stoją żelazny piecyk, węglarka, kredens i stół. Przy przeciwległej dwa barłogi. Szyb nie ma. Dostęp dziennego światła i świeżego powietrza zasłaniają własnej konstrukcji okiennice z koca, gazet, tektury. Przy drzwiach uwiązano pieska, którego piskliwe ujadanie towarzyszy nam przez cały czas.

W takich warunkach można dożyć 82 lat

— Ale wyście panowie są niedobrzy, jak będziecie mieli moje lata zobaczycie co to znaczy. O Matko! O Matko! O Jezu! O Jezu!

— Dlaczego pani wódkę w domu trzyma? — przerywa to zawodzenie jeden z funkcjonariuszy.

— Ja, wódkę, w domu? A co też panowie mówicie?

Krótkie poszukiwanie ujawnia za piecem i w węglarce 12 półlitrówek Vistuli.

— Bo ja mam strasznie chore nogi, które muszę codziennie smarować. Zaraz lekarz ma przyjść — mówi i podkasuje spódnicę wysoko za kolana. Chce odpiąć pończochę.

— Za każdym razem jak tu jesteśmy pani nam swoje nogi pokazuje. Niech pani dzisiaj tego nie robi. Niech pani lepiej powie po co tyle wódki jest w domu?

— Bo ja sama trochę popijam. I jak ktoś przyjdzie to poczęstuję.

O brudasce milicjanci dowiedzieli się od jednego z jej klientów, którego wyrzuciła za drzwi z krzykiem. Zabrakło mu 50 złotych do ceny butelki Vistuli. Ten z zemsty poszedł na nią zameldować do pobliskiego komisariatu.

— Będziecie panowie dobrzy, nie skrzywdźcie starej kobiety — melodyjnie, jakby odmawiała różaniec, zawodzi meliniara i zanim się spostrzegam całuje mnie, najbliżej stojącego w rękę. — Całe życie pracowałam, zdrowia nie mam, rentę małą dali, nie ukrzywdźcie starej, moi kochani, moi złoci, moje dzieci jedyne...

Dopiero teraz spostrzegam wiszący na jednej ze ścian ślubny portret za szkłem. Parę gołąbków trzyma otoczone girlandami z kwiatów serce. W nim dwie uśmiechnięte młode twarze. Ona ma karminowe usta, różowe policzki i brązowe włosy. Wąskie oczy i złączone, namalowane grubą kreską brwi nadają jej twarzy wyraz zadowolenia i pewności siebie, takiej mocnej, chłopskiej pewności. Cóż wydarzyło się od tamtego czasu, że kończy życie w norze, upijając się codziennie w towarzystwie takich samych, przegranych ludzi.

Co może ją jeszcze w życiu spotkać? Wizyty spragnionych pijaczków, nocne awantury, częste nagabywania milicjantów. Śmierć.

Któregoś razu przyjdzie po wódkę trzech nieznajomych młodych ludzi. Początkowo będzie bała się wpuścić ich do środka. Potem wypija razem. Nawet nie będzie wiedziała, że umiera, że zarzucili jej na twarz poduszkę i mocno ściskają. Nie będzie nawet wymachiwała rozpaczliwie rękami. Oni wypiją jeszcze pół litra. Zabiorą starego lisa, obrączkę z tombaku i kilka butelek. Pieniędzy w domu nie znajdą, bo wszystkie od razu zostały wydane na wódkę.

Czy tak będzie i tym razem? Czy może upiją się i dopiero długie ujadanie psa zwabi kogoś do środka, kto znajdzie trupa

A może będzie tak jak rok temu w melinie przy ulicy Wólczańskiej. Przyjechała tutaj spoza Łodzi matka z dwojgiem małych dzieci. Pili za spotkanie przez całą noc. Jeden z chłopców obudził się i zaczął płakać. Ktoś powiedział, żeby małemu zrobić herbaty. Nad ranem sąsiedzi zawiadomili milicję, że z tego mieszkania czuć gaz. Na stole stało siedem pustych butelek i ósma opróżniona w połowie. Młodszy, trzyletni obudził się jeszcze raz tej nocy. Płakał, ale mama już spała. Zawołał więc pieska, przytulił się do niego i tak obaj zasnęli. Znaleziono trupy trzech dorosłych osób i dwóch chłopców.

5.

W tym czasie grupy terenowe zaczęły przesyłać do nas meldunki o wynikach dotychczasowej akcji. Jedziemy do Konstantynowa, gdzie w jednym z nowych bloków wykryto kompletną aparaturę do prodkucji bimbru. Na ślad naprowadzili sąsiedzi, którzy zameldowali, że w ich korytarzu, od czasu do czasu śmierdzi tak jakby ktoś pędził samogon.

To mieszkanie nie przypominało dwóch pozostałych. Trzy pokoje, w każdym wełniany dywan oraz segment za przynajmniej sto tysięcy. Wszędzie, na każdej półeczce, na telewizorze, na ławie — kryształy. W garażu — nowa skoda.

Osoby, które trudnią się produkcją i sprzedażą bimbru, jeżeli tylko same za dużo nie piją są najczęściej bardzo bogate. W 1984 roku na działce koło Konstantynowa wykryto bimbrownię i ponad 500 l zacieru. Milicjanci śledzili właściciela tego prywatnego monopolu od dłuższego czasu. Z aresztowaniem poczekali jednak do dnia, w którym rozpoczął produkcję. Bimbrownik, jak sam przyznał, z jednego odciągu zarabiał ponad 80 tys. złotych. Miał stałych odbiorców, hurtowników kupujących na raz po dziesięć, dwadzieścia butelek.

Inny tłumaczył się, że musi sprzedawać, bo ma niską rentę, chora żona potrzebuje drogich lekarstw, wszystko drożeje z dnia na dzień. Znaleziono u niego 150 tys. w gotówce, 6 książeczek oszczędnościowych z wkładem po 50 tys. każda oraz kilkanaście złotych pierścionków. Prawda, nie jest to wielki majątek, ale zawsze można jakoś koniec z końcem związać. Nawiasem mówiąc, lekarstwa dla rencistów są bezpłatne.

— A skąd u pani ta aparatura?

— Nie wiem, to mąż przyniósł.

— Nie wie pani do czego to służy?

— Nie.

Aparatura składała się z dużej, metalowej bańki na mleko z zamontowaną mosiężną rurką. Wszystkie połączenia uszczelniane są za pomocą zmieszanego ze ślliną chleba. Do kompletu jest chłodnica i alkoholomierz.

— A co, mieć nie można? Alkoholomierz kupicie bez niczego w sklepie na Traktorowej. Mogę zaprowadzić — mówi gospodyni.

Właśnie chodzi o to, że nie można. Samo posiadanie podejrzanego sprzętu wystarczy do sprawy w sądzie i do wyroku. Można dostać nawet trzy lata i pół miliona złotych grzywny.

Przeszukano dokładnie piwnicę, garaż, wszystkie szafki, bez rewelacji. Kiedy sierżant przystąpił już do pisania protokołu jego kolega zawołał.

— Zaczekaj, coś jeszcze znalazłem. — Zajrzał pod stół, a tam, zastawiona krzesłami, owinięta w koc stała 50-litrowa beczka.

— No, wiedziałem, że musi być zacier. To niemożliwe, aby przed świętami nie było. Od początku coś mi trąciło, aż wreszcie znalazłem.

— Prosiliśmy jak człowieka, żeby pani powiedziała czy jeszcze jest coś w domu,a pani co?

— Ja nie muszę odpowiadać.

— Myśli pani, że tak będzie lepiej?

Bardzo rzadko osoby przyłapane na produkcji bimbru przyznają się do sprzedaży tego trunku. Najczęściej mówią, że na własne potrzeby, albo dla robotników, albo jako łapówka, bo pieniędzy w domu mało. Nikt oczywiście w to nie wierzy, a już najmniej milicjanci, którzy takie wyjaśnienia słyszą za każdym razem.

6.

Pokój z ciemną kuchnią na IV piętrze przy ulicy Zielonej. Mieszka tu matka z czwórką małych dzieci oraz były i obecny mąż. To znaczy obecny mąż jest w więzieniu, a wolne łóżko tymczasem zajmuje jego brat. Byłoby i piąte dziecko gdyby nie wypadek sprzed pięciu lat. Po jednej z alkoholowych imprez, kiedy towarzystwo kładło się już spać ktoś przykrył niemowlę, kilkumiesięcznego chłopca, ciężką poduszką. Dziecko się udusiło.

Kobieta jest bezradna wobec trudności, jakie przynosi jej życie. Obecny mąż siedzi. Były — jak jest pijany, a zdarza mu się to bardzo często — bije. Czasami przychodzi tu jego kochanka. Wtedy matka z dziećmi musza iść do sąsiadów.

— Dlaczego pani wyszła po raz drugi za mąż, skoro wiedziała pani, że on nigdy nie pracował, że kilka razy siedział już w więzieniu?

— Bo najmłodsze dziecko jest jego. No co ja miałam robić, niech mi pan powie, co miałam robić.

— Sama zająć się dziećmi. Zerwać z tym towarzystwem. Alimenty pani by dostała.

— Mój były mąż jest mi winien 150 tysięcy alimentów. Nie dość, że nie płaci, to jeszcze wszystko z domu wynosi. Teraz się zmówili ze szwagrem, chodzą po nocy i kradną. A ja się staram jak mogę. Wczoraj dywan wytrzepałam jednej pani i dostałam 500 złotych. Dzisiaj umyłam dwa okna sąsiadce. On mnie prosi, codziennie mnie prosi abym wycofała zaległe alimenty, ale nie wycofam. Skończyło się.

Proszę pana, czy jest sprawiedliwość na tym świecie. Siostra jego kochanki ma dwa pokoje z kuchnią. Dzieci oddała do domu dziecka. Alimentów nie płaci. A jak ja w styczniu założyłam eksmisję na mojego byłego męża, to do tej pory nie mam odpowiedzi. No niech mi pan powie czy jest sprawiedliwość na tym świecie?' Jak on mnie codziennie bije? Zapytajcie sąsiadów. Wszyscy potwierdzą, że kiedy go nie ma w domu to jest spokój.

— To dlaczego pani nie składa zameldowania o przestępstwie.

— Jutro pójdę do dzielnicowego i złożę, jak Boga kocham, bo już wytrzymać nie można.

Basia, najstarsza córka, chodzi do trzeciej klasy i o dziwo w tych warunkach uczy się dobrze. Widać jednak wyraźnie, że jest znerwicowana. Płacze przez cały czas.

— Kim byś chciała być Basiu jak skończysz szkołę — pytam.

— Babcia chce mnie dać na krawcową.

— A ty byś chciała?

— Tak.

— Czy kochasz swojego ojca?

— Kocham, ale nie zawsze. Jak kiedyś mnie tata wyzwał od kur.. i moją siostrę wyzwał od kur... to go nie kochałam.

Większość kobiet, tych które składają zameldowanie o przestępstwie na swoich mężów po kilku dniach przychodzi i zmienia zeznania. Przeproszą się, pocałują, wypiją na zgodę i przez tydzień jest dobrze. O wielu sprawach milicja dowiaduje się dopiero wtedy, gdy dojdzie do tragedii. Tak jak w jednym z mieszkań na Retkini. Żona w czasie kłótni uderzyła męża butelką w głowę. Gdy ten poszedł się obmyć do kuchni, ugodziła go nożem w plecy. Zrobiła tak dlatego, że dłużej nie mogła znieść codziennych awantur.

W czasie tych odwiedzin przychodzi do mieszkania były mąż.

— Czy pan kocha swoje dzieci?

— Kocham, dlaczego mam nie kochać — odpowiada jakby był zdziwiony pytaniem, jakby jego uczucie do dzieci było oczywiste.

— To dlaczego pan nie płaci alimentów?

— Bo teraz nie pracuję, ale jak będę pracował to zapłacę.

— Co by pan zrobił, gdyby wychowywał dzieci, a żona nie płaciła alimentów.

— W każdym razie nie wzywałbym milicji. Bym czekał.

7.

Zbliża się północ. Kolejna milicyjna akcja dobiega końca. Dowódcy poszczególnych patroli składają meldunki. Wykryto tyle i tyle melin, zlikwidowano bimbrownie, złapano paru poszukiwanych przestępców. Czy zniszczono korzenie zła? Sami milicjanci podchodzą do tego sceptycznie. Oceniają wykrywalność tych przestępstw na pięć, może dziesięć procent. Przecież każdy z nas zna kogoś, kto pędzi bimber, wie, gdzie można o każdej porze dnia i nocy kupić wódkę. Prawie w każdym domu co noc wybucha przynajmniej jedna awantura.

Przeciwnik jest trudny do pokonania, bo siły są nierówne. Większość z nas, tak zwanych porządnych obywateli głuchnie na płacz dziecka, szloch kobiety za ścianą. Tolerujemy pijących, a przez to poddajemy się terrorowi pijaków. Gra nie idzie tylko o liczbę wypitych litrów alkoholu. Chodzi o nasze pokolenie i pokolenie naszych dzieci.

MAREK MAMOS

Który piękniejszy?

Foto: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Łódź ma bardzo wielu poetów

I tych piszących od dziesięcioleci i tych, którzy napisali swój debiutancki wiersz wczoraj. Pierwszych — boć to klasycy — kochają czasopisma, wydawnictwa i krytycy; drugich — jeśli zdobędą się na odwagę — poznamy w przyszłości. Dlatego też,

Dorota Chróścielewska

Ocean

To marzenie z dzieciństwa
Zobaczyć Ocean
Uwierzyć w wieczność wody
I ogarnąć bezmiar
rozumem miałkim
wyobraźnią nikłą
oczyma przywykłymi
do rychłych barier horyzontu

Pytałam wyniesionych
Ocean jak Ocean — mówili
Woda jak woda

Dzisiaj wiem że być musi
koniecznie fioletowy
pod nisko zawieszonym
fioletowym niebem
I rozdziela je tylko
srebrna klinga wiatru

Gdy pytają — mówię
Ocean jak Ocean
Woda jak woda
Ani to ładne Ani ciekawe

☆ ★ ☆

Kiedyś — nie istniała jeszcze śmierć
I trwałam aż do wieczności

O samotności wiedziałam z filmów
książek
Z podsłuchanej rozmowy starszych

Nie było metafizyki Za to Bóg
w chromym drewnianym kościółku
śpiewał w chórze anielskim

A teraz mój Boże A teraz
na tapczanie Ukrzyżowana Apatia
Uszminkowana Euforia ćmiąca papierosa

Świat był całkiem wyraźny
Dawał się objąć ramieniem
Zadrzewiłam lądy
Zapaliłam gwiazdy

Są stare rany Nowe rany
Każda bezkresność ma swój kres
Wylałam morze atramentu
gdy trzeba było morza łez

Ewa Filipczuk

Wodospad

chcę wiedzieć
dlaczego
tak krótko
tak długo
trwam
zawieszona jak gwiazda
w ciemności pokoju
a obok mnie
huczy ziemia
huczy
jak wodospad

☆ ★ ☆

wszystkie francuskie joanny
przychodzą by burzyć
spokój spokojnych domów
ciszę cichych ogrodów

chciałabym podarować
tę najpiękniejszą
na koniu
obcemu mężczyźnie który
trzymając pęk kluczy
idzie w przeciwną stronę
w stronę cudzego domu
w cudzym ogrodzie sieje
popielaty wiatr
zdmuchuje francję jak świecę
i kładzie na stole
list napisany przelotnie
przez grzeszną Joannę
a jej pieszczoty pachną
ciągłym niespełnieniem

chciałabym podarować
obcemu mężczyźnie
ogród listów Joanny
i płonący stos

Andrzej Wiktor Mikołajewski

Pożegnanie młodości

Minęła młodość
zgasła
wiatr ją zdmuchnął
jak płomień świecy ledwo nadpalonej
a co zostało samo już skruszeje
i bez tajemnic wielkich się obejdzie
bez tych miłości co miały być piękne
bez tej dobroci która nie ma sensu
i już bez siebie
bo młodość minęła

Teraz jest człowiek jak wszyscy
zwyczajny
i w zwykłych sprawach toną jego myśli
Wichry i burze już dawno ustały
Teraz jest człowiek zwyczajny
jak wszyscy

I jest mu lepiej
jest już spokojniejszy
Dzień każdy teraz bardziej teraźniejszy
i już nie przyszłość
a przeszłość się liczy

Minęła młodość
To dobrze
Nareszcie
Już teraz życie samo się przemilczy

Poezja

bliska bardziej niż samotność
i tym odleglejsza
podobna miłości wygasłej w jej własnym ogniu
ruina trwająca ponad wszystko

realniejsza od rzeczy
uległa słowom orędowniczka uczuć
— tej jedynej wielkości
pośród spraw człowieczych

Mirosława Marinow

Dlaczego nie odleciałam z gniazda

Kiedy rozpościerałam skrzydła
w małym miasteczku
rzucali w nie kamieniami
a matka dorzucała chleb

Kiedy rozpościerałem skrzydła
pierwszy mężczyzna wsunął mnie chyłkiem do grobu
i przywalił płytą z tabliczką muzeum

Kiedy mimo to rozpiścierałam skrzydła
komisja egzaminacyjna orzekła że to za mało
a nie było Nikogo kto by się za mną wstawił

Kiedy nadal rozpościerałam skrzydła
ojciec trzymał mnie mocno w przegubach
I zapładniał na stojąco

Kiedy rozpościerałam skrzydła
dziecko wieszało mi się
to na jednym to na drugim

Arche

ja tylko miłość znam tak wielką
że się nie mieści w ludzkich słowach
ja tylko miłość znam tak ciężką
że się latami w ziemi chowa
ja tylko miłość znam tak wielką
że wciąż ukrywam swe spojrzenie
ja tylko miłość znam tak wielką
że mnie mężczyźni opuszczają
by nie być ciągle herosami
ja tylko miłość znam tak wielką
że chłopcy w moim krzyku tona
i uciekają do rodziców
a w nocy płaczą pod oknami
ja tylko miłość znam tak ciemną
że czarna czerń się w gardło wlewa
ja tylko miłość znam tak jasną
że świergot ptactwa w drzewach śpiewam
ja tylko miłość znam tak wielką
o wielka matko przemilczana
spełniałam twoją niemą prośbę
nie powiedziałam nigdy kocham
byś nie musiała ich opuszczać
byłyśmy większe od nich
samych

Andrzej Strąk

pomnik

ciała kotwic idą na dno
nieboskłonu
ogniem trysnęły strzykawki
świeżego wzruszenia
matka odcina pępowinę
wstęgi

w głośnikach rota
i słowa poety
tłum wiwatuje w oknach
telewizorów
pan premier pokornie
milczy
pan sekretarz wygłasza
tren
o nadziei
pan lesio czyta z kartki
tren
o nadziei

jego wielebność celebruje
tren
o nadziei
patrzę im na usta
w oczy
ci z pomnika

na nas
nieufnie

grudzień '80

na przykład

stoi na miedzy
między azją a europą

stopy na dnie
piekła
łysy czubek mózgu
na dnie
kosmosu
na dnie jednego oka

popiół
w drugim
diament
jedno ucho ośle
wincenta
drugie głuche

ludwika
w jednym nozdrzu
wiatr
od morza
w drugim
tlący się papier

w jednej ręce
lekkie pióro
z pazurem
w drugiej
ciężkie serce
w sercu

I jeszcze
ogon
i pełen
brzuch
i usta
pełne

strach
na wróble
franciszek
z asyżu
śmieszny
wszystkim potrzebny

samotny
na przykład
gombrowicz

6.2.84

Grzegorz Kościński

Jak ludzie żyją...

Elżbiecie

Ludzie idą do pracy
I wracają z pracy.
W pracy coś kombinują
(No bo trza zarobić):
Wypić pół litra,
A potem już w domu:
— Ach, jaki jestem...
— Jaka jestem...

Jesień.

Poezja Zdzisława Jaskuły

Maszyna do pisania w tytule tomu i w tytule otwierającego go wiersza. Przeraźliwie konkretna, „marki/Predom Łucznik 1301, niewiele się zresztą/ różniąca od maszyny do szycia tej samej firmy" („Na przykład"), ale i uwznioślona przez sąsiedztwo z Remingtonem z „Listu" Cendrarsa: „— Moja maszyna do pisania jest piękna! — zawołałem /zza grobu słowami Cendrarsa" (wiersz tytułowy). Pamiętamy, jak radował się francuski poeta:

„Moje pismo jest wyraźne i jasne
Od razu widać że to ja je wystukałem.
Są tam białe miejsca które tylko ja jeden umiem zostawić".

Bohater utworu Jaskuły nie dzieli tej radości. Co najmniej dlatego, że pozbawiono go maszyny do pisania, mimo iż tak korzystnie różniła się ona od egzemplarzy opisanych kiedyś przez Ryszarda Krynickiego, nie była ani „tubą megafonu", ani „maszynką do mielenia mięsa", ani „aparatem podsłuchowym". Ta więc sytuacja sprawia, że znacznie bliższe mu są doznania Józefa K. (Sam „Ob. Kafka Franz" pojawi się także — na krótko — w „Wierszu wiosennym o zimowym bzie").

Mówię o doznaniach, bowiem problemy układają się wokół kluczowego motywu w ciąg już niekafkowski: czy poezja jest w stanie zmienić istotę świata? Ocalić go? Ocalić kogokolwiek pojedynczego? *„Ludzie, czego wy chcecie, nie umiem wam /pomóc. Sam zdycham codziennie. Nie mam siły /krzyczeć* („Wieczór autorski w większym mieście") — to jedna z możliwych odpowiedzi. Bo gdyby przyjąć ją za jedyną, wówczas nie unikniemy pytania następnego: o sens i o motywację działalności twórczej. Właśnie tak, najszerszej, formułuje je tłumaczony przez Jaskułę Gottfried Benn:

„dlaczego coś wyrażamy? (...)
To przecież nie wzgląd na honoraria,
wielu przymiera głodem. Nie,
to jakiś napęd w ręce,
zdalnie sterowany, pewne ułożenie mózgu,
może spóźniony Zbawiciel
albo totemiczne zwierzę (...)"

„Składnia" Benna w przekładzie Jaskuły przynosi możliwość (a nie daje jej np. tłumaczenie Krzysztofa Karaska) widzenia twórcy także, choć nie tylko, jako maszyny, która pisze. Pod warunkiem, że odrzucimy powierzchowne skojarzenia z „mechanicznie wytwarzać" lub „sterować", a zachowamy to, co z tej interpretacji są w stanie potwierdzić same utwory Jaskuły: konieczność i ruch, atrybuty mechanizmu i kosmicznego, i ludzkiego. *„Ale tam (w górze obraca się niewidzialne jak światłość młyńskie koło"* („Odwołany wieczór autorski"..); *„Koła/pociągu, twoje serce, muszą być w ciągłym ruchu (...)" (Wieczór* autorski...")

Wewnętrzny natomiast ruch tej poezji, jej rozwój, można ująć najprościej jako przechodzenie od „małych liryków" (cykl „Głosy") w stopniowo rozbudowywane formy poematowe. Jaskuła jest poetą wierszy dłuższych, narracyjnych. Sądzę tak nie tylko dlatego, że wyznania liryczne, zaczynające się od „Mario..." — śmieszyły mnie zawsze niepomiernie. Chodzi mi o sam sposób opowiadania, ciekawy u tego poety wówczas, gdy nad relacją o czymś (najczęściej jest to kontekst spraw społecznych, narodowych, politycznych) nadbudowuje się jakby druga wypowiedź, w sposób konieczny osadzona w języku. Wyłoniona z wieloznaczności słów i ich skostniałych połączeń, z wieloznaczności, na którą autor „Maszyny..." jest wyjątkowo wrażliwy, ta druga wypowiedź polemizuje z pierwszą; jawi się w postaci jej zaprzeczenia, antywzoru. Stąd ironia, paradoks, dowcip — rozumiany jako zachowanie językowe nałożone na sytuację („Wiersz wiosenny o zimowym bzie", „Epistaxis", „Zbieg okoliczności").

Język nie jest tu jednak, jak u „lingwistów", wyłącznym przedmiotem i bohaterem. Poezja Jaskuły ma własnego bohatera: to człowiek na pograniczu życia prywatnego i społecznego, „ja" wyznaczane przez oficjalność i codzienność. Ale owa codzienność zostaje następnie przefiltrowana, wchłonięta w obręb, świadomości podmiotu, przetrawiona przez ironię. W efekcie, jak w znakomitych „Kilku uwagach w trybie rozkazującym", zakazy i nakazy, które początkowo były funkcją poczucia rzeczywistości, ujawniają swoją absurdalność i wtedy dopiero można z ich pomocą okiełznać lekko przerażające zniewolenie.

Dzięki temu samemu mechanizmowi bohater najlepszych utworów z tego bardzo obfitego tomu nie zamyka się w „ja"; jego biografia jest tyleż przeżyta, co wykreowana — ani też nie popada w drugą skrajność, którą byłoby poprzestanie na rejestracji potoku zdarzeń bieżących. Zdzisławowi Jaskule udało się scalić obie te postawy, obecne zresztą w dziejach poezji aż po czasy najnowsze: „uwznioślającą" i „prezentystyczną". Widać to w obydwu „Wieczorach...", w „Światowym Miesiącu Serca" (notabene Wydawca wydrukował ten tekst bez należnego mu pietyzmu technicznego), w wierszach wymienianych wcześniej. — A także — w „Chwili lirycznej", którą niechaj ten, kto ma właśnie tomik pod ręką, zechce w tym miejscu przeczytać raz jeszcze.

GRAŻYNA SZYMCZYK-KLUSZCZYŃSKA

Zdzisław Jaskuła, Maszyna do pisania. Wdawnictwo Łódzkie, Łódź 1984 (Biblioteka Poetycka)

z okazji Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, na łamy „Odgłosów" nie zaprosiliśmy ani pierwszych, ani drugich. Oddaliśmy głos tym, których Pegaz unosi lub wzniósł na tyle wysoko, aby ich dostrzegać stale, kochać i cenić. „Odgłosy" dają przykład!

Łódź ma bardzo wielu poetów

Nagle przychodzi lato.
— Daj mi na te wczasy!
— Ja z Tobą? Czy Ty z dzieckiem?...
Słoma, Wdowa, Wdowiec?
A później się po rękach można wycałować,
I spojrzeć sobie w oczy,
I powiedzieć — Człowiek.

grudzień 1984

Kosmogonia

Darkowi Charczunowi

Pan Bóg miał siwą brodę.
Z włosa rozdwojenia
Wypadła jakaś gwiazda
I krzyknęła: — „Ziemia!"

Nie przewidziała biedna małpy ni Kolumba,
Nie myślała co zenit, co dno, i co trumna
— Żarem miłości pełne wyciągała dłonie
A wtedy cały wszechświat odsuwał się od niej.

Kiedyś z zimna skonamy.
Od światła nadmiaru.
I kiedyś przerośniemy największy z obszarów.
Kiedyś się splącze nasza długa droga
Z tą biednej gwiazdy
— W brodzie Pana Boga.

Edward Kolbus

W masce Autenrietha

Odkąd pory roku
stały się podobne do siebie
a specjaliści od masek
skupili całą swą uwagę
na ustalaniu ostatecznej wersji
traktatu o ciszy —

na korytarzach
trwa dostojny spokój

Nie słychać gorączkowych rozmów
ani krzyku
Nikt nie podnosi głosu

Wśród bujnej roślinności ogrodu
rozlega się kojący śpiew słowika

Tę oazę ładu i harmonii,
rzadko nawiedza przestrach
Co prawda

jeszcze do niedawna
ulotna wrzaskliwość pawia
budziła powszechną grozę
ale dziś?

Jest ciszej
Nawet wiatry wieją z siłą
nie przekraczającą granic
Łoskot burzy
odtwarzany co jakiś czas
ku przestrodze wątpiących
pełni rolę dokumentu

W ogóle
coraz mniej się mówi
może z wyjątkiem sali
w której przebywa niejaki Hölderlin
zwany Scardanellim
Jedynie on przysparza kłopotu
Nie ceni maskarady

Na szczęście
większość pacjentów
dała się przekonać

i wierzy
że skowyt oniemiałych
sprowadza na świat
trzęsienia widnokręgów
A cisza
w której wszystkim tak do twarzy
ona po prostu leczy

Henryk Zasławski

Walt Whitman

Posłuchajcie —
To ja — Walt Whitman
Mówię wam:
Przeminą miasta
Lasy i pola przyjmą inną barwę
Inni przyjdą bardowie i imię moje być może

Pogrążone zostanie w zapomnieniu
Ale ja będę wierzył w was
Od których oczekiwałem rzeczy wielkich
Nim odejdziecie o różowym świcie aby spotkać się ze mną
„Przemienieni w rośliny, pnie, listowie, korzenie, korę"
Powiadam wam:
Poeta który nie ma w sobie światła niczym jest
Poeta który poniża swoich braci niczym jest
Poeta który nie ma odwagi niczym jest
Nie nazywajcie go poetą
Bo nigdy nie będzie on sercem pokoleń
Ja będę z wami

Przeciw zapomnieniu i poniżeniu
Ale oczekuję od was rzeczy wielkich
„Kimkolwiek jesteś, kładę na tobie rękę,
Ażebyś stał się moim poematem"
Ażebyś wytrącił broń walczącym
Aby stała się miłość

Dlatego poszukuj tylko słowa ostatecznego
I czuwaj —
Przechadzający się nad brzegami rzek
Schyleni w codziennej trudnej pracy
Do was mówię: poszukujcie prawdy
I wierzcie w cud albowiem

„Każda godzina światła i cienia jest cudem"
Wierzcie że powstaniemy z martwych
I wszyscy staniemy w jednym kręgu
Bo „z głębin śmierci płynie pieśń życia"
Jak światło gwiazd
To jasność silniejsza od jasności Jowisza

Czuwajcie —
Nim ostatnie bzy przekwitną na Manhattanie
Powrócę: ja kosmos Walt Whitman
Aby podać rękę czyniącym miłość
Na tej ziemi.

Janusz Wojdecki

Kochankowie autostrad

O wielki smutek autostrad portów dworców i pożegnania
młodości Oto niestety musimy już wracać
do naszych domów do domów które powinny być nasze
ale jakoś nie wyszło i do nas należy
pożegnać nasze porty dworce i naszą młodość
i wrócić do domu który i tak nie będzie już naszym

Nie próbuj ucieczki który żyjesz wśród książek
i ty który szukasz swojej wolności w górach
na jeziorach nad morzem i wy kochankowie autostrad
na próżno nawijacie kilometry asfaltu
Ty co codziennie wracasz do ciemnego łożyska kina
i wy których 3 piwa + reladorm utrzymują w niezbędnej jasności umysłu
i wy próbujący zamienić życie w sztukę a sztukę w życie co w praktyce = niewinne orgie
młoda niepruderyjna para poszukuje podobnej celem wymiany doświadczeń

ból głowy papierosowy dym
Och nudne to wszystko jak żucie prezerwatyw
kiedy wiadomo że jutro i tak trzeba wrócić do domu
do naszego domu do domu który mógłby być naszym

Marek Brzeziński

Kościół św. Katarzyny w Hamburgu niedaleko St. Pauli

W pół drogi
pomiędzy St. Pauli a See, na którym zacumowano iskrzące się
lampionami stateczki i gdzie emerytowani szyprowie wypluwają
spomiędzy zębów i ustników fajek słowa zachęty do przejażdżki

za parę marek
tam

szczerbatymi kłami
godzącymi w niebo
szczerzy się cisza
połamanych ramion
gotyckiego kościoła
wierni

wszędopnącym się chwastem porośli
pochylają pokornie głowy
pod uderzeniami wiatru
i przyjmują rosę
święconej wody
zachmurzonego kropidła

na ołtarzu
z amputowanej kolumny
pod rozkrzyżowanymi oczodołami okna
pająk bogaty
rozpostarł srebrzystą szatę mszalną
a księżyc w ornacie żałobnym

mszę zaduszną celebruje
przyklękam
pod zmurszałym gwizdem
bomb
dzwonkami w uszach dźwięczących
przed Podniesieniem.
Msza skończona.
Wychodzę w boczną uliczkę St. Pauli, a tam czarna dziwka
tłusty tyłek wypina i gości zaprasza.

1.d.9.10.84

Jacek Maciaszek

Lata pięćdziesiąte

ta dziewczyna ma nagie piersi
kiedy zdejmuje czarny sweter
spada kurtyna nocy
ja nie zapalam cudownej lampy alladyna
kiedy ona czyta swoje białe jak śnieg wiersze
tylko przyzwyczajam wzrok do ciemności

w latach pięćdziesiątych
często gasło światło
i wracaliśmy po omacku do jaskiń

mieliśmy wtedy mało energii
a elektryczność wytwarzali
starcy na rozpędzonych
rowerach

Marek Bazylczuk

☆ ★ ☆

My, ludzie drzewa
Potykamy się o korzenie
W jednym pokoju z jednym oknem.
Dla większości bezużyteczni
— Pozaprzestrzenni i bezczasowi,
Jak ślady szczurzych łapek

Na stłuczonym szkle w piwnicy (Eliot).
Ale nie próżni,
Pełni pustki i nieistnienia.
Jako mniejszość
Nie mamy prawa głosu i
Spotykamy się ze współczuciem.
Nie mogąc się spotkać
Ze sobą, ani ze zrozumieniem.
Ludzie są dla nas symbolem życia i
Możemy cicho przemijać.
A gdy już wszyscy
Będą mieli wszystko, a

Prezenty zostaną rozdane,
Już będziemy rosnąć
Koroną do ziemi.
Jesteśmy smutnym symbolem ludzkości.

8.31 czwartek 21 marca '85

„...nie zostały po nich nawet wdowy..."

Corocznie w kwietniu w naszym kraju odbywają się Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim. Impreza ta, której początek datuje się na 1976 rok, na stałe weszła do kulturalnego kalendarza i zajmuje w nim istotną rolę. Tradycyjnie Spotkania stają się okazją do zaprezentowania polskiemu widzowi najnowszych osiągnięć radzieckiej kinematografii.

W bieżącym roku na uroczystą inaugurację Spotkań wybrano film, który w Związku Radzieckim nie miał jeszcze swojej premiery. Był nim „Oddział" w reżyserii Aleksieja Simonowa (syna znanego pisarza — Konstantina Simonowa), według scenariusza Jewgienija Grigoriewa.

W kinematografii Związku Radzieckiego tematyka wojny zajmuje w dalszym ciągu pokaźny procent realizowanych filmów, pozostając obok filmów obyczajowych i produkcyjnych głównym nurtem artystycznej wypowiedzi dla reżyserów. Podobnie, jak dzieje się w przypadku filmu, tak i w literaturze radzieckiej pamięć o okrucieństwie wojny jest nadal wciąż żywa. Zarówno jednak w filmie, jak i w literaturze w przeciągu kilkunastu lat zmienia się optyka widzenia czasu wojny. Dystans do tragicznych wydarzeń sprawia, że autorzy poszukują innych rozwiązań. W 1969 roku sensacje w Związku Radzieckim wzbudziła mikropowieść Borysa Wasiliewa pt. „Tak tu cicho o zmierzchu", sfilmowana później przez Stanisława Rostockiego. Była to opowieść o grupie młodych dziewcząt, dowodzonych przez jedynego mężczyznę, które na tyłach toczą walkę z najeźdźcą. Istota i odkrywczość tej książki, a także filmu polegały na tym, że zrezygnowano z wielkich scen batalistycznych na rzecz pogłębionego psychologizmu postaci. Powieść ta zapoczątkowała niejako inny nurt w patrzeniu na wojnę. W literaturze jego kontynuatorem jest późny debiutant Wiaczesław Kondratiew, którego twórczość charakteryzuje się wykorzystywaniem motywu wędrówki, pokonywania drogi, choć bardzo często jest to niewielka przestrzeń: dwie, trzy wsie, położone pośród parowów i lasów.

Nieprzypadkowo wspomniałem właśnie te dwa nazwiska. Otóż „Oddział" Simonowa wykazuje liczne paralele do twórczości tych pisarzy i mieści się w nurcie nowego patrzenia na wojnę i na losy ludzi wciągniętych w wir wydarzeń.

Już samo umiejscowienie akcji filmu stanowi swoiste novum w kinie radzieckim. Akcja została osadzona na Litwie! Rozpoczyna się na tydzień przed wybuchem wojny i toczy się przez dwa miesiące. Czyli jest to sam początek wielkiej wojennej epopei. Bardzo istotne jest właśnie umiejscowienie akcji na Litwie, która stanowiła konglomerat wielu narodowości. Stosunek ludności litewskiej do żołnierzy radzieckich nie zawsze był przychylny. Simonow i Grigoriew pokazują w jaki sposób następuje przełamywanie barier. Do ciekawszych scen w filmie należą sceny zdobywania żywności. Początkowa nieufność Litwinów przeradza się w zrozumienie dla tragizmu osamotnionych żołnierzy (niewielkiego, siedmioosobowego oddziału), których początek wojny zastał przy wyrębie lasu, bez broni. Rozpoczyna się wędrówka przez lasy w kierunku frontu, który przesunął się wiele kilometrów dalej.

Bohaterami filmu „Oddział" są młodzi chłopcy. Reżyser powiedział o nich: ...nie zostały po nich nawet wdowy, a przecież oni również wygrali tę wojnę... W tym siedmioosobowym oddziale jak w soczewce skupiają się różne postawy ludzkie. W przeciwieństwie do tradycyjnego traktowania żołnierzy jako monolitów psychiczno-fizycznych, bohaterowie „Oddziału", wcale nie stanowią jedności. Różnią się znacznie między sobą stopniem świadomości. Pomiędzy nimi często dochodzi do konfliktów wynikających z różnic osobowościowych. Wszyscy jednak cenią takie wartości jak: przyjaźń, umiłowanie ojczyzny. Nie wahają się poświęcić własnego życia dla ratowania drugiego.

Inną cechą wyróżniającą ten właśnie film pośród innych jest zmienność nastrojów. Simonow przeprowadza dramaturgię od scen nieomal euforycznych, kiedy to w garnizonie odbywa się projekcja filmu pt. „Jeśli jutro wybuchnie wojna", a podczas niedzielnego festynu jeden z żołnierzy wraz z Niemcem zabawiają się strzelaniem do kwiatów na strzelnicy, której właścicielem był Żyd. Następnie przechodzi do scen wręcz groteskowych! Podczas wędrówki oddział, którego jedyną bronią była rakietnica (zanim nie zdobył innej na wrogach) napotyka maszerujących Niemców, którzy dla zabawy chcą wziąć Rosjan do niewoli. Jeden z nich na motocyklu goni za uciekającymi po lesie Rosjanami, zanim sam ciężko przestraszony po otrzymaniu postrzału z rakietnicy nie ucieka. Dramat tych młodych chłopców niejako uzewnętrznia się w momencie śmierci pierwszego z nich. Zostaje on zastrzelony z zimną krwią, po czym jest przyczepiony do ciężarówki i wleczony do wsi. Jest rzeczą charakterystyczną, że obok scen przedstawiających brutalność i bestialstwo Niemców są oni pokazywani również w innym świetle. Bardzo często byli to tacy sami młodzi chłopcy, którzy również ginęli w bezsensowny sposób.

Tragizm filmu narasta wraz z każdą kolejną śmiercią członka oddziału, aż do momentu kiedy tylko jednemu z nich udaje się dotrzeć do linii frontu.

Niewątpliwie „Oddział" wyróżnia się pośród innych filmów radzieckich poświęconych tematyce wojny, miejscem i czasem akcji, konstrukcją psychologiczną bohaterów. Można go umiejscowić w rzędzie tych pozycji, które sprawiają, że ten tak mocno eksploatowany temat może być jeszcze interesujący dla widza czy czytelnika.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Srebrne Pierścienie 85

Amant komiczny

JERZY WOLNIAK dyplomant Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Łodzi, (z 1977 roku), solista Teatru Wielkiego w Łodzi. Znany z wielu czołowych partii tenorowych (Rudolf w „Cyganerii", Kazimierz w „Hrabinie" Melvill w „Marii Stuart", Ernesto w „Don Pasquale", Barinkay w „Baronie cygańskim", Edgar w „Łucji z Lammermooru" Pinkerton w „Madame Butterfly", Leński w „Eugeniuszu Onieginie").

„Srebrny Pierścień" przywiódł mu za kreację wokalno-aktorską w „Sonacie Belzebuba" (rola Istvana) w reż. Bogdana Hussakowskiego.

Rok bieżący zdaje się być szczególnie pomyślny w karierze Jerzego Wolniaka, który śpiewał z dużym powodzeniem na Międzynarodowym Festiwalu Młodych Talentów w Gotwaldowie, na recitalach w Liosku, Pradze, na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Busetto (III etap), na stypendium wokalnym we Włoszech (Siena), na koncercie w Paryżu, we włoskiej wersji „Don Pasquale" w RFN i na gościnnych występach w Holandii (Hertogenbosch) w partii Edgara w „Łucji z Lammermooru".

— Ile wyróżnień i nagród notuje pan na koncie?

— Moim pierwszym konkursem wokalnym był Konkurs im Jana Kiepury w Krynicy, na którym zdobyłem II nagrodę, przegrywając o 0,2 punkta z Grzegorzem Cabanem, Z konkursu w Verviers (w Belgii) wróciłem bez nagrody, w Busetto doszedłem do III etapu, z konkursu w Tuluzie przyjechałem bez nagrody. W konkursach krajowych nie startowałem, bo bardzo dużo pracowałem w teatrze i nie znajdowałem czasu, ponadto terminy konkursów polskich i zagranicznych pokrywały się.

— Co dają młodym śpiewakom konkursy wokalne?

— Wiele dobrego i pożytecznego, np. obycie z międzynarodową, wyrobioną publicznością, wgląd w sposoby śpiewania innych, wyzbycie się paraliżującej tremy i kompleksów. Startując w grupie wspaniałych młodych śpiewaków z całego świata i kwalifikując się w czołówce najlepszych, można nabrać przekonania, że nie jest źle. Dodatkowo miałem okazję być na stypendium w Sienie we Włoszech, u znakomitego akompaniatora śpiewaków włoskich Giorgio Favaretto, gdzie nauczyłem się śpiewania muzyki włoskiej, jej stylu. Niedawno byłem tam po raz drugi. Słuchając innych można się czegoś nauczyć. Mój obecny sezon, który uważam za nader udany to wynik moich wojaży na kolejne konkursy zagraniczne.

— Kilka dni temu był pan na przesłuchaniu do kolejnego konkursu?

— W Warszawie stawałem na przesłuchanie śpiewaków zgłaszających się na konkurs wokalny do Busetto, które wygrałem To były ciężkie dni, bo przeżyłem perturbacje związane z moim odlotem do Holandii i na przedstawienie w Hertogenbosch dojechałem w ostatniej chwili, po przedstawieniu „Łucji z Lammermooru" wyleciałem do Polski, aby dnia następnego stanąć na przesłuchanie konkursowe.

— Czy warszawski mur konkursowy nadal jest nie do przebicia?

— Jak widać — już nie, w ub. roku wygrałem przesłuchania na Busetto, Tuluze, zauważyłem, że komisje składające się ze śpiewaków, pedagogów wokalistyki są coraz bardziej obiektywne. Przesłuchania rozpoczynały się do tej pory o 10.00 rano, co nie jest korzystnym terminem dla śpiewaka, obecnie przesunięto czas o dwie godziny co ma spore znaczenie dla głosu.

— W sezonie 1978/80 śpiewał pan w Teatrze Wielkim w Warszawie?

— W Warszawie występowałem dwa lata i wspominam tę współpracę bardzo sympatycznie Dyr. Antoni Wicherek obsadził mnie w takich partiach jak: Czefalo w „Narcyzie" Scarlattiego, Belmonta w „Uprowadzeniu z Seraju" Mozarta, Alfreda w „Traviacie" Verdiego czy Księcia Mantui w „Rigoletcie" Verdiego. Pracy tej towarzyszyła wspaniała atmosfera i znakomici partnerzy w osobach: Urszuli Trawińskiej-Moroz, Poli Lipińskiej, Anny Malewicz-Madey, Kazimierza Pustelaka, Jerzego Artysza, Jerzego Ostapiuka. Z warszawskiego okresu pozostały mi dobre recenzje i dwie partie, które pozwoliły rozwinąć mój warsztat wokalny. Miałem tam dużo pracy i sporo szans, których nie wykorzystałem, bo w tym czasie inne sprawy były dla mnie ważniejsze. Obecnie zdaję sobie z tego sprawę, wtedy nie miałem tej świadomości.

— I wrócił pan do Łodzi?

— Zadecydowały o tym względy prozaiczne, otrzymałem mieszkanie w tym mieście. Śpiewałem tu tuż po dyplomie w Teatrze Muzycznym, w którym za dyrekcji Aleksandra Długosza, na skutek tzw. układów, przez 8 miesięcy dopuszczono mnie do pokazania się w epizodzie kamerdynera wypowiadającego 4 zdania w bajce dla dzieci „Śpiąca królewna". Dopiero na wieść o moim angażu do Teatru Wielkiego, dyr. Długosz obsadził mnie w głównej roli Jacka w musicalu „Oh, Laleczko".

— W łódzkim Teatrze Wielkim miewał pan lepsze i gorsze sezony. Od czego to powodzenie i niepowodzenie było uzależnione?

— Trudno mi powiedzieć, często to sprawa niezależna od nas. Repertuar grany w tym czasie nie proponował partii na mój rodzaj głosu, byłem chory i na 4 miesiące wyłączony z pracy, a po powrocie do zdrowia musiałem postarać się o pełną formę, z którą jest u śpiewaków podobnie jak u sportowców. I nie mogłem z nią trafić na dany, ważny moment. Do złego sezonu mogą się również przyczynić recenzenci.

— Do jakich partii jest najbardziej predestynowany pana głos?

— Dwa lata temu mogłem śpiewać tylko liryczne partie, obecnie najbardziej odpowiadają mi partie lirico-spinto i taki jest mój głos. Podobno mam wyjątkową łatwość do ról komicznych i dobrze czuję się w takich zadaniach.

— Komiczny jest Istvan z „Sonaty Belzebuba", za tę rolę otrzymał pan „Srebrny Pierścień"?

— Grając Istvana, świetnie się bawię, to że jest to taka a nie inna rola, zawdzięczam reż. Bogdanowi Hussakowskiemu, który pozwolił mi na dużą swobodę. Była to wspaniała współpraca, uwielbiam reżyserów, którzy mnie nie usztywniają. Bardzo trafnie została dobrana obsada do „Sonaty Belzebuba" i w przedstawieniu wszyscy wykonawcy bawią się, ale w dobrym znaczeniu tego określenia. Nie zapominamy, że gramy Witkacego, co znamionuje bardzo trudne przedstawienie.

— W tej roli bardziej pokazuje pan swoje uzdolnienia aktorskie niż wokalne?

— Bo w „Sonacie Belzebuba" nie ma popisów wokalnych, jeżeli zwraca się uwagę na moje aktorstwo, to mogę się tylko cieszyć. Rzadko się zdarza, abym w partiach operowych miał tak ustawione zadanie aktorskie, jak w roli Istvana.

— Która z partii uważa pan za swoje najpoważniejsze osiągnięcie?

— Edgara w „Łucji z Lammermooru", pomimo nie najlepszej premiery, jest to partia, z którą mogę się wszędzie pokazać. Lubię Leńskiego w „Eugeniuszu Onieginie", bo odpowiada mi typ bohatera ekspresywnego (taki jest np. Leński w scenie z balu), Rudolfa w „Cyganerii", bo urzeka mnie muzyka Pucciniego. Czekam na partie Księcia w „Rigoletcie" która należy do wymarzonych, a jeszcze nie wykonywanych publicznie, choć całą rolę mam już opracowaną.

— Pana głos oceniono jako „typowy włoski tenor", czy ma pan możliwość jego rozwoju w Polsce?

— Głos śpiewaka operowego rozwija się poprzez coraz to nowe partie, a należę do często obsadzanych tenorów. Jeśli chodzi o typowo włoskie śpiewanie, to może w przyszłym sezonie będę śpiewał w „Makbecie" Verdiego.

— Przeważnie jest pan obsadzany w rolach amantów?

— Boję się zaszufladkowania, ale mając predyspozycje komiczne mogę sięgać i po takie role, lecz nie chciałbym w przyszłości, grając komików, obawiać się kolejnego zaszufladkowania. Fakt, że jestem śpiewakiem nie powinien oznaczać, że należy widzieć mnie jednostronnie czyli bardzo poważnie.

— Każdy z artystów marzy, aby jego pracę nagradzano np. Srebrnym Pierścieniem. Pan również liczył na tę nagrodę?

— Była ona dla mnie zaskoczeniem, ale bardzo miłym.

— Tylko czy satysfakcjonowałaby ona pana tak samo, gdyby „Srebrny Pierścień" otrzymał pan za partię typowo wokalną np. Edgara w „Łucji z Lammermooru"?

— Istvan z „Sonaty Belzebuba" nie jest wbrew pozorom łatwy wokalnie, bo śpiewam do wysokiego „H". Nagroda jest przyznana za kreację wokalno-aktorską i pomniejszyć ją próbują ci, którzy mają kompleksy.

— Co niesie ze sobą tak wysokie wyróżnienie?

— Jest to nagroda prestiżowa. Nie otrzymałem w związku z nią żadnych propozycji, poza wywiadem w łódzkiej TV i obecnym w „Odgłosach", te które otrzymałem i nadal otrzymuję są wynikiem mojej pracy i udanych występów zagranicznych.

— A doping artystyczny, żeby pokazać, że stać mnie na jeszcze więcej?

— Oczywiście — występuje, nawet niezależnie od nagrody, bo każdy artysta poważnie traktujący swoją pracę chce się wciąż rozwijać. Mnie jest szczególnie potrzebne dobre, życzliwe słowo i ciepło otaczających mnie ludzi, z którymi współpracuję. Należy do nich także moja rodzina, a szczególnie żona — śpiewaczka, primadonna Teatru Muzycznego w Łodzi — Elżbieta Ptak i najserdeczniejszy przyjaciel Kazimierz Kowalski, który cieszy się każdym moim sukcesem tak jak swoim. Rzecz niespotykana w tym zawodzie, a jednak prawdziwa.

— Niedawno odniósł pan wielki sukces przed publicznością holenderską?

— Przeżyłem tak gorące przyjęcie mojego występu po raz pierwszy, pamiętam, że publiczność liczącego się w świecie teatru w Hertogenbosch nie wychodziła po przedstawieniu z sali — stała, klaskała i krzyczała: „brawo, phantastisch!" Byłem wzruszony, podobnie moja partnerka, polska śpiewaczka Grażyna Ciopińska. Występ na scenie Teatru Stadsschouwburg Casino Den Bosch był moim pierwszym samodzielnym występem gościnnym za granicą. Wcześniej miałem koncerty recitalowe. Są już następne propozycje.

— Jakie są to propozycje?

— Nie chcę o nich mówić, aby nie zapeszyć, powiem tylko że dotyczą kolejnych występów gościnnych w zachodnich teatrach operowych i recitali. Na mapie wojaży są m.in. Szwecja, Francja, Austria.

— Nie interesują pana występy kontraktowe?

— Nie, bo chcę przede wszystkim śpiewać w Polsce.

— Ale taki zagraniczny kontrakt uważany jest w waszym środowisku za rękojmię powodzenia w zawodzie?

— Moje zdanie jest odmienne, to raczej zarabianie pieniędzy. Śpiewak na zagranicznym kontrakcie jest traktowany jak rzemieślnik, wyciśnięty przez kontrahentów jak cytryna.

— Kariera śpiewacza. Czy to co osiągnął pan do tej pory może się składać na to pojęcie?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, bo nie wiem jaką miarą mierzy się u nas karierę?

— Być na rynku, w środkach masowego przekazu, śpiewać, śpiewać, śpiewać...

— Otrzymałem właśnie ciekawe propozycje nagrań z radia i telewizji. W Łodzi będę rejestrował swój program recitalowy, nagram arie i pieśni z Orkiestrą PRiTV w Łodzi pod dyr. Henryka Debicha.

— Wszystko dobrze się zapowiada, tylko czy wytrzyma pan ze swoją kruchą psychiką, to co teraz przed nim?

— Użyłbym innego określenia — wrażliwy. Gdy studiowałem nikt nie zarzucał mi zbytniego przewrażliwienia, bo uprawiałem boks, który uodpornił mnie na różne stresy i niepowodzenia. Teraz pomoga lata pracy i zdobyte doświadczenia.

— Czego więc panu życzyć?

— Pęknięcia struny.

— Tej sięgającej wysokiego „c"?

— Akurat ono nie stanowi dla mnie problemu. Życzyłbym sobie, aby dyr. Sławomir Pietras był jak najdłużej dyrektorem teatru, bowiem właśnie jemu bardzo dużo zawdzięczam.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Jerzy Wolniak z Ewą Wycichowską w „Sonacie Belzebuba" na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi

Sławni rockmani w roli solistów

GRZEGORZ WALENDA

Gdy zespół The Beatles przestał istnieć, a jego członkowie zaczęli oddzielnie koncertować i nagrywać płyty, melomani mieli nadzieję, że nareszcie dowiedzą się który z Beatlesów jest najbardziej utalentowanym autorem i wykonawcą. Większość kompozycji podpisywała para Lennon-McCartney, jednak podejrzewano, że muzycy nie zawsze pracowali nad nimi wspólnie. George Harrison wprawdzie rzadko komponował, ale prawie wszystkie jego piosenki stawały się przebojami. Z kolei Ringo Starr, który nie wyróżniał się jako instrumentalista, w filmach z udziałem The Beatles był postacią pierwszoplanową. Kto zatem nadawał ton twórczości zespołu? Kto spełniał funkcję lidera?

Płyty solowe eks-Beatlesów nie przyniosły jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Działając oddzielnie, Lennon i McCartney oferowali słuchaczom inną muzykę, przy czym żaden z nich nie potrafił — lub po prostu nie próbował — odtworzyć klimatu nagrań zarejestrowanych z grupą The Beatles. Okazało się ponadto, że także Harrison i Starr mogą pochwalić się oryginalnymi pomysłami muzycznymi i sprawdzają się jako soliści.

Przez wiele lat krytycy starali się zgłębić fenomen Beatlesów, a melomani czekali z utęsknieniem na dzień, w którym grupa wznowi działalność. Lennon nigdy nie wierzył w możliwość wskrzeszenia zespołu. W 1980 roku w wywiadzie dla tygodnika „Newsweek" powiedział m.in.: „Wracać do Beatlesów to jak wracać do szkoły... Wszystko dawno minęło". Gdy kilka miesięcy później Mark Chapman oddał do Lennona cztery strzały z pistoletu śmiertelnie raniąc jednego z najbardziej charyzmatycznych twórców muzyki popularnej, rozwiały się nadzieje na ożywienie legendarnej grupy. Pozostały historyczne nagrania z lat sześćdziesiątych oraz płyty solowe, które McCartney, Harrison i Starr wydają do dziś.

Beatlesi byli na pewno twórcami wyjątkowymi, ale przecież nie tylko oni potrafili zdobyć popularność poza zespołem, występując i nagrywając płyty jako soliści. Od dawna ukazują się w sprzedaży albumy wielu innych wykonawców, których nazwiska kojarzą się z nazwami słynnych grup rockowych.

Kilka miesięcy temu płytę solową nagrał Mick Jagger. „Zastanawiałem się nad tym pomysłem bardzo długo i wiedziałem, że jeżeli nie zrealizuję go, gdy ukończę 40 lat, nie zrobię tego nigdy". Piosenki z longplaya „She's the Boss" różnią się od utworów, do jakich przyzwyczaiła słuchaczy grupa The Rolling Stones. Wydaje mi się, że nie mogło być inaczej. Mick Jagger jest niewątpliwie sercem zespołu, ale jego duszą zawsze był Keith Richards — gitarzysta i współautor większości kompozycji. Takie utwory jak „Happy", „Before They Make Me Run" czy „All About You", w których Richards występuje również jako wokalista, zawierają wszystko to, co najlepsze w muzyce Stonesów. To właśnie jego gitarze grupa zawdzięcza niepowtarzalne brzmienie. Atutami Jaggera są przede wszystkim głos i umiejętność posługiwania się nim, co zresztą potwierdza płyta „She's the Boss". Do jej nagrania piosenkarz zaprosił znakomitych muzyków. Na instrumentach klawiszowych grają m.in. Herbie Hancock i Jan Hammer, na gitarach — Jeff Beck, Pete Townshend i Eddie Martinez. W sumie kilkanaście nazwisk, które gwarantują doskonałą oprawę instrumentalną. W roli producentów poszczególnych nagrań wystąpili, obok Jaggera, Bill Laswell i Nile Rodgers. Ten ostatni współpracował m.in. z Davidem Bowie i Madonną. Można więc zachwycać się płytą nie włączając gramofonu. Podczas jej przesłuchiwania upewniamy się, że mamy do czynienia z muzyką na wysokim poziomie. Jednak zwolenników typowych, opartych na rhythm and bluesie, utworów grupy The Rolling Stones, w których dominuje brzmienie dwóch pracujących bez wytchnienia gitar, solowy album Jaggera może rozczarować. Zawiera bowiem przede wszystkim dynamiczną muzykę taneczną z nowoczesną aranżacją wykorzystującą m.in. dźwięk syntezatorów. Jedynie kompozycja „Hard Woman", przywodząca na myśl słynny przebój „Angie", przypomina, że Jagger jako wokalista również w nastrojowych piosenkach czuje się znakomicie. Jeżeli wierzyć tekstom, lider Stonesów nie jest szczęśliwy „na szczycie". Dręczy go samotność. Ma do czynienia z „trudnymi kobietami". Daje im radość, a one żądają diamentów. Zważywszy że w ubiegłym roku został ojcem ślicznej dziewczynki, a jego przyjaciółką — i zarazem matką dziecka — jest sławna modelka Jerry Hall, można wątpić w szczerość tych wypowiedzi. Jednak o swoich problemach — wyimaginowanych lub nie — śpiewa znakomicie, a to przecież dla melomanów jest najważniejsze. Tych, którzy wolą Jaggera z grupą The Rolling Stones mogę zapewnić, że nie opuścił on swoich kolegów na dobre. Wiecznie młodzi weterani brytyjskiego rocka nagrywali niedawno w Paryżu nowe utwory z myślą o kolejnym longplayu.

Ukazał się trzeci album solowy Phila Collinsa, jednego z najbardziej aktywnych wykonawców muzyki pop. Collins zdobył popularność jako członek grupy Genesis, w której grał na perkusji i śpiewał. Kilka lat temu rozpoczął karierę solową wydając przebojowy longplay „Face Value". Występował też przez pewien czas z zespołem Brand X. Ostatnio coraz częściej zajmuje się produkcją nagrań innych wykonawców. Najnowszy longplay Phila Collinsa nosi tytuł „No Jacket Required". Znalazły się na nim utwory typowe dla samodzielnej kariery muzyka, które sąsiadują z kompozycjami nawiązującymi do nagrań Genesis. Zwłaszcza śpiew Collinsa w utworze „Doesn't Anybody..." przypomina słuchaczom, że wykonawca jest współautorem albumu „And Then There Were Three" wydanego przez brytyjską grupę pod koniec lat siedemdziesiątych. Większość nagrań z „No Jacket Required" tętni życiem, co jest m.in. zasługą znakomitej sekcji dętej. Utwór „Sussudio", przy którym nogi same ruszają do tańca, przez długi czas utrzymywał się na światowych listach przebojów. Dużym powodzeniem cieszyła się też nastrojowa kompozycja „One More Night".

Don Henley z grupy The Eagles też przez wiele lat łączył w swojej pracy obowiązki perkusisty i wokalisty. Nabawił się przy tym schorzenia kręgosłupa. Okazuje się, że wcale nie jest tak łatwo jednocześnie walić w bębny i śpiewać do mikrofonu. Gdy zespół został rozwiązany Henley postanowił więc kontynuować karierę wyłącznie jako wokalista. Jego druga płyta solowa „Building the Perfect Beast" traktuje m.in. o problemach ekologicznych i polityce. Warto dodać, że Henley jest współautorem piosenki „Hotel California" — jednego z największych przebojów The Eagles.

Grupa Police bardzo rzadko uszczęśliwia swoich sympatyków nowymi nagraniami. W 1983 roku ukazał się znakomity album „Synchronicity", dzięki któremu słynny zespół otrzymał aż cztery nagrody Grammy. Po wielkim tournée obejmującym m.in. USA oraz Australię muzycy pracują oddzielnie. Najczęściej słyszy się o osiągnięciach Gordona Sumnera — wokalisty i gitarzysty — znanego również pod pseudonimem Sting. Pociągał go zawsze zawód aktora. Wystąpił już m.in. w obrazie „Dune", a niedawno zakończył zdjęcia do filmów „The Bride" i „Plenty". Nagrał też płytę solową, która dowodzi, że jego rozległe zainteresowania muzyczne obejmują również jazz. W marcu odbyły się pierwsze koncerty Stinga z nową grupą. Grają w niej dwaj muzycy współpracujący dawniej z Milesem Davisem — Brannford Marsalis i Darryl Jones oraz perkusista z zespołu Weather Report—Omar Hakim. Sting twierdzi jednak, że o Police nie zapomniał, a więc miłośnicy rocka mogą liczyć na kolejne nagrania autorów „Synchronicity".

Podobnie jak niegdyś Beatlesi, niektórzy członkowie popularnych grup rockowych próbują się usamodzielnić. Ich płyty solowe spotyka się dziś często wśród nowości fonograficznych. Nie zawsze dorównują one poziomem longplayom zespołowym, ale zwykle cieszą się dużym zainteresowaniem melomanów.

Polemiki • Listy • Opinie

MŁODZI FILMOWCY BUDZĄ NADZIEJĘ

W dotychczasowej dyskusji o inteligencji nie znalazły, w moim przekonaniu, dostatecznego odbicia problemy młodych. Zbyt nikły jest także udział w niej samej młodzieży. Wprawdzie sprawy młodzieży były i są przedmiotem roztrząsań i uchwał zarówno partii, stronnictw politycznych, jak też organizacji młodzieżowych, ale trzeba je także rozpatrywać, nawet za cenę pewnych powtórzeń, w ścisłym powiązaniu z zagadnieniem stanu świadomości i kondycji społecznej całej inteligencji bez względu na jej demograficzne „podziały".

W sposób szczególny dotyczy to środowiska filmowego, z którego ostatnich dokonań nikt bodaj nie jest zadowolony do końca. Ten stan rzeczy znalazł swoje odbicie w obradach i materiałach ogólnopolskiej narady filmowców, na której zresztą młodzi twórcy, choć reprezentowani, także nie zabrali głosu.

Wiele z tych zjawisk wynika bezpośrednio bądź wiąże się z kryzysem początku lat 80 i niełatwym jego przezwyciężaniem. Ale są i takie, które ujawniły się wcześniej, a kryzys tylko je uwypuklił. Do nich należy problem wychodzenia filmu naprzeciw niepokojom widza, jego zapytaniom, czy czasem zabłąkaniom, zawahaniom, czy też niezrozumieniom wielkich, zatrważających spraw współczesnego świata i powszednich spraw naszej trudnej, polskiej codzienności. Zagadnienie to nienowe, towarzyszące polskiej kinematografii od jej narodzin, kiedy to z sukcesem wychodziła ona naprzeciw społecznym oczekiwaniom, aż po lata ostatnie. A teraz widz coraz wyraźniej odwraca się od polskich filmów. Zrażony filozofią, bądź ułomnościami warsztatu części obrazów, przenosi swe uogólnienia — obserwuję to na przykładzie swoich studentów — na całość filmowego dorobku, tracąc z pola widzenia wartościowe myślowo i artystycznie pozycje. Co najwyżej zwraca się ku tytułom rozrywkowym. Te zaś nie zawsze dorównują poziomem „Seksmisji", która harmonijnie połączyła uniwersalne, acz dalekie od banału, wątki rozrywkowe z warstwą ważnych przesłań społecznych.

O nośności myślowej filmu, o jego postaciach, wątkach i filozoficznej wykładni w dużej mierze decyduje scenariusz. Scenariusze zawsze były wąskim gardłem naszej kinematografii. Jest ich mało, są czasem nietrafne społecznie, z wątłą dramaturgią, drugorzędnymi wątkami, niekiedy z nieokreślonymi postaciami. Ostatnio, w niektórych utworach występuje coraz większe osaczanie postaci, więzienie ich w bunkrach, kopułach lub też w labiryntach własnej niemocy albo pogrążenie w beznadziei, nieufności do wszystkich, błąkanie się w świecie odczuwanym jako obcy lub zatracenie w smutku niespełnień.

Jeżeli dodać do tego obserwowaną w niektórych obrazach ekranowych, obcą naturze kina — sztuki ruchu — statykę, szarą lub spowitą w zimnych niebieskościach, scenografię (notabene rozpatrywaną jako wartość autonomiczna a nie integralny element filmu jest ona często plastycznie bardzo interesująca) dopełniającą ponurość i smutek obrazu oraz przenoszenie jego zasadniczych przemyśleń na warstwę słowa, bądź efektów akustycznych — to doprawdy trudno się dziwić, że „masowy" widz tak niechętnie, rzadko wybiera się do kina. Zostaje w domu. A tu sączy się z ekranu telewizyjnego „Shogun" lub „Niewolnica Isaura", a więc znowu „rozrywka" do tego na słabym poziomie i całkowicie oderwana od naszych realiów.

W tym miejscu chciałabym przywołać wypowiedź Andrzeja Wajdy sformułowaną przezeń w PWSFTviT podczas dyskusji po przedpremierowym pokazie jego „Ziemi obiecanej" w 1975 r. Poproszony przez studenta o dramaturgiczne uzasadnienie mocnej sceny wciągnięcia, a następnie wyrzucenia w krwawych strzępach przez maszynę ciała majstra, który zdeprawował córkę robotnika, reżyser odciął się od, sugerowanego przez zadającego pytanie, podążania za światową modą na sceny grozy. Wyjaśnił, że gdy w rzeczywistości nie ma przelewania krwi, gdy panuje spokój, można takie sceny wprowadzać na ekran, widz je „strawi", nie dozna przesytu. Studenci przyjęli to wyjaśnienie z dobrą wiarą i zaufaniem do mądrości mistrza.

Gdyby ówczesną myśl Andrzeja Wajdy odnieść do obecnej sytuacji, nie byłoby wątpliwości, że współczesnego widza nie należy przeciążać ponurymi obrazami, lecz raczej, czy bodaj także, spróbować mu pomóc w jego zmaganiach i dylematach moralnych albo odkrywać te dylematy, pokazać możliwości moralnych wyborów, alternatyw, boć przecież spośród wszystkich aspektów kryzysów aspekty moralne zawsze były i są najtrudniejsze do pokonania.

Wydaje mi się, że twórcy filmu winni sobie mocniej uświadomić, iż film polski coraz mniej uczestniczy nie tylko w problemach intelektualnych, lecz także w moralnych, powszednich borykaniach się człowieka z trudnościami życia, w ich pokonywaniu.

W środowisku twórców obserwuje się nasilenie tendencji do uprawiania kina autorskiego, tzn. do łączenia reżyserii i scenariopisarstwa. Praktyka ta daje dobre efekty wówczas, gdy reżyser jest obdarzony także talentem literackim i ma pewne doświadczenia w tym względzie.

Potwierdzają to osiągnięcia twórcze Filipa Bajona, Juliusza Machulskiego czy Krzysztofa Kieślowskiego. Obserwujemy jednak niemało chybionych artystycznie przykładów eksperymentowania przez pozbawionych uzdolnień pisarskich reżyserów na żywym ciele utworów literackich, swobodnie okrawanych z zasadniczych wątków i myśli, bądź też pisania przez reżyserów oryginalnych scenariuszy. Nie byłoby może w tym zbyt wielkiego problemu, gdyby zjawisko to dotyczyło tylko twórców starszej i średniej generacji, lecz dotyczy ono także młodszych, w tym studentów Szkoły Filmowej.

Oto na wspomnianej naradzie filmowej rektor PWSFTviT, doc. Henryk Kluba w wypowiedzi na temat kina młodych określił debiuty fabularne ostatnich lat mianem kina bezdomnego lub kina na festiwale, oderwanego od naszej rzeczywistości, zrodzonego z inspiracji obca literaturą. Ogólna w tonie wypowiedź Henryka Kluby nie przyniosła głębszej analizy lecz uwypukliła na tyle mocno poruszony problem, że postanowiłam tę krytyczną ocenę skonfrontować z odczuciami studentów. Moi rozmówcy ze Szkoły Filmowej, reprezentatywni niewątpliwie dla pewnej części młodzieży, podzielili w pełni ocenę rektora Kluby. Nie utożsamiają się oni z filozofią tych debiutów ani też z filmami „moralnego niepokoju" z końca lat 70. Pytani o własne zamierzenia, twierdzili studenci, że chcą w przyszłych filmach mówić wyłącznie w swoim imieniu i tylko za siebie mogą przyjąć odpowiedzialność. Scenariusze cudzego pióra, zwłaszcza ludzi innego, starszego od nich pokolenia, nie wzbudzają ich zainteresowania, gdyż nie znajdują w nich odzwierciedlenia własnych diagnoz świata i stawianych mu pytań. Niektórzy, zawiązują już teraz spółki autorskie z umiejącymi analizować rzeczywistość i pisać rówieśnikami z innych uczelni, inni próbują pisać sami. Są i tacy, którzy podsuwają swoje pomysły studentom bądź absolwentom zaocznego studium scenariopisarstwa funkcjonującego przy Szkole Filmowej od 1978/1979 roku. Niektórzy studenci wydziału reżyserii realizują, jak poinformowała mnie opiekunka roku studium scenariopisarstwa mgr Maria Turowska, scenariusze napisane przez owych „zawodowych" scenarzystów. Ci ostatni zasilają też bazę scenariuszową Zespołów Realizatorów Filmowych. Problematyka współczesna dominuje wyraźnie w utworach młodych scenarzystów. Może więc oni stanowią nadzieję polskiego filmu? Na to pytanie będzie można dopiero odpowiedzieć po głębszej analizie efektów kształcenia scenarzystów, a ta nie została jeszcze przeprowadzona.

Dodam, że studium scenariopisarstwa mieści się w Warszawie. Dobrą tego stroną jest łatwość zapewnienia doświadczonych praktyków i teoretyków słuchaczom studium. Jednocześnie, w moim przekonaniu, oddalenie tych dwu części Szkoły od siebie, wydziału operatorskiego i reżyserskiego od studium scenariopisarstwa, utrudnia nawiązywanie kontaktów, „dobieranie się" scenarzystów i reżyserów. W każdym bądź razie część studentów wydziału reżyserii nieufnie podchodzi do ewentualnej współpracy ze scenarzystami kształconymi w Szkole.

Prodziekan wydziału reżyserii, Julian Dziedzina, podniósł w rozmowie ze mną inny problem, który niepokoi. Jest to opieszałość, powolność części studentów w zgłaszaniu pomysłów, scenariuszy, w realizacji filmów powodująca konieczność ciągłego aktywizowania, napominania, ponaglenia. Gorliwość i zapał, towarzyszące staraniom kandydatów w czasie egzminów wstępnych do Szkoły, dziwnie jakoś szybko — tak zrozumiałam — przygasają i więdną. Czasami robi się żal zajętych przez niektórych studentów miejsc w Szkole, piętrzy się, miast przebiegać rytmicznie, praca szkolnego działu produkcji filmowej. Oczywiście są i przykłady studentów wykorzystujących maksymalnie czas studiowania, potrafiących efektywnie odrabiać swoje niedociągnięcia i doskonalić warsztat. Jako przykład takiej postawy moi rozmówcy wskazali mi studenta trzeciego roku Bolesława Pawicę, który, jak sam twierdzi, przyszedł do Szkoły z małej miejscowości, ze skromnym obyciem z filmem i jego historią, ale — jak utrzymują pedagodzy Szkoły — z wielkim bogactwem osobowości i pragnieniem wypowiedzenia się w filmie pełniej niż umożliwiają to poznane przez niego w liceum sztuk plastycznych plastyczne formy twórczości.

Sposób i metody kształcenia przyszłych twórców, oddziaływanie na ich osobowość formalnych i nieformalnych kontaktów z pedagogami Szkoły i wzajemne oddziaływanie na siebie samych studentów przesądzają bowiem, w ostatecznym rachunku, nie tylko o umiejętnościach warsztatowych, lecz także o ugruntowaniu się lub korektach określonych poglądów i postaw studentów, które wyznaczać będą filozofię ich przyszłych filmów. Bo nie jest prawdą, że w kul' 'rowej, filozoficznej warstwie osobowości studenta — człowieka dorosłego — okres studiów niczego już zmienić nie może. Zaprzeczają temu sami studenci.

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA

STRAŻACY I KULTURA

W maju obchodzimy „dni ochrony przeciwpożarowej", a także „Dzień Strażaka". Sądzę, że zasług i dorobku organizacji strażackiej nie sposób przecenić. Przede wszystkim w jej podstawowej działalności — walki z pożarami i zapobiegania im. Ale także w działalności mniej dostrzeganej, niejako ubocznej, niezmiernie jednak ważnej dla środowisk, w jakich straże pożarne działają, w szczególności w małych miejscowościach, w wioskach i miasteczkach: działalności kulturalnej i oświatowej. Mimo bowiem rozwoju placówek kulturalnych, różnych klubów i domów kultury, w wielu jeszcze miejscowościach ośrodkami organizowania życia kulturalnego są straże pożarne. Straże pożarne utrzymują orkiestry, które nie tylko uświetniają swymi występami lokalne uroczystości, ale również rozwijają zainteresowania i zamiłowania muzyczne w środowisku. Straże pożarne ciągle jeszcze — mimo konkurencji, jaką w organizowaniu życia kulturalnego stwarza powszechna już dzisiaj telewizja i kino, organizują amatorski ruch teatralny, organizują zespoły śpiewacze czy regionalne, folklorystyczne zespoły pieśni i tańca. Pokazy i popisy sprawności strażackich przyciągają ciągle wielu widzów, stanowiąc atrakcyjną rozrywkę i zapewniając godziwe spędzenie wolnego czasu.

Ranga stojących przed ochotniczymi strażami pożarnymi zadań i ich rola i znaczenie — także w dziedzinie krzewienia kultury, miały zawsze wysoką ocenę społeczną. Oto zaledwie w sześć miesięcy po odzyskaniu niepodległości przez Polskę po I wojnie światowej, „Odezwą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 10 maja 1919 roku", został opublikowany wzorcowy „Statut Towarzystwa Straży Ogniowej Ochotniczej". Wśród celów i zadań określonych tym statutem, znajdujemy również postanowienia, że Towarzystwu Straży przysługuje prawo:

— utrzymać własną orkiestrę, chóry, bibliotekę i czytelnię,

— urządzać, w celu rozwinięcia życia towarzyskiego i pozyskania środków materialnych — koncerty, zabawy i loterie, przedstawienia, pogadanki, odczyty itp.

Strażackie orkiestry, strażackie zabawy i przedstawienia amatorskich teatrów, nierzadko były przedmiotem niewybrednych i dalekich od kultury kpin i prześmiewek. Myślę jednakże, że ta działalność strażaków nie tylko na kpinki zasługuje. Mają strażacy swój wkład w krzewienie i rozwój kultury i oświaty w społeczeństwie. Mają w tej dziedzinie swój niewątpliwy dorobek.

PIOTR SIKORSKI

REDAKCJA — CZYTELNICY

JAROSŁAW TKACZYŃSKI, Łódź. Być może, że w „Odgłosach" mało piszemy o sporcie, ale o RTS Widzew akurat sporo. Będziemy starali się więc więcej pisać o sporcie, ale nie dlatego, że jakiś klub ma rocznicę, czy inne uroczystości, ale dlatego, że coś się w nim dzieje, że jego zawodnicy odnoszą sukcesy. Nasze mniejsze zainteresowanie się sportem nie bierze się przecież z naszej niechęci, ale z tego, że nie bardzo jest o czym pisać. Nie można przecież w nieskończoność pisać o laniu, jakie biorą na przykład nasi piłkarze.

MIECZYSŁAW CHRZANOWSKI, Gliwice. Proponuje pan, aby teksty drukowane w odcinkach, jak na przykład powieści i fragmenty innych książek, tak drukować, aby Czytelnicy je zbierający, wycinający i składający mogli w przyszłości zrobić sobie z tego książkę. Pomyślimy o tym. Jest to interesująca propozycja. Co sądzą o tym inni?

KRZYSZTOF JAWORSKI, Skierniewice. „Szpilki" zapowiedziały druk nowej powieści Zbigniewa Nienackiego. To prawda. Możemy nawet zdradzić tytuł tej powieści: „Wielki las". Z tego, co wiemy „Szpilki" będą drukowały tylko fragmenty „Wielkiego lasu". Autor całość obiecał „Odgłosom". Gdy powieść będzie gotowa do druku w „Odgłosach", nie omieszkamy o tym powiadomić sympatyków twórczości Zbigniewa Nienackiego.

GOŁO — TO KONIECZNIE PO POLSKU?

Naturyzm, po odrzuceniu „okrągłego" pustosłowia, czyli tzw. ideologii, sprowadza się do praktykowania na golasa niektórych czynności, dotąd wykonywanych w tekstyliach, czyli w ubraniu mniej lub bardziej kompletnym — jak np. gra w palanta. Naturyzm, o ile dobrze go pojmuję, nie obejmuje czynności tradycyjnie już wykonywanych na goło — jak kąpiel parowa czy kopulacja. Ruch naturystyczny ma więc na celu ekspansję golizny na rejony dotąd „tekstylne"; a także gromadne uprawianie golizny, dotąd uprawianej indywidualnie. Naturystą tym samym nie jest golas indywidualny; staje się nim dopiero golas gromadny.

Na goło, zawsze jest wesoło! Niczego bowiem nie da się zamazać i ukryć pod plisami i falbankami a także pod lampasami, pagonami i naramiennikami; niczego zwisającego nie da się podnieść zmyślnymi podpórkami tekstylnymi, niczego brakującego nie da się uzupełnić protezami, poduszeczkami, suspensoriami etc. Nie da się też podnieść splendoru osobistego legitymacjami i orderami. Tylko jako naga — prawda staje się prawdą. Tylko na nago możliwa jest wolność, równość i braterstwo — ponieważ tylko nagość odsłania rzeczywiste różnice pomiędzy ludźmi, różnice naturalne, a zależne wyłącznie od genów oraz od wieku, zupełnie zaś niezależne od „zasług" społecznych.

Sympatyzuję więc, tym samym, w całej pełni i rozciągłości, z *„aktywem naturystycznym"*, który zebrawszy się *„w Łodzi, w dniu 13 kwietnia* (oj, jaka feralna data — dopisek J.) *1985 r. tworzy grupę inicjatywną, mającą na celu..."*. Właśnie, co ma na celu ta grupa inicjatywna? Ma ona *„na celu powołanie Polskiego Towarzystwa Naturystycznego"* (Odgłosy" nr 18/85 tj. nr 1414 w ogóle).

I tu nachodzą mnie wątpliwości, praktyczne oraz ideologiczne. Rozumiem, że nie tylko można, ale i trzeba „wieszać psy" na swoim X-dziesięcioletnim, a dotychczasowym leaderze: panu S.M. (Grupa inicjatywna nie waha się użyć pełnego brzmienia imienia i nazwiska leadera, w stosunku do którego podnosi rokosz: jest to ni mniej ni więcej tylko Sylwester Marczak: kiedyś student UŁ. Nie pojmuję jednak, dlaczego *„grupa inicjatywna"* bez najmniejszej inicjatywy, tj. pomyślunku własnego, przyjmuje nazwę Towarzystwa w brzmieniu, zaproponowanym przed dziesięcioleciami przez odsądzanego dziś od czci i wiary starego leadera, obywatela S. M.. Czyżby odsłonięcie pośladków i przydatków nieuchronnie wiązało się z zapuszczeniem firanek, falbanek etc. na myślenie, w miarę oryginalne? Czyżby naturyzm skłonny był oddawać cześć tekstylności ubraniowej i obyczajowej, a także biurokratycznej?

Zupełnie zaś nie pojmuję, dlaczego *„Towarzystwo Naturystyczne"* ma być „Polskie". Chyba po to odrzuca się tekstylia (przyjmijmy, iż mamy klimat sprzyjający temu), aby zanikły różnice nienaturalne tj. „tekstylne" między ludźmi, na rzecz wyeksponowania różnic naturalnych? Chyba po to odrzuca się tekstylia i tekstylność, by wraz z nimi odrzucone zostały wszelkie różnice, narzucane przez „systemy wartości społecznych" oraz granice i położenie geograficzne — miejsc, w których urodzili się i żyją nagusi? Wszak nagi Polak i Polka wygląda zupełnie tak samo jak nagi Anglik i Angielka, także Szwed i Szwedka, a nawet Amerykanin i Amerykanka. Naturyzm — to powrót. Do natury, a także do jaskini. Naturyzm, to próba charakteru: świecenia gołym tyłkiem wbrew deszczom i temperaturom poniżej zera. Naturyzm to powrót do Natury (jeśli wierzyć deklaracjom ideologicznym, wielce okrągłym). Natura zaś gołego Polaka stworzyła zupełnie tak samo, jak stworzyła gołego Francuza; więcej, jeżeli pominiemy barwę skóry, to Natura gołego Polaka stworzyła zupełnie podobnie jak gołego Japończyka, Maorysa, Aborygena, Murzyna, Indianina etc. Ewentualne różnice są wyłącznie ilościowe, nigdy jakościowe: tj. na goło coś może być dłuższe lub krótsze, chudsze tub tłustsze, sterczące lub zwisające mniej lub bardziej — ale zawsze to „coś" jest, i to na swoim miejscu.

W świetle wszystkiego wyłuszczonego powyżej, a naturalnego — dlaczego nazwą przeczyć rzeczywistości? Skoro teoretycznie oraz ideologicznie golas golasowi równy (powiedzmy, że równy), przy czym nie ma fizycznej możliwości (bezbolesnej — bo godząc się na ból, można byłoby kolczykować!) i możności przypięcia golasowi etykietki, iż jest „polski" — to dlaczego *„Towarzystwo"* ma być *„Polskie"*?. Wszak chyba o to chodzi, by Naturyści tworzyli jedną naturalną a wielką Rodzinę, wolną od przesądów tekstylnych i wszelakich różnic narzucanych przez tekstylność, tj. przez cywilizację — a manifestowanych właśnie przez cywilizację, i narzucane przez nią fraki, korony, muszki, krawaty i ordery.

Proponuję, by Naturyści pod postacią *„grupy inicjatywnej"* zebranej w mieście Łodzi, 13 kwietnia 1985 r. — rejestrowali się jako pozbawieni kompleksów (wszelakich) naturyści Europy (wyłącznie biali, z wykluczeniem rudych Irlandczyków?), naturyści północnej półkuli (lepiej będzie brzmieć: Naturists of the North Haemisphere!), (biali, żółci, czerwoni i czarni?), względnie jako naturyści Świata („Naturists of the World"!), a nawet Wszechświata...

Popieram ideę zarejestrowania przed Sądem PRL Towarzystwa Naturystycznego, skoro rejestracja jest naturystom potrzebna do szczęścia. Choć ciekawy jestem, gdzie będą nosić legitymacje przynależności; i czy w tych legitymacjach będą zdjęcia osobiste typu tradycyjnego, tj. tekstylnego, czy też — zgodnie z logiką i konsekwencją — pójdą te zdjęcia „na całość", eksponując całość? Protestuję jednak wobec pomysłu rejestrowania *„Towarzystwa"* pod nazwą *„Polskiego"*. Przewiduję bowiem reperkusje polityczne, a więc całkiem tekstylne: i już widzę te dworowania na kanwie polskości i golizny.

Niechaj się więc Naturyści rejestrują przed tekstylnymi sądami PRL; byleby zrezygnowali z ciągot osłaniania się tekstylną flagą biało-czerwoną.

JAMNIK

EDWARD PAŁCZYŃSKI

Był w Łodzi taki teatr

Wyjechaliśmy z Lublina do Łodzi na początku marca 1945 roku. Siedzieliśmy na tobołach i kufrach. Było nas kilku żołnierzy z plutonu pomocniczego Teatru Wojska Polskiego. Uprzednio prawie cały zespół teatralny wyruszył w ślad za styczniową ofensywą poprzez Kraków i Katowice do Łodzi.

TO JEST ŁÓDŹ

Mówiłem do kolegów.

— Patrzcie i podziwiajcie. To jest dopiero miasto! Przy nim Lublin to osada.

Z Cegielnianej (dziś ul. Stefana Jaracza) skręciliśmy w Kilińskiego. Wozy ledwie przecisnęły się przez bramę Teatru Miejskiego.

Żołnierska nazwa naszego teatru powstała na zasadzie awansu. Nad Oką był to teatr dywizyjny, później korpuśny, armijny, wreszcie w Lublinie mianowano go teatrem całego wojska.

Pełne ręce roboty mieli dwaj kwatermistrze Tadeusz Samuś i Tadeusz Miduch. Zakwaterowanie kilkudziesięciu ludzi było pracą niełatwą. Oficerem zaopatrzeniowym był chorąży Henryk Szlachet. Była to arcyciekawa figura. Mundur wisiał na nim jak na kołku. Mówił swoistym dialektem polsko-żydowsko-rosyjsko-niemieckim. Przekręcał słowa i ich znaczenie. Ceniony był, gdyż każdą brakującą rzecz wynalazł, kupił, wycyganił.

W kamienicy naprzeciw teatru ulokowano biuro dyrekcji z majorem Władysławem Krasnowieckim na czele i dyrektorem administracyjnym Mellerem. W sekretariacie królowała panna Danusia. W tymże domu i w stojącym obok zamieszkało kilku aktorów. Władysław Krasnowiecki z żoną Ireną mieli mieszkanie przy zbiegu Wschodniej i Cegielnianej.

Dostałem kwaterę sublokatorską przy ulicy POW (ul. Armii Ludowej). Mieszkało tam małżeństwo z synkiem. Przybyli ze spalonej Warszawy. Pan domu był fotografem i w wolnych chwilach przynosił ze złomowiska pozornie nieużyteczne żelastwo. W krótkim czasie ku mojemu zdumieniu urządził z tego złomu laboratorium fotograficzne.

W gospodarstwie teatralnym panował wielki rozgardiasz. Na scenie i na zapleczu uwijali się cieśle, stolarze, ślusarze, malarze i elektrycy. Kilku fachowców przyjechało z Lublina. Resztę zastaliśmy na miejscu. Byli to zdolni i pracowici ludzie.

„OD OKI DO WISŁY"

Zespół teatralny udzielał się na innych scenach. Pamiętam spektakl w sali widowiskowej przy Ogrodowej, naprzeciw fabryki Poznańskiego (ZPP, im. Juliana Marchlewskiego). Widownia teatralna podparta licznymi, żelaznymi kolumienkami była wypełniona po brzegi robotniczą publicznością. Dawaliśmy popularną na wojennej trasie teatru składankę pt. *„Od Oki do Wisły"*. Zespół występował na tle biało-czerwonego łuku tęczy, symbolizującej nadzieję na zwycięstwo. Spektakl składał się z historycznych i współczesnych scenek żołnierskich, przetykanych poezją i piosenką.

Była więc scenka, w której nieduża, ładna blondynka Ryszarda Hanin w narzuconej na mundur sukmanie, naciskała palcem na swój nosek, aby stał się zadarty i upodobnił się do nosa Naczelnika Kościuszki. W innej scenie Kazimierz Wichniarz w czapce kucharskiej na głowie gonił żołnierzy po scenie wywijając drewnianą warząchwią.

To przedstawienie było moim chrztem aktorskim. Zaledwie po jednej próbie zdecydowano, że mam wystąpić. Czułem się jak facet, któremu w paru słowach objaśniono jak się pływa, a potem rzucono na głęboką wodę. Gdy Jarosław Skulski z marsową miną przechodził wzdłuż szeregu i celował we mnie palcem, niezdarnie padałem do tyłu, myśląc błyskawicznie co będzie, jeżeli Czesław Wołłejko i Jan Świderski nie zdążą złapać mnie na ręce. Gdy maszerowałem w takt rytmicznej piosenki, patrzyłem na nogi, aby nie nadepnąć Kazimierzowi Szubce na pięty i z kolei uciec przed butami Juliusza Przybylskiego. Najlepiej wypadłem, czyli najmniej fałszowałem, śpiewając, co potwierdzały zgodnie Irena Krasnowiecka, Halina Czengery, Halina Billing, Maria Chodecka i Sabina Chromińska.

TO BYŁO „WESELE"

22 marca 1945 roku premiera „Wesela". Przed teatr i pełno terenowych samochodów. Pośród tłumu cywilów ubranych świątecznie, czyli w to, co kto miał najlepszego, dużo wojskowych, przeważnie wysokich rang. Pośród nich mundury radzieckie. Widownia rzęsiście oświetlona. Wielki, kryształowy żyrandol, zwieszający się z sufitu, płonie tysiącami odbitych świateł. Siedzący pod nim widzowie z obawą spoglądają w górę. Wielu z nich jest pierwszy raz w teatrze i ta masa szkła wisząca nad głowami niepokoi ich.

Gong. Gasną światła na widowni. Kurtyna idzie w górę. Niewidoczna od strony widowni orkiestra kapelmistrza Weimana gra krakowiaczka. Scena przedstawia dużą izbę w starym polskim dworze. Kazimierz Wichniarz jako zawadiacki Czepiec rozpoczyna dialog z Józefem Maliszewskim, grającym dziennikarza.

„Cóż tam panie w polityce?
Chińczyki trzymają się mocno?!"

Już po kilku następnych scenach odczułem, iż czar *„Wesela"* zaczyna oddziaływać na widzów.

Oto Ryszarda Hanin jako Panna Młoda. Cała we wstęgach, koralach i wianku na głowie. Mikołaj Mickiewicz jako Wojtek w rzewnym, melodyjnym zaśpiewie:

Pójdze Maryś po niewoli
na mój jeden zagon roli.

Piękna, egzaltowana Rachel, pełna poetyckich uniesień to Halina Kossobudzka. Seweryna Butryma ledwie mogę poznać w dziadowskim przebraniu i w charakteryzacji. Urocza Isia w dialogu z Chochołem czyli Sabinka Chromińska. Nieco wystraszona, a jednocześnie bojowa. Słyszę jak woła:

A, słomiany nygusie
wynocha, paralusie!

Dreszcz przechodził przez widownię, gdy zakuty w zbroję czarny rycerz Juliusz Przybylski podawał dłoń niezapomnianemu poecie Janowi Kreczmarowi. Albo, gdy zjawiał się siwy, potężny, pełen majestatu Wernyhora. Zawsze podejrzewałem, że to postać prawdziwa, a nie Marian Nowicki.

Patrzyłem, jak widzowie chłoną proste, poetyckie słowo, widok białych krakowskich sukman z czerwonymi wyłogami, rozmigotanie świateł imitujących roztańczony tłum w sąsiedniej izbie i tę niby monotonną, ale sugestywną aż do bólu, muzykę, złożoną z niewielu taktów paru ludowych krakowiaków, buchających forte z otwartych drzwi i przechodzących w piano przy drzwiach zamkniętych. I wreszcie ten słynny taniec wielkiej polskiej niemożności.

Z tą sztuką łączy się historia mego debiutu poetyckiego. Oto w grudniu 1944 roku w czasopiśmie *„Wici"* ujrzałem mój pierwszy wydrukowany wiersz *„Chłopski złoty róg"*.

„Wesele" podbiło Łódź. Ludzie walili do nas drzwiami i oknami. Teatr Wojska Polskiego stał się na kilka lat pierwszą łódzką sceną. Ba, nie tylko łódzką — polską! Tak wspaniałego zespołu nie będzie długo w żadnym teatrze. Nie było tygodnia, aby jakiś wymizerowany aktor w podszytym wiatrem paltocie, albo w żołnierskim płaszczu, nie zjawił się z wędrówki wojennej witany przez kolegów z otwartymi ramionami.

AKTORZY I ŻOŁNIERZE

Byli u nas między innymi: Elżbieta Barszczewska, Andrzej Bogucki, Seweryna Broniszówna, Stanisław Bryliński, Wojciech Brydziński, Stanisław Daczyński, Dobiesław Damięcki, Irena Górska, Janina Godlewska, Józef Klejder, Edward Kowalczyk, Janusz Kozłowski, Włodzimierz Kwaskowski, Justyna Karpińska, Henryk Modrzewski, Janina Romanówna, Kazimierz Rudzki, Juliusz Osterwa, Aleksander Węgierko, Władysław Shebal, Kazimierz Szubka, Irena Horecka, Zofia Małynicz, Stefan Środka, Leon Schiller i wielu wielu innych. Niektórzy zostawali w TWP, inni szli do skonfederowanego z nami Teatru Powszechnego, jeszcze inni do uśmiechniętej od ucha do ucha *„Syreny"* albo do *„Gongu"*, czy też do Teatru Żołnierza grającego różne składanki, a później przekształconego w Teatr Kameralny, dający doskonałe przedstawienia w małej obsadzie, wreszcie do *„Lutni"*, jedynego teatru muzycznego, który zasłynie z pięknych melodii operetkowych i bogatej scenografii.

Kilkunastu żołnierzy i podoficerów z plutonu pomocniczego w TWP nie miało wiele do roboty. Obowiązkowe były warty przy bramie wejściowej, służba za kulisami podczas przedstawienia, dyżury w sekretariacie, załatwianie różnych spraw w mieście oraz, dokąd trwała wojna, przenoszenie codziennie z Komendy Miasta sekretnego hasła obowiązującego podczas godzin nocnych. Bez takiego hasła niezbyt bezpiecznie było poruszać się po ulicach w nocy.

Stojąc na warcie patrzyłem na aktorów, jak wchodzą przez bramę teatru na przedpołudniową próbę czy na obiad do stołówki, albo na wieczorne przedstawienie. Niby ci sami co na scenie, a jednak inni — bez maskującej szminki. Ubrani w oficerskie płaszcze i mundury, przepasane koalicyjką. Głowy mieli nakryte furażerkami albo polowymi rogatywkami. Jedynie buty nie u wszystkich były eleganckie. Trafiały się zwykłe, żołnierskie z brezentowymi cholewkami.

Oto idzie wolnym krokiem dyrektor teatru, niedawno awansowany na podpułkownika Władysław Krasnowiecki. Był to wysoki, dość tęgi mężczyzna, nieco pochylony, jakby od dźwigania jakiegoś ciężaru. Ręce miał najczęściej opuszczone z dłońmi nałożonymi jedna na drugą. Czy szedł, czy stał była to jego typowa postawa. Wzbudzał respekt już swoją masywną budową. Spojrzenie miał dociekliwe, ale nie było w nim nic groźnego. Akcent kresowy, głos niski o ładnej barwie — baryton. Był pierwszym komentatorem kroniki filmowej. Jeszcze dziś słyszę w jego wykonaniu fragment Tetmajerowskiego wiersza, który mi się podobał.

Jak potopu świata fale
niezmącone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu...

W *„Weselu"* Krasnowiecki grał Gospodarza. Jest to trudna rola. Inteligent i szlachcic, z wyboru ubrany w sukmanę, przyjmuje w swym dworze na weselu różnorodnych gości-artystów, panów, chłopów, Żydów. Krasnowiecki zagrał tę rolę wspaniale. Był pełen godności i ciepła, serdeczności i otwartego gestu.

Drugą piękną postać zagrał, gdy teatr wystawił *„Fantazego"* Juliusza Słowackiego. Oczywiście jeszcze przed obsadą ról wiadomo było, że rolę majora może zagrać tylko Krasnowiecki. Zagrał doskonale. Gdy szlachetny major umierał na scenie, widzowie mieli łzy w oczach.

Pamiętam, jak w listopadzie 1944 roku zjawiłem się u niego w gabinecie z nieoczekiwaną wiadomością i propozycją. Oto przyjechałem do Lublina, aby wstąpić na ochotnika do wojska. Chciałbym w przyszłości zostać aktorem i dlatego proszę o zmobilizowanie mnie do jednostki teatralnej. Major o dziwo potraktował moją prośbę poważnie, w dalszej rozmowie opowiedziałem mu o moich rólkach w teatrzyku amatorskim.

Powiedział: — *Zgoda. Przyjmuję pana. Warunki na aktora pan ma. Może w przyszłości coś z pana będzie. Na razie przydzielę pana do plutonu pomocniczego, a potem zobaczymy.*

Drugim w hierarchii służbowej po Krasnowieckim był kapitan Jan Kreczmar. Wspaniały aktor o nieskazitelnej dykcji. Miał jedno oko sztuczne. Gdy patrzyłem na jego twarz, wzbudzało ono mój niepokój, ale na scenie nie była to wada widoczna. W *„Fantazym"* zagrał finezyjnie tytułową rolę. W *„Weselu"* był Poetą — na zmianę z Marianem Wyrzykowskim.

Aktorem, który fascynował publiczność był Jacek Woszczerowicz. Nieduży, czarniawy, mizernej budowy, o oczach ciemnych, przenikliwych, w płaszczu za długim i za obszernym, wyglądał na żołnierską ofermę. Ale za to na scenie był niepowtarzalny! Widzę go jak w czerwonej, błazeńskiej czapce z dzwoneczkami i kaduceuszem w ręku porusza się w weselnej izbie z energią, o jaką nikt by go nie podejrzewał i swym chrypliwym głosem wymyśla przeciw złu i głupocie.

Wielką kreację stworzył w *„Dożywociu"* Aleksandra Fredry, grając pechowego lichwiarza Łatkę. Jego dialogi z Maksymilianem Chmielarczykiem, który wcielił się idealnie w kutwę Twardosza, były perłami gry aktorskiej. Podobnie jak sceny z Czesławem Wołłejką-Filipkiem.

Jacek Woszczerowicz pracował długo nad każdą rolą. Powtarzał słowa i gesty, cyzelował je. W *„Dożywociu"* jest słynne spadanie Łatki po schodach umieszczonych obok orkiestry. Aby spotęgować efekt upadku, kilku ludzi siedzących w przejściu pod sceną robiło wielki hałas, uderzając w drewno i potrząsając, woreczkami ze szkłem i żelastwem. Po chwili Łatka, po tych samych schodach, gramolił się spod sceny z powrotem na górę. Zawsze były to wielkie brawa. Ale i zdrowia kosztowała Woszczerowicza ta ekwilibrystyka! Swoje chuchrowate ciało miał obolałe, gdyż na próbach spadał kilkakrotnie.

W *„Dożywociu"* jest scena, gdy Orgon z córką przybywają do oberży a służba wnosi ich bagaże. Byłem jednym ze służących. Ucharakteryzowano mnie na starego jegomościa. Miałem zmarszczki, wąsy i bokobrody! Kiedyś w swojej karierze położyłem się po południu na kanapie i zasnąłem. Obudziłem się na piętnaście minut przed wejściem na scenę. Boże! Jak ja wtedy pędziłem przez Cegielnianą. W garderobie zdążyłem wdziać na siebie strój, ale nie miałem czasu na charakteryzację. Zadyszany, złapałem za dwa toboły i wraz z grupką statystów wypadłem na scenę. Spojrzawszy na mnie Irena Bierenin, grająca Różę, aby się nie roześmiać, zagryzła wargi, a Orgon czyli Józef Klejer poszturchując służbę zaniemówił z oburzenia i przyłoił mi solidnie kijem.

Oprócz Jacka Woszczerowicza w teatrze było kilku aktorów, którzy powtarzali z uporem każdy gest, doprowadzając go do perfekcji. Nieco zdumiony patrzyłem na przykład na Aleksandra Maliszewskiego grającego w *„Dożywociu"* Moliera doktora Hugo. Świetny aktor o nieskazitelnej dykcji, jak maniak ćwiczył siadanie na krześle z jednoczesnym odrzuceniem pół surduta i założeniem nogi na nogę. Zdumienie moje przeszło w przerażenie, gdy to samo zaczął ćwiczyć ...bez krzesła!

Aktorowi, któremu gra przychodziła bez trudu był Czesław Wołłejko. Rolę uczył się jakby od niechcenia. Gra sprawiała mu radość. W Łodzi był dopiero u progu swojej kariery, lecz widać było, że to młodzian wielce utalentowany. Lubiłem jego styl gry i skłonność do żartów. W *„Dożywociu"* na zakończenie aktorzy ustawili się w dekoracji wzdłuż schodów wiodących na piętro oberży. Na szczycie tej aktorskiej piramidy stał Wołłejko z butelką w ręku. Pewnego dnia, kiedy kurtyna opadła, dla kawału wylał wodę z butelki na głowę Janowi Swiderskiemu, który grał Birbanckiego. Ten nie mógł zareagować, gdyż za chwilę kurtyna uniosła się w górę na bis. Zmoczony Jan kłaniał się publiczności razem ze wszystkimi, robiąc tak zwaną dobrą minę. Dopiero, gdy kurtyna znieruchomiała na dobre, wśród ogólnego śmiechu, z okrzykiem: — *Zamorduję!* — pogonił za żartownisiem.

Czesław Wołłejko mnie także starał się wypłatać psikusa. Statystowałem wtedy w *„Świętoszku"*. Byłem za lokaja. Ubrany w czarne lakiery z błyszczącymi sprzączkami, białe pończochy i rękawiczki, atłasowy strój, wytworną upudrowaną perukę stałem w rogu salonu z zapalonym kandelabrem w rękach, zachowując dostojność i powagę. Jak mi mówiła moja ówczesna sympatia, siedząca na widowni, prezentowałem się znakomicie.

W scenie finałowej tańczono menueta. Jedną parę tworzyli — smagła brunetka Halina Czengery, grająca Mariannę i jej ukochany Walery — Czesław Wołłejko. Są w tańcu momenty, gdy tancerz jest odwrócony tyłem do widowni. Wtedy to przez kilka sekund pan Czesław robił wykrzywione miny, starając się mnie rozśmieszyć. Po czym odwracał się, jak gdyby nigdy nic, celebrując z wdziękiem taneczne figury. Kiedy znów obrócił się do mnie twarzą, marszczył okrutnie czoło, łypał oczami i szczerzył zęby. Oczywiście krztusiłem się ze śmiechu. Moją roześmianą gębę zasłaniałem nieco świecznikiem, ale to mało pomogło.

CZY STARY KOŃ MOŻE SIĘ ZGORSZYĆ?

„Świętoszka" reżyserował starszy, znakomity aktor i reżyser Aleksander Zelwerowicz. Kiedyś w rozmowie z nim wyznałem, że piszę wiersze, i że mam cały brulion mojej poezji wojennej. Zaciekawił się. Chciał je przeczytać. Więc ja mówię, iż jest tam kilka utworów niecenzuralnych.

— *Nie szkodzi* — odpowiedział. — *Nawet najwięksi poeci pisali różne sprośności. Czy uważasz młodzieńcze, że taki stary koń jak ja zgorszy się?*

Po jakimś czasie pan Aleksander oddał mi rękopis. Pochwalił i zachęcił do dalszego pisania, a jednocześnie wyznał, że podkreślił mi ołówkiem nieco błędów gramatycznych i stylistycznych.

W roli Damisa w *„Świętoszku"* wystąpił młody, przystojny aktor o przyjemnie brzmiącym głosie — Andrzej Łapicki. Oficerem w *„Świętoszku"* był Jarosław Skulski. Przez chłopców z naszego plutonu najbardziej lubiany aktor. Wysoki, szczupły o ciemnych włosach i ostro zarysowanej twarzy miał najbardziej oficerską sylwetkę ze wszystkich aktorów TWP. Potrafił po kumplowsku pogadać z żołnierzami. Gdy przechodził przez bramę dostępował zaszczytu, iż wartownik prezentował broń, podobnie jak przed Władysławem Krasnowieckim, choć w obu tych przypadkach nie było to objęte regulaminem.

W *„Świętoszku"* dobrą rolą błysnął znany z przedwojennych komedii filmowych Władysław Grabowski. Jego postać, głos i gest tchnęły zawsze komicznym ciepłem. Kiedy w kwietniu 1946 roku Teatr Wojska Polskiego wystawił *„Zemstę"* Aleksandra Fredry, Grabowski zagrał kapitalnie rolę Dyndalskiego. Wyprawiono mu wtedy jubileusz 45-lecia pracy aktorskiej. Było dużo kwiatów i gratulacji. Wystawienie *„Zemsty"* stało się wydarzeniem. Postacie Cześnika i Rejenta kreowali królowie sceny polskiej — Jerzy Leszczyński i Józef Węgrzyn!!!

W ciągu roku Teatr Wojska Polskiego wystawił kilka ważnych przedstawień. Pomiędzy nimi była głośna na całą Polskę *„Elektra"* Eurypidesa w reżyserii Wiercińskiego.

Edward Pałczyński stoi w pierwszym rzędzie drugi z lewej

(22)

„W imieniu Boga" — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Było to tło, na jakim kardynał Confalonieri kierował pierwszym posiedzeniem kongregacji kardynałów, gremium, które po śmierci papieża zarządza sprawami Kościoła do wyboru następcy. W skład tego gremium wchodzą automatycznie wszyscy kardynałowie, to znaczy ci, którzy w danym czasie przebywają w Rzymie. Kiedy w sobotę, 30 września o godzinie 11.00 przed południem odbyło się pierwsze posiedzenie, obecna była naturalnie tylko mniejszość kardynałów, 29 spośród 127, jacy byli wówczas na całym świecie, przy czym większość obecnych, co jest również oczywiste, była Włochami. Ta mniejszość podjęła teraz wiele decyzji. Postanowiono, że pogrzeb Albino Lucianiego odbędzie się w najbliższą środę, 4 października.

Do tego czasu funkcjonariuszy watykańskich oczekiwało jeszcze wiele zmartwień, wynikających przede wszystkim z niesłychanego naporu mas ludzkich na to, by na własne oczy zobaczyć ciało Jana Pawła I. W Watykanie liczono się z podobnym stopniem zainteresowania opinii publicznej, jak po zgonie papieża Pawła VI — jest to kolejny przykład tego, jak niezdolna była Kuria do oceny oddziaływania Lucianiego na ludzi. Kardynałowie postanowili wystawić zmarłego wieczorem w Bazylice św. Piotra. Obie najważniejsze decyzje, jakie zapadły tego przedpołudnia, oznaczały jednak, że konklawe ma rozpocząć się w najwcześniejszym z możliwych terminów, 14 października, i że nie będzie żadnej autopsji.

Oddalono wątpliwości i zastrzeżenia związane z nagłą śmiercią Albino Lucianiego ze strony takich ludzi, jak Benelli, Felici i Capri, a Villot i jego przyjaciele, którzy dobrze wiedzieli, że kontrowersje będą się zaostrzały, dopóki inne rzeczy nie przyciągną zainteresowania opinii publicznej, postawili teraz na kalkulację stanowiącą odwrotność tego, co miało miejsce w sierpniu. O ile wówczas ustalili termin konklawe w bez mała najpóźniejszym z możliwych terminów, to obecnie zdecydowali się na termin najwcześniejszy. Pod względem taktycznym było to rozsądne.

Po pogrzebie ludzie zastanawialiby się, kto mógłby być następcą Lucianiego. Członkowie Kurii mieliby więc podstawy sądzić, że jeżeli udało im się zapanować nad wszystkim przez tych kilka dni do pogrzebu, to i później nic już nie wybuchnie. Gdyby temu lub owemu z przybywających do Rzymu kardynałów wpadło do głowy domagać się autopsji, to musieliby polemizować z podjętą już, odmienną uchwałą kongregacji. Obalenie takiej uchwały w krótkim czasie dzielącym od pogrzebu było praktycznie niemożliwe. „Poznacie prawdę i prawda ta uczyni was wolnymi" — mówi Biblia — życzliwe proroctwo, które 29 kardynałów Kościoła katolickiego sprowadziło przed południem, 30 września 1978 r. ad absurdum.

Po otwarciu posiedzenia kardynał Confalonieri przedstawił swój osobisty pogląd na przyczyny nagłego zgonu papieża:

„Nie mógł znieść samotności; wszyscy papieże żyją w swego rodzaju zinstytucjonalizowanej samotności, ale On, żyjący zawsze wśród ludzi, znalazł się nagle w towarzystwie zredukowanym do dwóch sekretarzy, których nie znał, i dwóch zakonnic, które w obecności papieża nie odważyły się nawet podnieść głów. Nie miał też czasu na pozyskanie przyjaciół.

Ojciec Diego Lorenzi od ponad dwóch lat był bliskim współpracownikiem i towarzyszem Lucianiego. Siostra Vincenza pracowała dla niego prawie 20 lat. Daleka od tego, by w jego obecności spuszczać wzrok na podłogę, była dla Lucianiego stale źródłem pociechy. Jako papież Luciani z pewnością był odcięty od wielu kontaktów, ale kto z jego otoczenia zauważył jakiekolwiek oznaki tego, iż go to nadmiernie martwiło — nawet do tego stopnia, że z tego powodu przestało pracować serce? Nie ma wątpliwości, że dokuczyły mu wrogość i arogancja, jakie w ciągu 33 dni pontyfikatu okazywała mu Kuria; jednak również w Wenecji Albino Luciani przez prawie 10 lat walczył przeciw wrogości i arogancji Kurii.

W sobotę, 30 września o godzinie 18.00 zabalsamowane ciało przeniesiono w otwartej trumnie do Bazyliki św. Piotra. Na ekranach telewizorów miliony ludzi na całym świecie obserwowały jak prowadzona przez 24 kardynałów oraz 100 biskupów i arcybiskupów procesja poruszała się przez kolejne sale i korytarze na plac św. Piotra. Gdy się tam ukazała, dostojny, monotonny śpiew został nagle zagłuszony ową tak typową włoską, spontaniczną demonstracją uczuć: ze stłoczonych mas ludzkich podniosła się hucząca, długotrwała burza oklasków.

Dobrze i źle poinformowani urabiacze opinii publicznej na całym świecie prześcigali się w ocenianiu życia i śmierci Albino Lucianiego. Wiele z tego, co napisano i wydrukowano, więcej mówiło o samych autorach, niż o Janie Pawle I. Jak się okazało, spełniły się oczekiwania Kurii, że ogólne zainteresowanie szybko przeniesie się ze spraw związanych ze śmiercią byłego papieża na sprawy związane z jego następcą. W Anglii THE TIMES w artykule zatytułowanym „Rok trzech papieży" zakończył rozdział Lucianiego skłaniającym do zadumy rozważaniem na temat przemijalności wszelkiego życia.

Niektórzy obserwatorzy mówili przenikliwie o wielkiej, niespełnionej obietnicy, inni powierzchowni, o nadziei na radosny pontyfikat, którą teraz trzeba pogrzebać. Jeśli chodziło o badanie przyczyn tak nieoczekiwanej śmierci Albino Lucianiego, to prowadzona przez Kurię Rzymską kampania dezinformacji okazała się w sposób zasługujący na uwagę owocna. Jeden komentator za drugim wskazywał na wiele chorób, które przeszedł Luciani. Fakt, że do takich zdań, jak: „Dopiero teraz opinia publiczna zwraca uwagę na to, że kardynał Luciani miał za sobą długą listę zagrażających życiu chorób", zdobył się tak doświadczony dziennikarz, jak Patrick O'Donovan z THE OBSERVERA dowodzi tylko, jak przekonywająco oddziaływały kłamstwa Watykanu.

Nie wyjaśniono szczegółowo, jakie były choroby. Jest oczywiste, że O'Donovan i jego koledzy po piórze w obliczu ciągłego nacisku terminów, pod jakim się znaleźli, nie mieli czasu na podjęcie własnych dociekań i zamiast tego zdali się na informacje z Watykanu. Tak więc w niektórych pismach można było przeczytać, że Luciani był nałogowym palaczem, że miał już tylko jedno płuco, że wielokrotnie leczono go na ostrą gruźlicę. Po jego śmierci inni, którzy o to pytali, uzyskali z Watykanu informację, że Luciani przeszedł cztery ataki serca i cierpiał na zapalenie żył, bolesne schorzenie układu krążenia. Jeszcze inni wspominali, że miał rozedmę płuc, schorzenie występujące najczęściej u nałogowych palaczy. W tym wszystkim nie było ani słowa prawdy.

Te skrzętnie rozpowszechniane przez Watykan kłamstwa w istocie same sprowadziły się do ad absurdum. Czyżby 111 kardynałów, którzy w sierpniu 1978 r. zebrali się w Rzymie, wybrało tego człowieka naznaczonego wszystkimi wymienionymi, poważnymi chorobami? Czyżby zostawili go potem samego ze wszystkimi problemami bez jakiejkolwiek opieki lekarskiej?

Aparat dezinformacyjny Watykanu nie ograniczał się tylko do rozpowszechniania w świecie kłamstw o stanie zdrowia Lucianiego. Niedostrzegalnymi kanałami rozpowszechniano także opinię, że Jan Paweł I i tak nie był dobrym papieżem. Dlaczego więc opłakiwać wzorzec bez wartości? O tej brzydkiej historii rozmawiałem z kardynałem Benellim, który powiedział na ten temat:

„Według mnie chcą oni (to znaczy członkowie Kurii Rzymskiej) osiągnąć podwójny cel: poprzez ukazanie Lucianiego w możliwie najgorszym świetle przytłumić ból z powodu jego straty, a przez to także żądanie dokonania autopsji. Po wtóre Kuria przygotowywała się do następnego konklawe. Chciano, by tym razem wybrany został człowiek Kurii".

W dniu, w którym Jan Paweł I spożywał obiad ze swoją bratanicą, Pią, jednym z tematów ich rozmowy była możliwość manipulowania przez prasę informacjami i ludźmi. Teraz zmarły papież sam znalazł się w centrum takiej skrajnie manipulowanej sprawozdawczości. Suflerzy takich dewaluujących go ocen siedzieli głównie w Watykanie; byli to jacyś mało ważni księża i monsignorowie, którzy normalnie zajmowali się przygotowywaniem nieistotnych memoriałów dla biurokracji kościelnej. Ich dumie schlebiało to, że dziennikarze pytali o ich opinię na temat zmarłego papieża. To, że żaden z nich nie słyszał tętna władzy lub nie widział od wewnątrz prywatnych apartamentów papieskich, przykrywano wieloznaczącą formą: „Jak można się było dziś dowiedzieć z dobrze poinformowanych kół w Watykanie..." Wszystko, co napisano przy powołaniu się na takie źródła zsumowało się w prawdziwą kampanię oszczerstw przeciw zmarłemu papieżowi. Wielu z tych, którzy przed konklawe nie zwracali uwagi na Lucianiego, skwapliwie włączyło się do tej kampanii, z której można było przecież wyciągnąć wniosek, że to nie oni popełnili błąd i dokonali błędnej oceny, lecz 99 kardynałów, którzy wybrali Lucianiego (...).

Znaczna część prasy światowej pławiła się w opisywaniu watykańskiego rytuału u łoża zmarłego. Kardynał Villot, jak można było przeczytać w wielu gazetach, zbliżył się do leżącego bez życia Lucianiego i trzykrotnie zawołał: „Albino, czy jesteś martwy?". Za każdym razem po tym pytaniu symbolicznie uderzał małym, srebrnym młotkiem w czoło papieża. Dramatyczny był także opis momentu, w którym Villot rzekomo zdjął zmarłemu Lucianiemu z palca pierścień Piotra, by rozbić go potem na części.

W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca u łoża zmarłego Albino Lucianiego. Ani nie wołano go, ani też nie uderzano w jego czoło. Wszystkie te rytualne czynności wykreślono z programu jeszcze za życia Pawła VI. Jeśli chodzi o pierścień Piotra, to z uwagi na krótki okres pontyfikatu Lucianiego w chwili jego śmierci nie był jeszcze nawet wykonany. Jedynym pierścieniem, który nosił, był pierścień jaki swego czasu Jan XXIII rozdzielił między wszystkich biskupów uczestniczących w Drugim Soborze Watykańskim.

Jeżeli jest się świadomym, do jakich wielkich rzeczy Luciani przymierzał się w tak krótkim, danym mu do dyspozycji czasie, jeżeli jest się świadomym, jak wielkim respektem darzyli go tacy ludzie, jak Casaroli, Benelli, Lorscheider, Garrone, Felici i wielu innych, można byłoby takie wymyślone opisy zbyć po prostu jako niepoważne lapsusy, patrząc z określonego punktu widzenia są one jednak ważne i w najwyższym stopniu interesujące: były częścią zainscenizowanej kampanii. Nie było wcale dziełem przypadku, że w żadnej z opublikowanych po zgonie Lucianiego analiz i w żadnym ze wspomnień pośmiertnych nie można było znaleźć chociażby najmniejszego odwołania się do tła nakreślonego w poprzednim rozdziale. Jedna z wiele mówiących uwag, jakie stale słyszy się od ludzi tkwiących wewnątrz Watykanu, brzmi: „Nic nie przedostanie się z Watykanu na zewnątrz, by nie krył się za tym określony zamiar".

Żądanie dokonania autopsji ciała Lucianiego przybrało na sile 1 października. Najbardziej ceniony dziennik włoski CORRIERE DELLA SERA opublikował na pierwszej stronie artykuł zatytułowany: „Dlaczego sprzeciw wobec autopsji?". Autorem był Carlo Bo, zdolny dziennikarz i dobry znawca Watykanu. Już samo ukazanie się tego artykułu było godne uwagi. W wyniku Układu Laterańskiego i późniejszych porozumień między państwem włoskim a Watykanem, prasie włoskiej wytyczono bardzo ścisłe granice przy pisaniu na tematy kościelne. Naruszenie obowiązku staranności w tym zakresie ściga się tak ostro, że już krytyczny komentarz, nie mówiąc w ogóle o podnoszeniu jakichkolwiek poważnych oskarżeń, może szybko zaprowadzić daną gazetę przed oblicze sądu.

Carlo Bo zręcznie uniknął nastąpienia na jedną z wyłożonych min prawnych. W stylu przypomiającym słynne przemówienie Marka Antoniusza do społeczności Rzymu wspomniał o podejrzeniach i twierdzeniach, które stały się głośne po nagłej śmierci Lucianiego. Zapewnił swoich czytelników, że ufa, iż pałace i lochy Watykanu od stuleci nie były już świadkami morderstw lub innych przestępstw. Właśnie z tego względu, pisał, nie może po prostu pojąć, dlaczego Watykan postanowił nie dopuścić do żadnych badań lekarskich. „prościej mówiąc: dlaczego nie przeprowadzono żadnej autopsji". „Bo" — kontynuował: „Kościół nie ma się czego obawiać, a więc nie ma też nic do stracenia. Wprost przeciwnie, może wiele zyskać.

Pytanie o przyczyny śmierci papieża jest legalnym pytaniem o fakt historyczny; (jego śmierć) jest częścią składową naszej przeżytej historii, (a jej naukowe wyjaśnienie) w żaden sposób nie narusza duchowej tajemnicy jego śmierci. Naszą doczesną powłokę, którą pozostawiamy rozstając się z tym światem, można zbadać naszymi marnymi instrumentami, jest ona szczątkiem. Dusza za to słucha — a raczej zawsze już słuchała — innych praw, które nie są z tego świata i pozostaną niezgłębione. Z misterium nie powinniśmy robić chronionej tajemnicy kierując się doczesnymi względami; uznajemy sami, jak małe i nieistotne są nasze tajemnice. Nie ogłaszajmy świętym czegoś, co świętym nie jest".

Piętnastu lekarzy watykańskiej służby zdrowia odmówiło wypowiedzenia się na temat tego, czy zmarłych papieży należy poddawać autopsji, czy też nie. Natomiast Eduardo Luciani, który powrócił właśnie z Australii, zapytany o stan zdrowia swego brata wypowiedział się jasno i wyraźnie, chociaż nie po myśli Watykanu:

„W dniu inauguracji pontyfikatu zapytałem jego lekarza domowego, jak go oceniał w obliczu obciążeń, przed którymi teraz stanął. Lekarz uspokoił mnie; powiedział, że brat mój czuje się wyśmienicie, a jego serce jest w dobrej kondycji".

Zapytany o to, czy jego brat miał kiedykolwiek problemy z sercem Eduardo odparł: „O ile wiem, nie miał nawet najmniejszych" Nie pasowało to do wymysłów rozpowszechnianych przez Watykan.

W poniedziałek, 2 października na całym świecie rozgorzała dyskusja na temat śmierci papieża. We francuskim Awinionie kardynał Silvio Oddi znalazł się w krzyżowym ogniu pytań. Jako włoski kardynał może przecież zapoznać francuską opinię publiczną z autentycznymi faktami? Oddi odparł, że kolegium kardynalskie „nie będzie rozważało nawet możliwości przeprowadzenia badań; nie ma ono zamiaru pozwolić się nakłonić przez kogoś do czegoś i nie będzie nawet dyskutowało na ten temat". Kardynał oświadczył kategorycznie: „Faktycznie wiemy na pewno, że śmierć Jana Pawła I spowodowało to, iż jego serce przestało bić, z czysto naturalnych przyczyn".

Kardynał Oddi dokonał tym samym doniosłego, pionierskiego czynu w medycynie — bez autopsji postawił diagnozę, jakiej bez przeprowadzenia badań nie odważyłby się postawić nawet najlepszy lekarz.

Tymczasem wreszcie odniosły skutek protesty ojca Lorenziego i innych członków papieskiego gospodarstwa domowego przeciw określonym, fałszywym informacjom:

„Po niezbędnych dodatkowych badaniach możemy teraz oświadczyć, że papież w chwili, gdy rankiem 29 października znaleziono go martwym, trzymał w ręku kilka kartek z napisanymi myślami i różnymi notatkami".

Kiedy kilka dni wcześniej Watykan podał, że Luciani trzymał w rękach książkę „De imitatio Christi", niektórzy reporterzy głośno śmiali się, jak pisze w swojej książce „The Making of The Popes" ojciec Andrew Greeley.

Interesująca jest obserwacja, jakie metamorfozy przeszły z biegiem lat te kartki znalezione w rękach zmarłego papieża: raport o Kościele katolickim w Argentynie, szkice jego następnego wystąpienia, kazania, które wygłosił w Belluno (Vittorio Veneto), Wenecji, gazetki parafialne, teksty przemówienia, które chciał wygłosić do jezuitów, raport napisany przez papieża Pawła VI Kiedy głowa państwa umiera w taki sposób i w takich okolicznościach, jak Jan Paweł I, to z pewnością określone zainteresowanie wywołuje to, co ostatnio napisała lub przeczytała. Pięć różnych źródeł potwierdziło mi, że zmarły Luciani, kiedy go znaleziono, trzymał w rękach kartki, na których osobiście naszkicował zamierzone, radykalne zmiany personalne. Dwa z tych źródeł były bezpośrednimi, naocznymi świadkami tego wydarzenia, a trzy inne są godnymi zaufania świadkami spoza Watykanu. Fakt wycofania przez Watykan legendy, że zmarłego papieża znaleziono z książką „De imitatio Christi", świadczy wyraźnie, iż Kuria zaczęła znajdować się pod naciskiem.

Nacisk ten wzmógł się 2 października, kiedy prasa światowa coraz bardziej krytycznie zaczęła zajmować się niektórymi niepokojącymi aspektami sprawy. Wielu obserwatorów dziwiło się, że dla tak rzekomo chorego papieża nie było w Watykanie żadnej opieki nocnej. Niepojęte było to, że dr Renato Buzzonetti pracował głównie w jednym ze szpitali rzymskich i dlatego nie był o każdej porze do dyspozycji. Gdyby komentatorzy ci znali pełne rozmiary bałaganu panującego w Watykanie, ich oburzenie byłoby jeszcze o wiele większe. Nie chodziło tu jednakże o lekkomyślność: fakty wskazują na spisek w celu dokonania morderstwa. (...)

Kiedy Watykan chcąc nie chcąc skorygował swoje pierwotne twierdzenia, że przepisy kościelne nie dopuszczają autopsji, gazety włoskie jeszcze raz podjęły głośną akcję przeciw jego kruchej teraz zasłonie. Ustaliły, że rzeczywiście dokonywano już autopsji na zmarłych papieżach. W pamiętniku księcia Don Agostiniego Chigiego można na przykład wyczytać, że wieczorem po zgonie papieża Piusa VIII, 30 listopada 1930 r. otwarto jego ciało. Oficjalnie autopsji tej nigdy nie było, stąd też oczywiście nigdzie nie udokumentowano także jej wyników; z pamiętnika księcia wynika jednak, że wszystkie organy wewnętrzne Piusa VIII określono jako zdrowe. Wydawało się, że zakłócone było jedynie funkcjonowanie płuc. Swego czasu istniało podejrzenie, że papieża otruto.

Wieczorem, 3 października 1978 r. wydarzyło się coś niezwykłego. Jak zawsze o tej porze zamknęły się dla publiczności bramy Bazyliki św. Piotra. W Bazylice nie było ludzi, poza czterema żołnierzami gwardii szwajcarskiej pełniącymi wartę u katafalku, co od dawien dawna było normalne po śmierci papieża. Za piętnaście ósma otworzono drzwi boczne, by wpuścić grupę około 150 pielgrzymów z Canale d'Agordo, rodzinnej miejscowości Albino Lucianiego. W towarzystwie biskupa z Belluno przybyli właśnie do Rzymu i otrzymali od Watykanu specjalne zezwolenie na oddanie ostatniej posługi po oficjalnym zamknięciu bazyliki człowiekowi, którego wielu z nich osobiście znało. Najwyraźniej o wizycie tej grupy nie poinformowano w Watykanie kogoś, kto sam miał jakieś plany związane z ciałem. W kilka minut po wkroczeniu do bazyliki pielgrzymów z północy w bardzo bezceremonialny sposób wyrzucono ich z powrotem na plac św. Piotra.

Pojawiło się kilku dostojników watykańskich w towarzystwie grupy lekarzy. Wszystkim obecnym nakazano opuścić świątynię. Odesłano również czterech gwardzistów. Potem nowo przybyła grupa ustawiła wokół katafalku wysoki, purpurowy parawan, aby żaden znajdujący się jeszcze w pobliżu ciekawski nie mógł przyglądać się czynnościom lekarzy.

Ta nie zgłoszona wizyta trwała do godziny 21.30. Kiedy zakończyła się, kilku pielgrzymów z Canale d'Agordo, którzy czekali jeszcze na zewnątrz, poprosiło o umożliwienie im wreszcie oddania ostatniej posługi zmarłemu. Nie wpuszczono ich do środka.

Jaki był cel tej wieczornej akcji na mniej niż 24 godziny przed terminem pogrzebu? Większość dziennikarzy, była w swych ocenach zgodna: przeprowadzono autopsję.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

LESZEK KRASKOWSKI

Koniec swobodnej lewitacji

Dzień był nieprzyjemny, wlokłem się noga za nogą, męczyła mnie chandra. W redakcji znów odrzucili moje opowiadanie o zielonych ludzikach. Naczelny spojrzał na mnie badawczo i bezceremonialnie narysował wymowne kółko na czole.

Mgła się nieco przerzedziła, deszcz ustał i zza sinych chmur wyjrzało słońce. Przystanąłem na chodniku, zadarłem głowę i spojrzałem słońcu w twarz. Poczułem się raźniej. Uczucie lekkości zaczęło ogarniać także moje ciało, w pewnym momencie uznałem, że torba z zakupami waży o połowę mniej i ja sam poruszam się z wdziękiem i gracją kilkunastoletniej panienki. Byłem tak rozanielony tą nagłą odmianą, że prawie nie usłyszałem pisku zgniatanej blachy i brzęku tłuczonego szkła. Zaledwie kilka metrów obok potężny mercedes wyrżnął w uliczną latarnię. Podbiegłem natychmiast do samochodu. Zauważyłem jednak, że nie biegnę, ale poruszam się metrowymi skokami. Tak skokami! I nie tylko ja, ale również okoliczni przechodnie. Nie miałem czasu, aby zastanawiać się nad tym niesamowitym zjawiskiem, przeważył odruch niesienia natychmiastowej pomocy. Kierowca na szczęście nie odniósł poważniejszych obrażeń. Gdy oprzytomniał, począł coś bełkotać, wskazując ręką na roztrzaskany samochód, który kołysał się lekko nad ziemią, nie dotykając jej kołami.

— Niesłychane! To nie jest samochód! — krzyczał nieszczęsny właściciel automobilu. — To jest awionetka albo poduszkowiec. Od pięciu minut nie mogłem tego gruchota w żaden sposób zatrzymać. On po prostu unosił się nad ziemią!

Nie słuchałem już dłużej rozbitka, bowiem z sąsiednich ulic zaczęły docierać do moich uszu coraz częstsze odgłosy gniecionego metalu i rozbijanych szyb.

Powstał trudny do opisania zgiełk i tumult, rozpaczliwe piski kobiet mieszały się z dosadnymi przekleństwami. Ludzie poruszali się skokami, do czego nie byli oczywiście przyzwyczajeni i fakt ten dodatkowo komplikował i tak trudną sytuację. Byłem niezmiernie szczęśliwy, gdy udało mi się w końcu z trudem dotrzeć do mojego zacisznego mieszkania. Okropnie huczało mi w głowie, cały byłem posiniaczony i poobijany. Zaczęło narastać we mnie uczucie buntu. Postanowiłem skończyć ze skakaniem. Naładowałem sobie kieszenie różnymi ciężkimi przedmiotami i starałem się poruszać w miarę normalnie. Przychodziło mi to z wielkim trudem. Wraz ze mną zaczęły lewitować wszystkie drobne przedmioty znajdujące się w mieszkaniu. Włączyłem telewizor. Nadawano właśnie specjalne wydanie dziennika telewizyjnego. Spiker miotający się nerwowo wśród unoszących się kartek, łamiącym głosem odczytywał dekret prezydenta o wprowadzeniu stanu klęski żywiołowej. Następnie wypowiadali się naukowcy — fizycy zaproszeni do studia. Usłyszałem wiele mądrych zdań o zakrzywieniach czasoprzestrzeni i jej własnościach geometrycznych. Naukowcy wyraźnie bagatelizowali cały problem i prześcigali się w zapewnieniach o chwilowym charakterze zaburzeń pola grawitacyjnego. Wysnuto szereg interesujących, rzec można — awangardowych teorii, które nawiasem mówiąc z fizyką nie miały wiele wspólnego. Jeden z naukowców stwierdził wręcz, że zjawiska, które obecnie obserwujemy nie są niczym innym jak wytworem naszej chorobliwej wyobraźni i istnieją jedynie w ludzkiej podświadomości.

Następnego dnia przyciąganie grawitacyjne zmalało gwałtownie we wszystkich częściach globu ziemskiego. Większość zakładów przemysłowych wstrzymała produkcję. Zwołano w trybie pilnym nadzwyczajne posiedzenie ONZ, jednak nie udało się skoordynować działań rządów poszczególnych państw. Wszędzie panował totalny nieład i kompletna dezorganizacja. Odwołano zajęcia w szkołach i na wyższych uczelniach, wstrzymano wszelki ruch komunikacyjny. Zadaniem numer jeden stało się utrzymanie za wszelką cenę pracy elektrowni i elektrociepłowni. Starano się wytworzyć tam sztuczną grawitację, ale próby te spełzły na niczym.

Tymczasem ostatnie wydania gazet przyniosły sensacyjną wiadomość o wylądowaniu na naszej planecie kilkuset niezidentyfikowanych obiektów latających, pochodzących najprawdopodobniej spoza obszaru najbliższych Ziemi galaktyk. Zapewne jeszcze kilka dni temu wiadomość taka byłaby wyśmiana, jednak w warunkach zupełnego niemal braku grawitacji i ciągłej niepewności jutra, stała się ona nowym, silnym bodźcem wzmagającym panikę i potęgującym uliczne rozruchy, które trwały dzień i noc.

Nieoficjalnie zaczęto przebąkiwać o końcu świata i nikt twierdzeń tych nie dementował, bowiem środki masowego przekazu praktycznie przestały istnieć. Codziennie trzygodzinny program nadawało jedynie Radio Genewa. Wielką popularnością cieszyły się zwłaszcza audycje z cyklu „Synowie Ikara".

Kiedyś przypadkowo wysłuchałem audycji traktującej akurat o dobrodziejstwach płynących ze stanu zmniejszonej grawitacji.

— Ludzkość zawsze dążyła do oderwania się od przyziemnych trosk i kłopotów — zachłystującym się głosem piał spiker. — Dzisiaj, dzięki tajemniczym przybyszom z obcych galaktyk, nasze odwieczne marzenia urzeczywistniły się! Już Mickiewicz wołał: „Młodości! dodaj mi skrzydła! Niech nad martwym wzlecę światem w rajską dziedzinę ułudy...". Nasz świat nie jest już martwy, jest wspaniały, wyniosły, unoszący się ku gwiazdom! Lecz to nie młodość dopięła mu skrzydła, ale wielkoduszni wyzwoliciele z obcych planet...

Po tym programie popularność radia genewskiego znacznie zmalała, rozeszła się bowiem wieść, jakoby stacja ta znajdowała się pod całkowitą kontrolą „zielonych". O samych „zielonych" mówiło się niewiele, ludzie byli całkowicie pochłonięci problemami codziennego lewitowania i przybyszami nie zawracali sobie głowy.

Sytuacja z dnia na dzień stawała się coraz bardziej idiotyczna. Ludzie byli zdezorientowani, nie wiedzieli jak dalej postępować. Oczekiwali cudu, który przywróciłby grawitację, cud taki jednak nie następował i rodziły się wątpliwości, czy w ogóle kiedykolwiek nastąpi. Nie brakowało przy tym proroków-pesymistów głoszących wszem i wobec ostateczny koniec świata. Znaleźli się jednak ludzie zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Najbardziej uradowane były oczywiście dzieci, które wyprawiały w powietrzu niesamowite harce i stale wymykały się spod opieki dorosłych. Zadowoleni byli także więźniowie zakładów karnych, którzy wykorzystując sprzyjające okoliczności, ulotnili się i natychmiast przyłączyli się do akcji opróżniania sklepów. Także pacjenci klinik psychiatrycznych dali drapaka, tak więc napotkanie lewitującego wariata było rzeczą najzupełniej normalną.

Mijał szósty dzień „swobodnego lewitowania". Zbliżała się noc. Wróciłem właśnie do swojego zdemolowanego mieszkania z wyprawy po żywność. Efekty moich zabiegów były niestety mizerne, udało mi się jedynie złapać paczkę pieluch i płyn do mycia naczyń. Większość sklepów spożywczych została już zupełnie ogołocona, a domowe zapasy dawno się skończyły. Byłem głodny i wściekły. Dopłynąłem do kanapy, którą uprzednio z wielkim trudem przybiłem do podłogi, przywiązałem się do niej sznurem i postanowiłem zasnąć. Było to jednak zadanie znacznie przekraczające moje siły. Z ulicy dochodził trudny do zniesienia bełkotliwy hałas, świadczący o tym, że mimo wszystko napór na sklepy trwa nadal. Co chwila przelatywały nade mną jakieś przedmioty, będące zapewne kiedyś częścią wyposażenia mojego mieszkania. Okropnie mnie to denerwowało, w dodatku zgiełk z ulicy nasilił się. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że naprzeciwko znajduje się sklep monopolowy. Zacząłem kojarzyć fakty i logicznie myśleć. Jeżeli w mieszkaniu jest zimno, tak strasznie zimno, to... Oczywiście! Należy się rozgrzać! Zerwałem się gwałtownie z kanapy, aby natychmiast zrealizować swój zamiar, ale zderzyłem się z telewizorem, który właśnie przepływał nad moją głową. Poczułem silny ból, po czym osunąłem się w ciemność...

Ocknąłem się nad ranem. Włosy miałem zlepione krwią i bolały mnie wszystkie mięśnie. Gniew postanowiłem wyładować na telewizorze — sprawcy mojego nieszczęścia. Po chwili podjąłem ostateczną decyzję wyekspediowania telewizora za okno. Mętnym wzrokiem przefiltrowałem zawartość pokoju. Wreszcie odnalazłem to cholerne pudło, które, jak gdyby nigdy nic, spoczywało spokojnie na boku przewróconej szafy. Wstałem z kanapy i zacząłem zbliżać się do telewizora. „Nie ujdziesz mi" — szepnąłem, po czym rzuciłem się na telewizor. Podniosłem go do góry i zamierzałem wyrzucić przez okno, ale... w tym momencie skonstatowałem, że jest on diabelnie ciężki, zbyt ciężki, aby mogły go utrzymać moje obolałe mięśnie. Stała się rzecz niesamowita — telewizor wysunął mi się z rąk i rąbnął o podłogę rozbijając się w drobny mak. Chwilę stałem osłupiały, po prostu nie wierzyłem własnym oczom. Żaden z przedmiotów znajdujących się w moim mieszkaniu nie lewitował! Setki myśli przeleciały mi przez głowę. Czułem, że jeżeli do tej pory nie zwariowałem, to stanie się to za chwilę. W moim mózgu panował kompletny bałagan, ból narastał i rozrywał mi czaszkę. Zataczając się podbiegłem do drzwi. Byłem bliski obłędu, starałem się uciec od bólu, który stopniowo przeradzał się w dudniący hałas. Wybiegłem na ulicę. Ranek był mroźny, fala chłodnego powietrza uderzyła na mnie nagle, niespodziewanie i podziałała jak kubeł lodowatej wody. Oprzytomniałem. Kształty przedmiotów nabierały powoli ostrości, hałas ucichł.

Stałem na środku ulicy, obdarty, otępiały, wynędzniały. Mój wygląd sprawiał, że ludzie omijali mnie z daleka i starali się nie zwracać na siebie mojej uwagi. Krzątali się wokół rozbitych witryn sklepowych, próbując odnaleźć jeszcze jakieś resztki towarów.

Mieszkańcy miasta mieli jeszcze porządnego grawitacyjnego kaca, ale powoli dochodzili do siebie. Porządkowali swoje domostwa i ulice, starali się jak najszybciej wrócić do normalnego życia. Rozpierała ich wewnętrzna energia działania połączona z dumną oceną przeszłości: „A jednak przetrwaliśmy! Ludzkość zwyciężyła!".

Jakoś zupełnie zapomniano o gościach z innych planet. Tymczasem „zieloni" wcale nie próżnowali.

Po tygodniu zaprowadzono na świecie jaki taki porządek. Gdzieniegdzie dochodziło jeszcze do starć i zamieszek, ale sytuacja wyraźnie normalizowała się.

Ogromnym wstrząsem były pierwsze wydania dzienników telewizyjnych i radiowych, w których wiele miejsca poświęcono „przybyszom z gwiazd". O kosmitach wyrażano się z wielkim szacunkiem, używając terminologii dyplomatyczno-romantycznej. Mówiono więc o „tajemniczych gościach", „przybyszach z gwiazd" i „przyjaciołach z obcych galaktyk". Określenia typu „zieloni" i „ufoludkowie" schowano w najgłębszy kąt.

Jedna z japońskich stacji telewizyjnych zapowiedziała wyemitowanie programu o zasięgu światowym, w którym mieli wziąć udział „przyjaciele z gwiazd".

Jeden z „zielonych" zaproszonych do studia wygłosił nawet kilkunastominutowe przemówienie. W czasie nadawania programu zmieniał barwę swego ciała kilkadziesiąt razy, ale ani razu nie był zielony. Naukowcy zaliczyli go do klasy wysoko rozwiniętych humanoidów, chociaż wyglądem przypominał mrówkojada. Zresztą, mniejsza o wygląd. Znacznie ważniejsze było samo przemówienie, tłumaczone przez kilkadziesiąt sprzężonych ze sobą komputerów na wszystkie języki świata.

Mrówkojad-kameleon stwierdził, iż przybywa razem ze swoimi pobratymcami w celu uratowania ludzkości przed niechybną zagładą.

— Nasza błyskawiczna interwencja ocaliła rodzaj ludzki — mówił wysuwając ciągle swój długi język. — Posiadamy silnie rozwinięte zdolności przewidywania i rozumienia przyszłości, dzięki którym dowiedzieliśmy się, że na waszej planecie nastąpią niebezpieczne wahania grawitacyjne. Nie byliśmy w stanie im zapobiec, było już za późno. Udało nam się jednak w porę opanować sytuację. Po tygodniu ciężkiej pracy nasi naukowcy przywrócili grawitację!

Upływały dni, tygodnie. Kosmici zaczęli budować wspaniałe zakłady przemysłowe, autostrady, przystąpili też do realizacji ambitnego planu zagospodarowania Sahary.

Zachwyt ludzi rósł z każdą chwilą. Mój sąsiad układał nawet panegiryki na cześć „przybyszów".

— Zobaczycie, jeszcze wspomnicie moje słowa — zwykł mawiać. — Kosmici wybudują nam masę zautomatyzowanych fabryk, niedługo już w ogóle nie będziemy musieli pracować?

Ja jednak nie podzielałem optymizmu sąsiada. Cały czas odczuwałem jakiś dziwny, wewnętrzny niepokój, czułem, że już niedługo nastąpi zasadnicza zmiana i nie będzie to zmiana na lepsze.

Od kilku dni męczyłem się znacznie szybciej i dostawałem ciągłej zadyszki. Byłem ociężały i przemęczony. Początkowo starałem się nie zwracać uwagi na te dolegliwości, ale któregoś dnia mój stan pogorszył się na tyle, że ledwo wstałem z łóżka.

Miałem wrażenie, że jakaś niewidzialna siła przygniata mnie i przyciska do podłogi. Dysząc ciężko poczłapałem do telefonu. Zadzwoniłem do mojego starego przyjaciela — fizyka, który pełnił ostatnio ważną funkcję Prezesa Klubu Kontaktów Kosmicznych. Zwierzyłem mu się z moich dolegliwości.

— W żadnym wypadku nie wzywaj lekarza — krzyczał do telefonu. — Zaraz do ciebie przyjadę — trzasnęła odłożona słuchawka.

Wzruszyłem ramionami. Dlaczego on się tak przejął? Przecież jeszcze nie umieram. Jednakże poruszałem się z coraz większym trudem. Usadowiłem się w fotelu, sapiąc z wysiłku. Nagle coś trzasnęło i... fotel zarwał się pode mną. W żaden sposób nie mogłem się z niego wydostać, wydawało mi się, że ważę przynajmniej tonę. Po kwadransie przyszło wybawienie. Do pokoju wszedł mój stary kumpel Roger. Ujrzawszy mnie zdębiał, a gdy zaskoczenie minęło, wybuchnął głośnym śmiechem. Krztusząc się i chichocząc wydostał mnie z fotela i usadził na kanapie. Zauważyłem, że przy każdym jego kroku klepki podłogowe trzeszczą niemiłosiernie. Zdziwiło mnie to, bowiem Roger był strasznie wychudzony i ważył niewiele. Obfity pot lał mu się po twarzy, twarz miał zmęczoną i posępną, ale starał się to ukryć pod maską pozornej wesołości. Natychmiast zaczął bawić się w psychologa, pocieszał mnie jak małe dziecko.

— Widzisz, mój stary, to co obecnie obserwujemy wcale nie jest chorobą. Są to po prostu wahania grawitacyjne, zresztą całkowicie niegroźne — prześwidrowywał mnie wzrokiem, jakby starając się sprawdzić moją reakcję.

Pamiętałem jednak doskonale jego dramatyczny okrzyk, toteż zdziwił mnie ten sztuczny ton. Postanowiłem zrobić mały eksperyment. Podszedłem do telefonu i podniosłem słuchawkę. Zasłaniając klawiaturę plecami wystukałem na niej numer zegarynki.

— Co robisz? — Roger wyraźnie się zaniepokoił.

— Dzwonię do swojego lekarza. Twoje argumenty wcale mnie nie przekonują. — Reakcja Rogera była natychmiastowa. Wyrwał mi słuchawkę z ręki i siłą usadził na kanapie.

— Ty jesteś nienormalny — wyszeptał mocno przestraszony — Zrozum wreszcie, że wzywając lekarza skazujesz się na pewną śmierć.

— Co???

— Taką decyzję podjęli kosmici. Uważają, że trzeba wyeliminować ze społeczeństwa wszystkich słabych i chorych.

— Nic nie rozumiem. O czym ty mówisz?

— Mówię o tym, o czym nie powinienem mówić nigdzie i nikomu. Ale tobie chyba mogę zaufać.

Zapewniłem go skinieniem głowy.

— Otóż ludzie wzywający pogotowie, giną często w dziwnych okolicznościach i fakt ten potwierdza moją teorię, którą ci zaraz wyłuszczę. Do tej pory nie wyjaśniono też tzw. „zagadki grawitacyjnej". Wśród fizyków upowszechnił się pogląd, że stan zmniejszonego przyciągania wywołali celowo sami kosmici, którzy sprowadzili na Ziemię sporą ilość skumulowanej antymaterii, najprawdopodobniej w stanie plazmatycznym. Następnie pozbyli się jej wysyłając w przestrzeń międzygwiezdną i dzięki temu grawitacja wróciła do normy. Jednak z każdym dniem przyciąganie wzrasta i są to świadome machinacje „zielonych". Zauważ, że nasze mięśnie będą musiały pokonywać coraz większe opory grawitacyjne. Stan ten spowoduje oczywiście określone konsekwencje. Nasze mięśnie będą się rozwijać, powoli przekształcimy się w atletów. Najsłabsi zostaną wyeliminowani wskutek naturalnej selekcji. „Zieloni" potrzebują silnych i zdrowych pracowników.

— Przestań się wygłupiać! — krzyknąłem i usiłowałem zerwać się z kanapy, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

— Chyba jednak nie powinienem był ci tego mówić. No cóż, to się nazywa zderzenie z rzeczywistością. To nie kosmici będą pracowali dla nas, ale my dla nich. Uczciwa gra, nieprawdaż?

— Ależ to bzdura! Przecież wybudowali już masę fabryk i autostrad.

— Oni? Fabryki i autostrady wybudowali ludzie na podstawie projektów „zielonych". A widziałeś, co się w tych fabrykach produkuje? Nie? A ja widziałem! Produkuje się sprzęt zbrojeniowy najwyższej klasy, o którym nie mamy zielonego pojęcia. Najprawdopodobniej będą nas chcieli użyć w którejś ze swoich wojen galaktycznych.

— Jako mięso armatnie?

— Można to i tak nazwać. Zbyt długo lewitowaliśmy swobodnie w kosmosie. Niepotrzebnie zwracaliśmy na siebie uwagę — ciągłe próby atomowe, wysyłanie statków kosmicznych. Ktoś nas wreszcie zauważył i postanowił sensownie wykorzystać. Nie jesteśmy równorzędnymi partnerami, nasz intelekt nie osiągnął jeszcze odpowiedniego poziomu rozwoju, możemy być jedynie narzędziem, do czego predysponuje nas potężna masa biologiczna. Kosmici będą nas wykorzystywać nie licząc się z naszą wolą.

— Czy aby nie popadasz w przesadę? Przecież na razie zachowują się poprawnie. Dlaczego mieliby nas tak haniebnie wykorzystywać? — broniłem się jeszcze przed uznaniem teorii Rogera, ale jednocześnie czułem, że siły grawitacyjne coraz silniej wpychają mnie w głąb kanapy.

— A czy my nie wykorzystujemy krów, koni, owiec i tysięcy innych stworzeń? Czy ich nie zabijamy? Oni nas traktują w podobny sposób. Będziemy nowym atutem w wojnie kosmicznej, coś na wzór japońskich kamikaze i żywych torped. Nasi kosmiczni przyjaciele nie będą się przecież osobiście narażać. Umiejętność walki zatracili już tysiące lat temu — ich ciała składają się w 90 procentach z masy mózgowej. Teraz korzystają z robotów, ale roboty można przeprogramować, zakłócić działanie ich elektronicznych mózgów. My jesteśmy praktyczniejsi i bardziej efektywni w użyciu. Nie trzeba nas produkować — sami się rozmnażamy. Jak widzisz, stanowimy atrakcyjny towar.

Spojrzałem uważnie na swojego rozmówcę. Przekonał mnie całkowicie.

Podjąłem już decyzję, od której nie mógł mnie odwieść absolutnie nikt. „Zanim się zastrzelę, pójdę się jeszcze zalać" — pomyślałem.

Zaproponowałem Rogerowi pójście do knajpy. Zrobił wielkie oczy, ale zgodził się. W drzwiach zderzyłem się z sąsiadem, który zdawał się być czymś niezwykle podekscytowany.

— Telewizja podała, że kosmici nie żyją! Zabiło ich zwiększone przyciąganie! — wykrzyczał. — Taka szansa zmarnowana! Znów zagonią nas do roboty — łkał żałośnie.

— Tego nie przewidzieli, zginęli od własnych machinacji! — wrzasnął mi Roger wprost do ucha.

— Spieprzyli robotę — skomentowałem, po czym odtańczyłem wariacki taniec radości. Sąsiad na wszelki wypadek uciekł. W pewnym momencie spostrzegłem, że tańczy mi się za lekko i skacze za wysoko. Zauważyłem też, że kosz na śmieci stojący w kącie korytarza, zachowuje się dziwnie, a mówiąc konkretnie unosi się w powietrzu. Entuzjazm i radość uleciały z nas, jak powietrze z dziurawego balona.

Roger spojrzał na mnie ponuro.

— Jeszcze jedną rzecz spartaczyli — wykrztusił z siebie wściekłym głosem. — Nadali antymaterii zbyt małą prędkość, ona po prostu wróciła na Ziemię!

— Dranie! Jołopy! — wrzeszczałem jak oszalały wygrażając pięścią niebu. — Kiedy się wreszcie skończy to cholerne lewitowanie?!

— Najprawdopodobniej przy końcu świata, który nastąpi mniej więcej za dwa tygodnie — odpowiedział Roger, chociaż pytanie wcale nie było do niego skierowane.

— Szubrawcy! Złodzieje! Partacze! — nie przestawałem krzyczeć. — Skur... — chciałem jeszcze coś dodać, ale nagłe uderzenie głową o sufit sprawiło, że całkowicie pogrążyłem się w bezwładnej, swobodnej lewitacji.

1

Nagłe zastępstwo

Kumoterstwo czyli salon Pana T.

Tytuł niniejszego tekstu zawiera za jednym zamachem dwa odstępstwa od moich zasad, których w tych felietonach dotąd przestrzegałem w sposób rygorystyczny:

— Pierwsze, nie uprawiać kumoterstwa. Zawsze wymiguję się od przyjmowania takich zamówień jak np. „Napisz o komunikacji na Widzewie—Wschodzie. Skandal, mówię ci...".

Nie pisuję też o przyjaciołach. Ani chwalę, ani ganię, po prostu nie pisuję.

— Drugie, nie recenzować. Książek, spektakli teatralnych i telewizyjnych, koncertów ani filmów. Jeśli zdarza mi się małe odstępstwo od tej zasady to staram się nie wyręczać recenzentów, bo się lepiej na tym znają. Czasem tylko coś wydaje się tworzywem na felieton, jeśli wywołało jakieś ciekawe refleksje, jeśli coś ze sfery, rzekłbym, pozaartystycznej, warte jest odnotowania.

Od obydwu zasad mam dziś zamiar odstąpić. Po pierwsze zamierzam napisać o książce przyjaciela. Po drugie, podzielić się z czytelnikiem kilkoma spostrzeżeniami, które w moim przekonaniu jeszcze nie starczą za recenzję, ale mogą być za taką wzięte.

A chodzi mi o książkę w swoim rodzaju ewenementalną, mianowicie o „Klasztor dla ateistów albo rozważania pana T." Eugeniusza Iwanickiego, wydaną przez Wydawnictwo Łódzkie przed kilkoma tygodniami.

Dlaczego tomik Iwanickiego uważam za ewenement?

Przede wszystkim ze względu na formę. Z najkrótszych form literackich właściwie młodzież literacka uprawia tylko jedną — fraszkę. Jak mawiał nieodżałowany Igor Sikirycki, byle grafoman może taśmowo, w ilościach przemysłowych produkować dwuwiersze w rodzaju:

„Wszystkie zamki
mają klamki"

zresztą w dwóch wersjach, bowiem może to brzmieć i tak:

„Wszystkie klamki
mają zamki".

Obydwie wersje sugerują, że jest w nich jakieś drugie dno, jakaś aluzja polityczna bądź erotyczna.

Toteż nic dziwnego, że kosze redakcji czasopism i wydawnictw pełne są takich dystychów...

Tymczasem prawie nie istnieje aforystyka. Bez usprawiedliwienia rymu i rytmu pojedyncze, jednozdaniowe czy dwuzdaniowe utworki prozatorskie są nagie i bezbronne, okazują się myślątkami, pustymi dźwiękami mowy artykułowanej. Tylko prawdziwy talent i inteligencja pozwalają uprawiać te najmniejsze formy literackie.

Rozważania pana T. mają formę mikroscenek. Zawierają zwykle jednozdaniowy opis sytuacji i oszczędną jej ocenę wypowiadaną przez pana T. Albo krótki dialog, w którym wypowiedź druga, pointująca, zarezerwowana jest dla pana T.

Nie jest to poetyka nowa — jest charakterystyczna dla dowcipu, witza, anegdoty czy jak tam jeszcze nazwiemy popularne, opowiadane przy różnych okazjach kawały.

Tyle, że pointa u Iwanickiego wcale nie musi być śmieszna, jak np. ta tytułowa o klasztorze dla ateistów. Częściej bywa smutna, gorzka lub tylko lirycznie zadumana.

Nie zamierzam przytaczać przykładów. A figę! W końcu piszę po kumotersku... Kupcie sobie, drodzy czytelnicy „Klasztor dla ateistów" za osiemdziesiąt złotych, kupcie, a da wam to szansę — jeśli książkę jeszcze dostaniecie — wejścia do salonu. Do jednego z ostatnich salonów Rzeczypospolitej. Salonu literackiego i politycznego. Rozsiądźcie się w wygodnym fotelu i pogadajcie z panem T. O polityce i politykach, o miłości i kobietach, o książkach i pisarzach.

Za głupie 80 zł!

Dla porządku, zapraszając do salonu pana T. muszę dodać, że salon jest ozdobiony portretami przodków (duchowych, oczywiście) gospodarza. Portrety są pędzla Stanisława Ibisa-Gratkowskiego.

* * *

Z rodzimego organu, tj. tygodnika, który szanowni państwo właśnie raczą czytać, dowiedziałem się o secesyjnym ruchu w łonie naturystów.

Niestety, ruch secesyjny dotyczy głównie osoby prezesa Polskiego Towarzystwa Naturystycznego, a nie zasadniczych spraw ideologicznych. A ja już się nastawiłem, już oczyma wyobraźni widziałem walki między różnymi odłamami naturystów.

Jedni np. mogliby popierać nudyzm totalny, tj. chodzenie na golasa zawsze i wszędzie i dla zademonstrowania swej postawy urządzaliby demonstracje przeciągające głównymi ulicami miast. Oczywiście w strojach organizacyjnych...

Inna frakcja, umiarkowana i w gruncie rzeczy wsteczna, mogłaby popierać listki figowe tzn. okrywanie tego co pan wisz a ja rozumiem i demonstrowania w całej okazałości tylko tzw rewersu.

Inna, rewolucyjna w swej istocie frakcja mogłaby żądać nudyzmu przymusowego i obowiązkowego, obejmującego warstwy uprzywilejowane — prywatną inicjatywę i decycentów. Ministrowie przemawiają w telewizji wyłącznie nagi! To byłoby coś...

Elitarna grupa naturystów przewrotnie proponowałaby kompletny strój wieczorowy lub sportowy wymalowany na nagim ciele.

Możliwości jest wiele. Może nowe frakcje pojawią się w wyniku trwającej właśnie secesji?

Póki co, ponawiam zaproszenie do salonu pana T. Stroje absolutnie dowolne!

ANDRZEJ KAROL

2

Gdybym był Leonciem

Gdybym był Leonciem podałbym swój numer telefonu studentce Lilianie Borkowskiej, która powiedziała reporterowi (jd) z „Kuriera Polskiego", że u Leoncia podobają się jej *„piękne oczy i silne, choć delikatne ręce"*. Ona zatelefonowałaby do mnie, a ja porwałbym ją i miał drugą niewolnicę Lilianne. Jakiś reżyser — być może — nakręciłby nowy serial pod wdzięcznym tytułem „Niewolnica Lilianna". Ale — na szczęście — nie jestem Leonciem, nie mam pięknych oczu i silnych, choć delikatnych dłoni. Mam natomiast same kłopoty.

Ponieważ nie podoba mi się serial produkcji brazylijskiej „Niewolnica Isaura", to kto może wymyśla mi od krytykantów, elity intelektualnej, intelektualisty wręcz, pięknoducha i obrzuca różnymi innymi epitetami, zarzucając też nietolerancję. Sprawdziłem w „Słowniku języka polskiego" i wiem, że tolerancja, to *„uznawanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, czyjegoś postępowania, różniącego się od własnego; wyrozumiałość"*. Toleruje poglądy tych, którym „Niewolnica Isaura" podoba się, ale niech oni tolerują również moje. Poza tym pewien mądry nauczyciel nauczył mnie jeszcze w gimnazjum zasady, która po łacinie brzmi: *„de gustibus non est disputandum"*. Tym, którzy o łacinie tylko słyszeli z opowiadań wyjaśnię, że zasada ta oznacza, iż gusta nie podlegają dyskusji. Jeden lubi Isaurę a drugi rodzinę Palliserów, a trzeci tylko sport uwielbia. Nasza kochana telewizja musi każdemu dać to, co on lubi, a to nie jest takie łatwe.

Telewizja zresztą bardzo zdecydowanie wpływa na życie, na przyrodę również. Ledwie nadano filmy o tym, że naszej planecie grozi ponowne zlodowacenie, a już 1 maja przez cały dzień nie tylko w Łodzi padał śnieg. Klimat nam się gwałtownie zmienia. Na gorszy. Biednemu zawsze wiatr w oczy. Jak nie restrykcje, to ochłodzenie planety. I na dodatek biała niewolnica Isaura co wtorek.

Zmuszono mnie, abym dokładnie obejrzał ten odcinek serialu, w którym biedną Isaurę wreszcie przywiązali do pala. Mam nadzieję, że pomysłowy reżyser nie odmówi widzom sceny biczowania Isaury. Panie przed telewizorami popłaczą sobie nad losem biednej niewolnicy, a panowie pomarzą, że gdyby to oni właśnie byli Leonciem...

Pomysłowy reporter (jd) z „Kuriera Polskiego" zapytał kilka osób, jaki według nich będzie ciąg dalszy serialu. Józefina Pellegrini nie wierzy, aby Malvina i Tobiasz zginęli. Ja od tej pory już nie wierzę w żadne przepowiednie Józefiny Pellegrini. Do tej pory zresztą też nie wierzyłem. Ona bowiem nie powinna wierzyć lub nie, ona powinna wiedzieć. Prawidłowa odpowiedź na pytanie (jd) powinna brzmieć: — *wiem, bo jestem wróżką, ale nie mogę powiedzieć, aby innym nie popsuć zabawy.* To ja mam uczyć wróżkę prawidłowych odpowiedzi na pytania reporterów? Dobrze też, że nie jestem Józefiną Pellegrini...

Natomiast emerytka Helena Goszczyńska uznała — niesłusznie — że Leoncio jest brutalem, a po takim brutalu można się wszystkiego spodziewać. — *„Boję się* — powiedziała — *że już w najbliższym odcinku może dojść do gwałtu"*. Ba! Gdyby Leoncio był rzeczywiście brutalem, to by w ogóle nie było tego serialu i perypetii biednej niewolnicy Isaury. Bowiem prawdziwy brutal rzuciłby Isaurę na łóżko, zrobiłby, co miał zamiar zrobić i niewolnica nic by nie miała do gadania. Nikt by jej zresztą nie pytał, czy to, co robi ze swoim panem, podoba się jej czy nie. Tu wyznam szczerze, że gdybym był Leonciem, to też bym tak zrobił, choć — też szczerze wyznam — Isaura nie podoba mi się. Wolałbym już zupełnie inną niewolnicę oraz kilka innych wolnych zresztą pań. Roman Samsel powiedział w „Expressie Wieczornym — Kulisach", że kobiety w Brazylii mają *„niepowtarzalną urodę"*. I ja mu wierzę.

Ubawiłem się setnie oglądając, na jaką ciężką karę skazano nieszczęśliwą Isaurę. Kazano jej... myć podłogę w kuchni. Myła na dodatek szczotką na kiju. A na kolana paskudnicę, co śmie odmawiać pieszczot swemu panu! Do rąk dać jej ryżową szczotkę. Zresztą kaprale w wojsku już dawno — bo jeszcze przed wojną drugą światową — wymyślili lepszy sposób: mycie podłogi... szczoteczką do zębów. Być może w połowie XIX wieku w Brazylii nie znali szczoteczek do zębów, albo nikt nie wpadł na pomysł, aby naszych przedwojennych zupaków wziąć na konsultantów. Trudności z tym by nie było, bo po wojnie wielu z nich osiedliło się również i w Brazylii.

Oglądając te ciężkie tortury, na jakie skazuje się biedną Isaurę zaczynam wątpić, czy niewolnictwo w Brazylii było takie straszne, jak to inni opisują. Ale — jak powiada Roman Samsel — rzeczywistość artystyczna nie musi odpowiadać faktycznej. Na przykład realia historyczne „Trylogii" Henryka Sienkiewicza daleko odbiegają od rzeczywistości artystycznej jego opowieści. I wszyscy się nią zachwycają, choć już kilkakrotnie podejmowano próby odkłamania „Trylogii". Bez skutku.

Miałbym tu trochę odmienne zdanie. Otóż, wydaje mi się, że dobrze jest przynajmniej wiedzieć, że realia historyczne „Trylogii" są inne niż te, które stworzył Henryk Sienkiewicz. I wielu ludzi to wie. Nie przeszkadza to im nadal zachwycać się bohaterami „Trylogii" i ich przygodami. Powieść historyczna nie musi być podręcznikiem historii. Świadomość, że opowieść o losach biednej niewolnicy Isaury jest piękną bajką do wzruszania się i przeżywania co wtorek, nie musi się kłócić z wiedzą o tym, że to wszystko są zręczne pomysły autora powieści, scenarzysty, reżysera, a nie opowieść o Brazylii z połowy XIX wieku.

ZENON POROWATY

3

Lewym okiem

Dźwiękomasaże

„Pewien człowiek miał tak wyczulony słuch, że wpadł na pomysł, aby chwytać wszystkie fale dźwiękowe do specjalnych lejów, urządzonych wszędzie, i poruszać nimi własny, specjalnie zbudowany młyn: młyn dźwiękowy".

Tak zaczyna się jedna z „bajek dla dużych dzieci", napisanych prawie sto lat temu przez niemieckiego poetę, Christiana Morgensterna. Nie było wtedy telewizji i radia, nie było nawet wielkich megafonów, potęgujących każdy dźwięk w huragan grzmotów i wybuchów. Nie znali też ludzie tej gigantycznej hipertrofii zbiorowego gadulstwa, jaka obserwujemy obecnie.

Moim hobby jest szperanie po starych czasopismach i gazetach. Zatrzymajmy się przy prasie codziennej. Przeglądam oto „Nową Reformę" sprzed stulecia, „Ikaca" sprzed z górą pół wieku, „Kurier Warszawski" sprzed wielu dziesiątków lat. Przeglądam i myślę sobie, czym by w tamtych czasach wypełniły swe szpalty nasze dzisiejsze pisma codzienne, o czym mówiłby dziennik radiowy, o czym relatowałyby z karteluszek wdzięczne spikerki w telewizji? Przecież wtedy wcale nie było zebrań, sympozjów, narad, dyskusji, kongresów, posiedzeń, zgromadzeń, zjazdów, konferencji, „spotkań roboczych" i „okresowych odpraw". A przyjrzyjcie się lepiej naszym dzisiejszym środkom masowego przekazu: one przecież zaczynają się i kończą właśnie na relacjach z tych niezliczonych imprez, na które w samym tylko języku tyle znaleźliśmy określeń.

Nie wierzę, że można jakąkolwiek sprawę owocnie przedyskutować w gronie paru tysięcy osób. Dyskusja jest tylko jednym z pretekstów do spędu wielu — powiadam — setek, a często paru tysięcy mądrych ludzi z całego kraju. Jadą z najdalszych okolic do jednego z paru największych miast, stanowiących siedzibę wszelkich ciał i instytucji. Jadą inżynierowie na zjazd Notu i harcerze na kongres harcerski, gospodynie domowe, służba zdrowia, wyborcy do rad i radni do narady — zawsze masowo, liczba musi być, liczba narkotyzuje i zastępuje wszystko inne. Kongres młodzieży, spotkanie przodowników, zjazd ochrony środowiska, zjazd działaczy takich i innych, naukowców, przedszkolanek, chórów i solistów, ekonomistów, leśników, naturystów i związkowców. Jadą, jadą, jadą. Co dzień dziesiątki tysięcy. Zjazdy przestały już być formą zarządzania, stały się formą istnienia. Wszyscy wiemy, że rezolucje i uchwały tych spędów są gotowe na długo przed samą imprezą. Można by je zastąpić aktami o trochę innej nazwie, a za to nie wymagającymi masowego klaskania, do którego sprowadza się rola spędzanych tysięcy ogłuszonych podróżą — wiadomo, w jakich warunkach — nie dospanych, nie domytych „uczestników".

Przyjadą, wysłuchają paru referatów, pójdą na wódkę, wrócą do domów. Referaty mogliby przeczytać u siebie, w wielkiej sali i tak nie dochodzi do świadomości żadne słowo i zmęczony „uczestnik" szybko rezygnuje z chęci rozumienia czegokolwiek. Odsiedzi, odklaszcze, a radio i prasa rozniosą w świat „ożywioną dyskusję", „postulaty", „dezyderaty" i „wnioski".

Nic z tego przeważnie nie wynika. Sprawozdań ze zjazdów i spędów nikt nie czyta i nie słucha, przyjmuje je w gazecie jako „dobrodziejstwo inwentarza", ucieka do sportu, krzyżówek i programu na najbliższy tydzień. A może to jest tak, jak w tym wierszu jeszcze raz cytowanego Christiana Morgensterna (w moim przekładzie):

Powietrze było raz w opresji:
„Pomóż mi, papo mój
niebieski,
pomóż mi, woła, bo już czuję,
że puchnę, kisnę i się psuję..."
Pan — jako lekarz nad
lekarze —
przepisał mu...
dźwiękomasaże.
Stąd na tym świecie
wrzasków dużo:
powietrzu one świetnie
służą...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Spojrzenie znad szachownicy

Gra w przepisy

Ostatnimi czasy dość mało udzielałem się na gościnnych łamach „Odgłosów", a to głównie dlatego, że kibicowałem zmaganiom szachistów w międzynarodowym memoriale Makarczyka, a potem sam którejś niedzieli zagrałem w turnieju urządzonym specjalnie dla zasłużonych staruszków. Mimo moich wrzasków, że lata dziennikarstwa liczą się podwójnie, wpakowano mnie co prawda do grupy staruszków młodszych, czyli młodo-starców, ale rozeźlony i tak wygrałem ją bez cienia chrześcijańskiego miłosierdzia, zdobywając tyle punktów, ile tylko było możliwe.

Przechwalam się nie bez powodu, kibicując i grając dokonałem bowiem pewnej nader ciekawej obserwacji.

Otóż szachy są grą starą, nawet bardzo starą, o przepisach zmieniających się na przestrzeni historii. „Wielka reforma" szachów zaczęła się w XIII wieku, trwała do XVI, o pewne szczegółowe rozstrzygnięcia — na przykład o prawo do roszady — spierano się nawet do końca XVIII stulecia, ale ostatecznie wspólne zasady zaakceptowano na całym świecie.

I odtąd — nic. Strach pomyśleć, ale Napoleon, Lenin, Piłsudski, Tito i Fidel Castro — że wymienię kilku tylko mężów stanu o różnych niekiedy światopoglądach, ale wspólnych zainteresowaniach szachowych — grywali w tę samą grę i żaden z nich nie wydał dekretu, aby coś zmienić.

2.

Przyczyną tej wstrzemięźliwości była zapewne wypracowana zbiorowym wysiłkiem pokoleń doskonałość szachowych zasad, umiejętne zatrzymanie się na trudno wyważalnym „progu komplikacji", co sprawia, że szachy są grą wystarczająco łatwą do przyswojenia przez pierwsze z brzegu dziecko a zarazem wystarczająco trudną, aby nikt nie mógł powiedzieć, że opanował ją w sposób doskonały.

Owa stabilność szachowych przepisów sprawiła zarazem, że umiejętność prowadzenia gry tośnie nieustannie. Stare idee nie umierają, lecz są opracowywane we wciąż odnawianej formie, koncepcje strategiczne mistrzów sprzed stuleci po wyszlifowaniu nabierają na blasku, no i tak dalej, i tak dalej.

Niestety owo „i tak dalej" odnosi się tylko do szachów, do niczego więcej, przynajmniej u nas, w kraju nad Wisłą.

3.

Uwaga, że żadne pokolenie Polski Ludowej nie ukończyło szkoły średniej wedle jednolitego systemu edukacji padła tak dawno i tyle razy była przytaczana, że zatarła się już pamięć, kto i kiedy pierwszy ją wygłosił.

Gdybym mógł zagwarantować rzemiosłu nie kilkaset, ale kilkanaście lat obojętne już jakiej, ale nie zmienianej co i trochę polityki fiskalnej — zacni ci ludzie zrzuciliby się pewno na jeszcze jeden pomniczek, który wspaniale ozdobiłby nasze miasto.

O ilości reform, jakie przeżył handel wspominać nie będę, bo i po co. Z dziejów najnowszych: powstał „Ponal", nie ma „Ponalu", były „Delikatesy", potem nawet coś jakby „Superdelikatesy", potem nic nie było, teraz „Delikatesy" znów są, ale — rzecz zrozumiała — przeważnie w całkiem innych punktach, żeby trudniej było zgadnąć.

Zgadywanki nawet lubię, rozumiem też, że urzędnicy i urzędy muszą jakoś uzasadniać racje swojego istnienia, ciekaw jestem jednak okropnie, kto płaci za to ustawiczne „przebranżowianie" sklepów i czy przypadkiem nie dopisuje mi się tego do jakiegoś rachunku?!

4.

Zniosło mnie jednak nieco z kursu, chciałem bowiem mówić przede wszystkim o swoistej „grze w przepisy", jaka prowadzona jest między szeroko rozumianą władzą a obywatelami, czy ściślej — poszczególnymi grupami obywateli.

Doświadczenia szachowe znów okażą się tu pomocne, wynika z nich bowiem że każda ze stron stara się nieustannie krzyżować plany partnera, jego strategii przeciwstawiając swoją strategię, i grając tak, aby temu drugiemu było niemiło.

Jeżeli więc podniesienie cen alkoholu uznamy za ruch wykonany w imię walki z alkoholizmem, to powstanie rozlicznych małych i dużych bimbrowni też powinniśmy potraktować jako dość oczywisty zaczepno-obronny kontrruch amatorów wódeczności.

Szachista wie, że dopiero mat kończy partię, wykonując posunięcie rozważa więc uprzednio pewną ilość przypuszczalnych ciągów obu stron i ocenia pozycję, jaka z przewidywanej kontynuacji logicznie wynika. I tu pytanie za ileś tam punktów: sytuacja lepsza jest, czy gorsza, wykonany ruch dał pożądane efekty, czy też raczej ich nie dał?

Pozostawiając PT Czytelnikom czas do samodzielnych rozmyślań, obiecuję do tematu powrócić i drążyć go tak długo, aż wydrążę ze szczętem. Nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpi, ale w każdym razie nieco szybciej, niż wydrążymy łódzkie metro. Ba, szybciej niż wydrążymy warszawskie!

JERZY P.

Realistyczno-idealistyczny projekt pomnika autora niniejszego tekstu. Idealistyczny, ponieważ nie jestem niestety brunetem w średnim wieku, a chciałbym. Motywem czysto realistycznym pozostaje natomiast pełen herbaty czajnik.

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt"

6

Przecież każdy to widzi, wszyscy o tym mówią, a oni zapychają uszy Gomułki watą sprawozdań i pochlebstw, składają raporty o fałszywych sukcesach, żeby nie było, iż u nich coś nie gra, bo on był ostry, żartów nie zrozumiał.

Złapał się na tym, że o Wiesławie myśli już tylko w czasie przeszłym. Wiedział, że po tym wszystkim, co stało się na Wybrzeżu, coś musi się wydarzyć! Nie wystarczy żaden tylko retusz ani solenne nawet gadanie Padły trupy. I to musi być jakoś zrównoważone. Jeśli ludzie i tym razem jeszcze ustąpią, zgodzą się raz jeszcze zaufać, to tylko innemu już człowiekowi. Tego nie da się przeskoczyć ani obejść. Baduga ma zatem słuszność, gdy chce, aby tamci odeszli.

Wójcik poczuł się źle, jakby miał kaca albo ciężką grypę, gdyż mimo wszystko Wiesław był kimś! To nie żaden urzędnik ani uczony z dyplomem, ale robotnik, który zaszedł tak daleko, jak tylko można w życiu. Swój przecież, surowy dla innych i dla siebie, mówią, że palił tylko sporty w szklanej lufce, po połówce, jak przywykł od lat, a mieszkał przez długie lata w zwykłej kamienicy na Saskiej Kępie, wśród ludzi, chociaż był przywódca partii. I co się stało, na Boga z tym człowiekiem? A może to nie on, lecz jego otoczenie, któremu zbyt ufał? Może to nie jeden człowiek, lecz ci, którzy wiedzieli a nie mówili, słyszeli a nie słuchali, przemawiali a nie mówili? Gęstwina spraw, on w ich splocie, jak w uściskach węża, z którym się zmagał. Wiesław, Wiesław — powtórzył bezgłośnie, wspominając wołanie tłumów, które słyszał, bo był tam wówczas, w Warszawie, w partyjnej szkole. Jak wiele trzeba, aby los wyprowadził człowieka z więzienia na trybunę, z której przemawiał do narodu, jak niewiele wystarczy, aby go stamtąd ściągnąć na bruk.

Zrozumiał, że żegna się nie z Wiesławem, ale z całą epoką, do której drzwi zatrzasnęły się, gdy rozległy się salwy w Gdyni i zapłonął gmach partii w Gdańsku i Szczecinie. To była jego epoka, również i jego czas próby, awansu i pracy, której wyników nie da się ani zważyć, ani zmierzyć, lecz widać je najdokładniej w takich właśnie chwilach, jak ta: źle pracowałeś, Wójcik — pomyślał z żalem i poczuciem, że przegrał. O mnie mniejsza — otrząsnął się z tego nastroju. — Ważna jest stocznia, liczy się to, czy uda się wyprowadzić ją ze strajku jak z głębokiego wirażu i doprowadzić rzecz do dobrego końca. A co potem ze mną będzie, pokaże los. Pewne, że tutaj nie zostanę. Oby jednak Baduga zrozumiał, że muszą odtąd iść razem, żeby nikt już więcej nie ucierpiał bez żadnej przyczyny, gdyż teraz liczy się to, co przyniesie przyszłość i jaka ona będzie, a nie to jak było i jak jest jeszcze dzisiaj. Jest źle, to fakt. Ale może i powinno być lepiej.

Rozejrzał się po pokoju, zobaczył ze zdziwieniem Grynia.

— Jeszcze tu jesteście, towarzyszu Gryń?

— Zdrzemnąłem się — skłamał. Nie potrafił przecież powiedzieć, że nie śmiał przeszkadzać, że nie mógł wyjść, gdy on tu był tak samotny, że nie wiadomo, czy poradziłby sobie sam ze swymi myślami.

— No to teraz, gdy odpoczęliście, walcie na rurownię. Może jednak przydacie się tam, wesprzecie Majewskiego, czy kto tam z naszych agituje.

— Spróbuję — odparł. Wyszedł nie oglądając się na Wójcika. Nielekka to sprawa wiedzieć za dużo i widzieć zbyt wiele — pomyślał. — Nie wspominał nawet żebym milczał. Ale sam wiem, że morda w kubeł, bo inaczej może być tak, że czapki nie będę miał na co wsadzić...

Dag Larsson nie spał tej nocy w hotelu

Dag Larsson nie spał tej nocy w hotelu, został u Helli. I nie dlatego, że chciał tego, po prostu nie miał innego wyboru. Tu doszli bezpiecznie, a tam przecież w pobliżu Odry, gdzie stała „Korona" było piekło. Siadł w fotelu i wbił palce w swe jasne, żółtawe włosy, pełen zniecierpliwienia i niepewności. Rolka filmu, którą wyjął była niemal pełna, wykorzystał prawie wszystkie klatki, dlatego to, co jest w kasecie powinno wyjść, nawet gdyby światło wdarło się do wnętrza aparatu przez jakąś szczelinę. Poza tym kamera była chyba cała, miała tylko lekko wygiętą osłonę obiektywu, którą nałożył był, i to nie miało znaczenia. Hella czekała u fotografa na wywołanie zdjęć, prosił ją o to, lękała się bowiem czy i ten facet nie zniszczy mu filmu, jeśli jest takim wariatem jak tamten, który wyrwał mu aparat, bo to jego ojczyzna... Nie bardzo pojmował jego zachowanie. Komunista? To mogłoby tę sprawę wyjaśnić. Może dlatego wpadł w furię, że palił się gmach jego partii? Cokolwiek było, Dag miał to wszystko gdzieś. Wiedział gdzie u Helli schowany był koniak, wyjął kieliszek i nalał go po brzegi. Pił powoli, dla zabicia czasu, dla podtrzymania sił.

Jak to się stało, że znalazłem się tutaj i to we właściwym momencie? — przyszło mu nagle na myśl. Od jakiegoś czasu słyszał jakby z oddali nie słowa, ale samą melodię głosu tego człowieka, który go tu wysłał. Czy był w niej łut drwiny, czy tylko normalnej pobłażliwej pogardy, jaką on miał zawsze dla młodych, którzy byli głupi, nic nie umieli, więc musiał i lubił ich ćwiczyć, aby nabrali rozumu i doświadczenia — albo fora ze dwora! Inni tylko czekają, sprytniejsi, bardziej zaradni i szybcy jak błyskawica. Dag nie należał do tych, którymi łatwo pomiatać. Robił, czego od niego chcieli, sprawnie, z inwencją, był już dłużej w redakcji niż jego poprzednik. Niemal wszystko potrafił przewidzieć. Miał nosa, ale wciąż jeszcze był niekiedy naiwny. Gdyby nie sądził, że będzie wyglądał bardziej jak turysta, jeśli zabierze z sobą jeden tylko aparat, nie wyjechałby bez zapasowej kamery, głupiec!

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Spojrzał w lustro. Miał białka oczu pożółkłe ze zmęczenia; odnosił wrażenie, że właśnie w tym momencie, gdy oglądał swoją twarz, pożółkły mu jeszcze bardziej.

Knut Evert, to szczwany lis. Zas jego kumpel Hamsun w Polsce był już raz, a może i więcej razy, kto go wie. Znał tę Hellę, na pewno umiałby zrobić doskonały fotoreportaż na święta z tego dziwnego kraju. Hamsun lubił i znał życie. Nie gardził zabawą. I nie był wtedy chory, Dag wiedziałby o tym. A Evert wysłał właśnie Daga, czyli mnie, podniósł łaskawie do góry, jak psiaka za kark, dmuchnął w czarny, wilgotny nosek, podrapał za uchem i rzucił z rozmachem przez cały Bałtyk: masz, popróbuj jak smakuje życie. Serdeczne dzięki za szansę — z ironią myślał Larsson. — I w ogóle, jakże korzystny to dla mnie zbieg okoliczności, że Hamsun nie mógł właśnie pojechać i że byłem pod ręką Everta, i że przydarzył się właśnie mnie taki szczęśliwy traf. Dag w przypadki nie wierzył. Liczył niekiedy w duchu na nie, jak każdy, ale w gruncie rzeczy nie ufał im: przez sam fakt niejasności ich przyczyn, bo były przecież trafem, stawały się podejrzane, budziły nieufność. A jeśli Hamsun wiedział, co tu się stanie, w Szczecinie i nie chciał się narażać? To dlatego Knut Evert kazał mi tu jechać — domyślił się chytrze licząc, co może na tym zyskać, gdy powie im, że wszystko wie, a co musiałby stracić, gdyby okazało się, że wsadza w ten sposób palec między drzwi, które Evert czy Hamsun gwałtownie zatrzasną. Lepiej na razie milczeć — postanowił. — Lepiej udawać, że nic nie wiem, ale to mi się jeszcze kiedyś może przydać. Muszę mieć tylko oczy i uszy otwarte, zdobywać informację o Hamsunie, ostrożnie zbierać jak ziarnka piasku, aż będzie ich garść. Wówczas w razie czego cisnę mu tym piachem w oczy, gdy trzeba będzie się bronić, albo sprzedam drogo za cenę żółtego kruszcu, gdy tamten osłabnie. No cóż, trzeba żyć — westchnął. Wypił resztę koniaku. Knut Evert musi mi i tak dobrze zapłacić — postanowił. — Narażałem przecież zdrowie, a może i życie dla jego gazety.

Wciąż jednak widział pożółkłą twarz Hamsuna, dłonie ciągle ruchliwe, o palcach zażółconych nikotyną; palił tylko skręty z czarnego tytoniu, nic innego — nie lubił słabizny. A więc to tak: jest w wywiadzie lub pracuje dla nich, gdyż inaczej nie wiedziałby, co się w Polsce szykuje i że nie warto tu przyjeżdżać samemu, ryzykuje guza. A młody łeb Larssona wytrzyma wszystko — pomyślał i zaśmiał się cichutko. — Nie mylę się, głowę mam nie od parady! Mózg pracuje jak komputer, a czaszka jest twarda, można nią mur przebić!

Wiedział, że nie ma na nic dowodów. I gdyby chciał się z kimś założyć, upierając się przy swoim, nie powinien stawiać więcej niż jeden przeciwko jednemu, bo tylko tyle jest szans i tyle ryzyka; pół na pół. Ale instynkt mówił mu, że się nie myli, raczej może nie w pełni zna i docenia Hamsuna, jego wpływ na Knuta Everta, szerokie kontakty w Malmö i w Sztokholmie. Hamsun imponował mu zawsze, ale teraz wzbudził podziw.

W drzwiach szczęknął klucz. Wróciła Hella. Nawet się uśmiechnęła.

— I co? Mów, dziewczyno!

— Wszystko o'key, Dag. Jesteś szczęściarz!

— Dawaj — zaczął gorączkowo rozwijać film. — Nie masz, Hella, rzutnika? Bardzo by mi się przydał!

— Mam, Dag, zaraz ci dam.

Przewinął film na szpulę aparatu drżącymi z niecierpliwości rękoma. Włączył sznur do sieci, ustawił pierwszy obraz. Na jasnej ścianie zobaczył jakieś żółciste plamy, potem jednak następna klatka była wyraźna i ostra. Pożar gmachu partii — złocistożółte płomienie w oknach. Tłum z lotu ptaka, samochody pancerne, między ludźmi, nieruchome jak porzucone kamienie.

— Nawinąłem od tyłu? — zdziwił się Larsson. — Przecież potem byliśmy jeszcze na innych ulicach?

— Może to ci nie wyszło — powiedziała Hella matowym głosem.

— Niedobrze — zaklął pod nosem. A może się mylisz? Może to jednak będzie tam dalej?

Hella milczała przez cały czas tego seansu. Starała się nie patrzeć, ale to było niemal niemożliwe. Dag pokrzykiwał gardłowo, cieszył się, wręcz żądał, aby oglądała i podziwiała jego dzieło.

Potem, gdy skończył przegląd, siedział długo, zamyślony. Trzeba ten film jakoś przesłać do Malmö. Tym będę się martwił od rana. Ale do tego nieźle byłoby dołączyć korespondencję. To doda sprawie smaku: nasz specjalny wysłannik.

Poprosił Hellę o papier. Długopisem, starannie, rozpoczął pierwsze zdanie: w czwartek 17 grudnia Szczecin dołączył do frontu walki robotników polskiego Wybrzeża, którzy upominali się o swoje prawa. Rząd komunistyczny zaskoczył ich bowiem podwyżką cen żywności, co przy już i tak głodowych zarobkach stoczniowców doprowadziło ich do rozpaczy. Jak wiadomo, rozruchy w Gdańsku rozpoczęły się o trzy dni wcześniej i tam padły pierwsze trupy niewinnych manifestantów, przeciwko którym policja użyła broni maszynowej i granatów. Opinia tutejsza twierdzi, że padło kilkaset osób. Podobnie, broni palnej użyto w Szczecinie. Komuniści, którzy sprawują władzę rzekomo w imieniu robotników, ukazali swoje prawdziwe oblicze. Tylko terror, pałka policyjna i karabin automatyczny...

— Co robisz? — zapytała Hella na wpół śpiąc, rozebrana już, ale okryta kołdrą. — Jestem taka zmęczona.

— Tak — to był męczący dzień — przyznał jej rację Larsson. — Ale muszę jeszcze skończyć list, wiesz? Chcę posłać razem ze zdjęciami do Malmö.

— Ciekawa jestem, jak to zrobisz. Miasto jest zamknięte, wojsko nikogo nie przepuści, nie kursują pociągi. Jak się dostaniesz na prom?

— Nie martw się — odparł niezbyt grzecznie, zajęty formułowaniem następnego zdania: Szczecińscy stoczniowcy zostali także ostrzelani, padli zabici, których liczby nikt nie zna, lecz nie jest ona zapewne mniejsza, niż w Gdańsku. W odwet za tę masakrę rozgniewany tłum spalił siedzibę komitetu partii komunistycznej, usiłował podpalić gmach policji oraz zdobyć więzienie, gdzie odsiadują wyroki więźniowie polityczni.

— Mógłbyś już skończyć, Dag. Piszesz tak długo, pewnie coś zmyślasz z tą redakcją. To list do dziewczyny, przyznaj się?

Podniosła głowę z poduszek, wyglądała ślicznie. I chyba jest trochę o mnie zazdrosna — pomyślał Larsson. Ciekawe...

— To nie jest taki list — odparł — o jaki mnie podejrzewasz. Trochę fantazji jest w nim rzeczywiście. Ale w dobrym guście. Nie wszystko wiem i nie wszystko widziałem. Ty mi opowiedziałaś sporo ciekawych rzeczy. Dobrze wiem, co lubią czytać moi prenumeratorzy, więc po prostu piszę dla nich. I dla Everta — pomyślał. Wierzył, że tym razem i tekst, i zdjęcia zapewnią mu czołówkę na pierwszej kolumnie gazety. A to jest coś warte: Dag Larsson donosi. Dag Larsson, nasz specjalny wysłannik na linię frontu wojny domowej w Polsce, Dag Larsson...

— Hella, jesteś doprawdy śliczna — powiedział i odłożył długopis. — Skończę to jutro, zgoda? Akceptujesz?

— Mój klient, mój pan — powiedziała po polsku, z westchnieniem.

— Co mówisz? — zdziwił się Dag. — Odpowiedz po ludzku.

— Why are you waiting, Dag? — odparła więc, jak tego oczekiwał. — I am ready, darling...

Dzień był już coraz jaśniejszy

Dzień był już coraz jaśniejszy, okna zza firanek przepuszczały wszakże tu niewiele światła. Półmrok, cienie o fioletowym zabarwieniu, były tu wszędzie, jak ślad niepokoju, który nigdy nie mija.

Dag Larsson stał przed żółtą willą, do której przyprowadziła go Hella. Bał się trochę tej rozmowy. Pastor Hill był tylko tytularnym konsulem, w istocie służył pociechą religijną marynarzom, którzy tego pragnęli, prowadził modły, więc czy zechce mu pomóc w tak przyziemnej sprawie?

— Witam pana, Pastor Hill — powiedział na przywitanie gospodarz. — Czym mogę panu służyć?

Dag Larsson, dziennikarz z Malmö — przedstawił się.

— Słucham?

Stali w hallu o ciemnych, dębowych schodach i pięknej boazerii. U sufitu wisiał wielki, kryształowy żyrandol. Na podłodze — stary, cenny dywan. Dag obserwował te szczegóły niejako mimochodem, kątem oka, niemal nieświadomie. Twarz pastora była jakby niezdrowa, żółtawa, miał podcienione oczy, o uważnym spojrzeniu.

— Jestem tu przez przypadek — powiedział Dag. Poprawił się jednak: — To znaczy, w tym mieście, nie u pana.

— Rozumiem.

— Chciałbym coś przesłać natychmiast, jak najszybciej do Malmö. Są to zdjęcia wydarzeń. Trzeba to natychmiast opublikować, żeby cały świat, żeby wszyscy — plątał się, nie pojmując, czy nieruchomy wzrok konsula oznacza zrozumienie, zgodę czy po prostu całkowitą obojętność.

— Rozumiem — powtórzył. I milczał.

— Mam swój paszport, proszę — Dag wyjął z kieszeni.

Nie trzeba. Nikt nie zdoła nauczyć się po szwedzku z akcentem — odparł z lekkim uśmiechem.

— Czy mogę liczyć na pomoc?

— A dlaczego pan sam nie chce wyjechać? — zapytał rzeczowo.

— Ponieważ to się jeszcze nie skończyło. Muszę to widzieć do końca. To moja praca i mój obowiązek, skoro tu jestem.

Nie mógł powiedzieć, że Evert wylałby go na zbity pysk, gdyby wrócił i zrobił to samo, jeśli materiały nie dotrą do redakcji.

Gdyby szło o pański powrót — mówił powoli pastor — mógłbym podjąć starania u miejscowych władz, nawet w tej sytuacji.

— To nie wchodzi w grę — przerwał niezbyt grzecznie Dag; gospodarz przyjrzał mu się uważnie, ale nie dał odczuć, że dziwi go to cokolwiek.

— Ale w tej sprawie, pan wymaga zbyt wiele. Nie mam takich możliwości. I nie wiem, co panu doradzić.

Larsson myślał intensywnie. Skoro tak mówi, nie chce ryzykować. Może ma rację, każdy mógłby tu przyjść z ulicy, ktokolwiek, Dag również nie ufałby nikomu.

— A czy, jeśli można to wiedzieć — zapytał jak mógł najuprzejmiej, patrząc konsulowi prosto w oczy — są tu w porcie jakieś nasze statki?

— Jest „Hjalmar" — odparł konsul.

— Czy istnieje możliwość porozumienia się z kapitanem?

— Nie wiem. To takie nienormalne dni — pastor był nadal obojętny i chłodny. — Nie wiem. Zazwyczaj kapitanowie przychodzą tu gdy zbliża się niedziela, aby zaprosić mnie na pokład w zbożnej intencji dla odprawienia modłów. A dzisiaj jest piątek, jeśli się nie mylę.

— Rozumiem — Dag zaciskał ręce niemal bezradny.

— Nie jest więc wykluczone, że ktoś się tu zjawi. I dlatego również, że może nie wiedzieć, co czynić w tej dziwnej sytuacji. Bo port przyjmuje i odprawia statki obcej bandery, ale dokerzy nie rozładowują towarów. Sprawdziłem to w Zarządzie Portu.

— A więc jest szansa? — Dag przyjrzał mu się uważnie. Kpi czy o drogę pyta? Nie chce pomóc, czy podsuwa sposób.

— Czy mógłbym panu zostawić swój telefon? — zapytał.

— Nie! To całkowicie zbędne.

— A czy mógłbym tu u pana poczekać?

— Za chwilę wychodzę. To znaczy, jeśli pan musi... — po raz pierwszy pastor nieco się zmieszał. — Jeśli to konieczne...

— Zaczekam gdzie indziej i przyjdę za jakiś czas — skłamał Larsson, to znaczy powiedział tylko pół prawdy. Postanowił gdzieś w pobliżu warować jak pies, gdyż czuł instynktownie, że kapitan z „Hjalmara" powinien przyjść. Wierzył w swoją gwiazdę, która od kilku dni świeciła mu przecież jasno i życzliwie: gdyby było inaczej, nie znalazłby się w Szczecinie, nie widziałby tego wszystkiego i nie zrobił sensacyjnych zdjęć, a aparat nie ocalałby, mimo iż tamten szalony polski złośnik rzucił nim z całej siły o ziemię, zaś Hella nie zdobyłaby się na odwagę, aby pomagać Dagowi. Ale ona przecież robi to dla forsy — pomyślał zimno. — Jej nie muszę wliczać w krąg tych dobrych przypadków. To jest tylko transakcja — płacę a ona robi, czego od niej wymagam.

Wyszedł na ulicę. Podniósł kołnierz kurtki i przechadzał się niezbyt daleko od tej willi w ogrodzie, nie zwracając uwagi na nikogo, ani na stojących nieruchomo milicjantów, chroniących dom pastora, ani na przechodniów, ani na pogodę, która była jednak nieżyczliwa, zbierało się bowiem na deszcz. Ale do trudności był przyzwyczajony. W kraju nie rozpieszcza nas ani słońce, ani bezwietrzna cisza, ani nadmiar ludzkiej życzliwości — myślał pamiętając wciąż uśmiech Knuta Everta i niespokojne spojrzenia panny Andersen, które dopiero teraz rozumiał; miał dobrą pamięć i lubił trochę tych, którzy go lubili, może nie w pełni odwzajemniał jej sympatię, ale przecież żywił jednak uczucie swoistej życzliwości. Była to jedyna chyba brzydka panna w nieznanym wieku, o której myślał teraz z pewnym ciepłem. — Kupię jej kwiaty, gdy wrócę — postanowił.

C.D.N.